

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



DANIEL OLBRYCHSKI

parę lat z głowy

Wstęp

Zima 1994

Witam Państwa, to znowu ja. Samiście Państwo sobie winni. Ja nie mam pasji ani szczególnej potrzeby pisania, nie muszę w ten sposób zarabiać na życie, chwała Bogu. Ale dzięki Waszemu życzliwemu zainteresowaniu moją książką *Anioły wokół głowy*, jej wysoki nakład zniknął zupełnie nie tylko z witryn, ale i hurtowni. Tak, że sam nie mogę od dawna kupić kilku egzemplarzy i dać w prezencie. Prezes BGW, Roman Górski, postawił mnie w miłej sytuacji szantażowej. *Pisz Pan następny tomik wspomnień, to dodrukuję troszkę pierwszego*. Skoro Pan Roman tak mówi, to on swoje wie. Liczy, że na wspomnieniach komedianta trochę zarobi z kieszeni ewentualnych czytelników. Boże, takie czasy! Każdy tylko liczy i liczy, a miłość gdzie? To znaczy poezja, piękna literatura.

Ja w każdym razie przynajmniej liczę, że będę znowu mógł sobie kupić w hurtowni parędziesiąt egzemplarzy i różne okolicznościowe prezenty na jakiś czas mam z głowy. Zamiast kwiatów Magdzie Umer lub Hani Bakule wręczę, wzruszony, moją książeczkę. A one, udając wzruszenie, wdzięcznie ją przyjmą, bo jeśli nawet potwierdzą tym swoje kabotyństwo, to i tak mnie lubią. A książeczka to następnych kilka lat mojego życia. Będzie sentymentalnie i banalnie. Będą dni patetyczne, burzliwe i codzienne. Będzie o miłości, o dzieciach i o pracy. O pieniądzach, koniach i jabłoniach. *Dużo będzie tutaj złości*, takie czasy, a ja jestem piniacz. *Ech, wy! rozumiałości daj mi Boże*, amen. –Tu homeryckie pióro wyrzucam do kosza, dalej będzie prawie normalnie.

Dobiegam pięćdziesiątki. Dzięki Waszemu zainteresowaniu moją osobą i moimi wspomnieniami, tak twierdzi Prezes, a on wie, jak powiedziałem, będę je dla Was pisał. Dziękuję za to. Pozwoli mi to również spojrzeć uważniej na świat i siebie samego. Kiedyś ktoś mądry powiedział: jak czegoś nie wypowiem, lub nie zapiszę, to – cholera – nie wiem, co sam myślę.

Ta książeczka będzie równie szczerą jak poprzednia. Może nawet bardziej, ale bez przesady. Nie należy ona do wspomnień typu „żadam wydania tych zapisków po mojej śmierci”. Zuzia by dodała: „a zwłaszcza po śmierci mojej żony” *cha, cha, cha* – zaśmiał się hrabia po francusku, albowiem tylko tym językiem władał Jacek, Przemek włączajcie ten cholerny magnetofon, otwierajcie wino, ale tylko jedną butelkę, będzie jak wtedy z *Aniolami* – sporo nagrań. Jak bym wszystko sam napisał, to by mnie ręka zabolęła. Ma głęboką rację pijacka parafraza znanej piosenki Andrzeja Dąbrowskiego: „od zakochania boli krok, a od roboty bolom ręce”. *Nu pajechali*.

Duży skok w czasie i przestrzeni

26 na 27 lutego 1997 – Moskwa

Nie było, nie ma i nie będzie magnetofonu.

Szczególne noc. Rafał urodził się 26., równych 26 lat temu, ja 27 lutego, dokładnie dwa razy tyle wcześniej. Zadzwoiłem do niego przed chwilą, jest zdrowy, pogodny, ale życie ma trochę skomplikowane. Tylko kto go nie ma... *Takaja sud'ba*. Nie ma tego złego... Zrezygnowałem – nie wiem czy słusznie dla sprzedawalności książki – z nagrań magnetofonowych. Pierwszy raz z *Aniolami* się udało. Jacek i Przemek, świetni i różni bardzo charakterem i stylem dziennikarze, naciskali mnie silnie i we właściwe miejsca. Potem wykonali ogromną robotę montażowo-dramaturgiczną i wyszło barwne, anegdotyczne, choć nie tylko, spotkanie z widownią. Tak zresztą chciałem. Po latach stwierdzam jednak, że mój sposób myślenia, język, tak zwana – ze wszystkim co złe i dobre – osobowość wyraża się wierniej w tym, co napisałem odręcznie. Poza tym nie chcę powtarzać formy. To znaczy dziennikarskiej adaptacji pisemnej zapisu magnetofonowego i mojej potem adiustacji. Tak jak w lepszych czy gorszych wywiadach. To niby ja, bo ja przecież autoryzuję, ale i nie ja. Jacek Fedorowicz (trzeba zacytować we wstępie klasyka), proszony o wywiady, zawsze grzecznie odpowiada:

Ja wiem, że pani jest zdolna i musi też zarobić, ale lepiej niech to już ja sam napiszę. Może będzie gorzej, ale bardziej swojsko. Jackowi jest łatwiej. Pisał całe życie, przy tym, jaka dyscyplina! Poza pracą od lat przebiega dziesięć kilometrów dziennie, a może i więcej. A ja na co mogę liczyć? Może na geny, bo rodzice moi żyli z pisania. Z codzienną dyscypliną, której chyba wymaga pisanie, u mnie krucho. Jak mam wolny czas, to go tracę na sport i bankiety. Ile jeszcze tego zdrowia? I, wstyd powiedzieć, dzieciennieję. Tak jak w dzieciństwie i w wieku dojrzewania – strasznie, okropnie zacząłem czytać. Czym skorupka za młodu, tym na starość... *A morda u niego taka ocytana*, powiedział jeden pijak o drugim. Coś w tym jest. Kiedyś wielki Ingmar Bergman zauważył, że aktorzy jak już się wreszcie *dopiją* twarzy, to niestety, tracą pamięć. O właśnie, a ile ja przez to głupie granie straciłem lektur. Może nie przez granie, ale uczenie się na pamięć. Przez te godziny, dni, tygodnie, kiedy wkuwałem Hamleta, Otella, Makbeta, mógłbym przeczytać wszystkie dzieła Szekspira *fte i wefte*, z sonetami na deser. Choć nie raz mówiłem, że nauczenie się z dobrym, daj Boże, reżyserem i wykonanie wielkiej literatury wobec elektryzującej samą obecnością widowni bardziej zbliża do źródła. To jest walka z materia. Płyne się pod prąd. A sama lektura to miły, elegancki, turystyczny spływ. Bo ja wiem, zresztą. W każdym razie teraz dużo czytam. I ciekawe. Najchętniej ostatnio, po spłynięciu aż do morza, bo przeczytałem już wszystko, niestety, co napisał Singer, sięgam po literaturę faktu, opracowania historyczne, wspomnienia, dzienniki, listy. I otóż stwierdzam, że czy to jest taksówkarz przedwojennej Warszawy, czy Aleksander Watt, Sobiesław Zasada, Jerzy Kulej, czy Monika Żeromska, wciąga mnie to niesłychanie. Tuż, tuż, przed chwilą skończyłem Kisiela, o tym będzie potem. Wydaje mi się, że nawet nie

sięgając po wielkie nazwiska, świat opisywany przez kogokolwiek, byle uważnie i z pewną właśnie dyscypliną, może być ciekawy. Tym ciekawszy im jego środek, czyli piszący, jest ciekawy. Czy jestem ciekawszy jako podmiot, czyli środek, nie wiem. Wiem, że ciągle mam ciekawe życie. Wydawca zakłada, że jesteście go Państwo dalej ciekawi, więc zobowiązał mnie do pisania. Siedzę i piszę.

Za oknami już ładnie oświetlona panorama Moskwy. Kiedyś było ciemno i tylko złowrogo połyskiwała gwiazda na Kremlu. Teraz też błyszczy, ale nie dominuje. Najpiękniej lśni, ot na wyciągnięcie ręki, Chran Christa Spasitiela. Teraz rozumiem, patrząc przez okno na tę grę świateł, dlaczego Stalin w latach 30. kazał go podminować ogromną ilością dynamitu i wysadzić, żeby śladu nie zostało. Bał się konkurencji. I architektury. I Boga.

No, tak wymądrzać się też będę w tej książeczce, ale proszę się nie bać, nie tylko. Często będę się spłycał. O, na przykład. A cóż ja takiego robię w tej Moskwie, że nie mogę teraz popić z synkiem w Warszawie? A widzicie drodzy Państwo, widzicie koledzy artyści – zieleniejcie! A gram w filmie. A u kogo? A u wielkiego Nikity Michałkowa. A za ile? A za dużo. A kto gra? A Julia Ormond, Richard Harris, Oleg Mieńszykow, Aleksiej Pietrienko, wspaniała czołówka rosyjska, i ja. A, a, a – tu już przechodzę w ziewanie. Kuranty na Kremlu biją drugą w nocy, czyli w Warszawie jest północ. I tam, u mnie 27 lutego 1997, kończę 52 lata. Tego pisząc, chciałem doczekać. Jutro ciężki i wspaniały dzień pracy. Idę spać. A Państwu życzę milej lektury. Aha, 66–letni Richard Harris, jak dowiedział się, że kończę 52 lata, stwierdził:

– Ee, gówniarz jesteś.

No, to niech to będą wspomnienia, ee, gówniarza.

Operacja żagiel ***– czyli ja, Krzysztof Kolumb***

Maj 1992

Targi książki. Nie wierzyłem, ale mojej również. Podpis pod ostatnim zdaniem *Aniolów wokół głowy* 13 maja, a 25 maja – już pachnące farbą egzemplarze w sprzedaży. Rekord świata. I to mi się podoba. Wręcz napawa nacjonalistyczną dumą. Polak potrafi, tylko zależy jaki. Bo również zaczyna się „źle dzieć w państwie duńskim”. Więc może by zamiast w coraz bardziej kretyniejącą politykę, znowu uciec w sztukę. Odkryć w sobie jakieś nieznanne lądy. Ledwo się zamyślił ja, to składnia z Podlasia, już się stało. Dzwoni do mnie Wajda, idzie o rocznicę odkrycia Ameryki przez Kolumba. Proponuje mi właśnie zagranie odkrywcy w nieznanej mi sztuce Claudela. Produkuje Teatr Miejski w Gdyni z okazji i przy okazji operacji „Żagiel”. Dekoracja, żaglowiec „Dar Pomorza” zacumowany na redzie gdyńskiej. Wajda – nadzór artystyczny, robotę odwalają jego studenci PWST: Ryszard Nyczka, Wojciech Starostecki. Muzyka i wykonanie na żywo – mój genialny przyjaciel Czesław Niemen. Próby – lipiec, sierpień. Cholera, tak chciałem mieć wakacje! Życie rodzinne ważniejsze, ale zagrać Kolumba dla dwóch tysięcy ludzi w plenerze, to kusi. Radość i obłuda walczą we mnie i kaza mi szukać kompromisu. Rodzinę: Zuzię i Weronikę mogę od połowy lipca ulokować w niedalekiej Juracie. Jadę więc do Gdyni. Rozmowa o gaży. No, już zaczyna być normalnie, można ją dyskutować. Dyrektor Wójcicki napięty, koszta ogromne, zysk niepewny. A jak będzie padać? Ile tu zachodni gwiazdorek zażąda? Warunki rozumiem, rwę się do przygody. Mówię więc skromnie. Nie ważne, chcę tylko w czasie pracy nie myśleć o utrzymaniu siebie i rodziny w Juracie. A nie była to „Bryza”, o nie. Też dosyć drogo, ale gdy proponuję sumę, Wójcicki rzuca mi się rozpromieniony w ramiona. Liczył i mógł, jak widać, zapłacić na pewno więcej, myślę sobie. Aktor, już nawet w Polsce, nie może takich spraw załatwiać bez agenta. Aktor ma pić drinka z reżyserem, uśmiechać się od drugiego stolika głupkowato – słodko do producenta, a cały ten konieczny bajzel, ma załatwiać pragmatyczny, chłodny i kuty na cztery nogi agent. Tylko gdzie oni są i co umieją? No, w każdym razie, słowo się rzekło, idziemy na obiad z chłodnikiem do króla tutejszej gastronomii, Mazurka.

Ja zawsze mówię, że w lecie każdy dzień bez chłodnika jest dniem straconym. Ale przedtem jeszcze konferencja prasowa. Wajda zagaja, wyjaśnia, śmiać mi się chce, bo już kolejne pokolenie dziennikarzy zadaje mu pytanie: dlaczego właśnie Olbrychski?

Ten – w domyśle. Andrzej prościutko i skromnie wyjaśnia: nie widzi żadnego innego aktora z taką siłą, która uniosłaby ten niemal monodramatyczny tekst, tę legendę i zapanowałaby nad wielotysięczną widownią. Kurwa, myślę sobie, to skoro ja mam taką siłę, charyzmę, i dalej jesteś zdania, że jej nie straciłem, to dlaczego od kilkunastu lat nie pracowaliśmy razem?! Ale to już inna para kaloszy. Zrobiono nam z Cześkiem zdjęcia, na afisz i na okładkę programu. Ja – lewy profil, on w kapeluszu – prawy. Na zdjęciu jest dokumentacja mojego raka skóry. Musiałem go parę miesięcy potem operować. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, pypeć, myślałem

sobie, jakiś. Czesiek radził mi przecierać go moczem, to leczy wszystko, mówił ten wegetarianin, znachor znad Niemna. Nowotwór odnowił mi się po filmie w Himalajach, rok później. Nie mogłem już wychodzić na słońce bez silnego filtra, co najmniej 25.

W otoczeniu artystów i fachowców

Niemen. Czesława uwielbiam i podziwiam. Jest jednym z największych muzyków, ba, artystów, na planecie. Był to dialog. Jego śpiew do własnej poezji z inspiracji kolumbowej i moje monologi. Jedno z ważniejszych przeżyć w moim życiu teatralnym. Potwornie ciężka harówka fizyczna. Czesław przetrzymał to świetnie, bo nie pije, nie pali, je tylko kaszę gryczaną. Wszystko inne to trucizna, mówi. Może i ma rację. Jest ładnych parę lat starszy ode mnie, a wygląda jak 30 lat temu. Lubiłem spędzać z nim czas wolny, ale nie za często. Deprymował mnie i zawstydział swoim higienicznym trybem życia. A ja, jak Państwo wiedzą z moich poprzednich zwierzeń... Praca była, jak powiadam, piekielnie ciężka. Najpierw w sali sportowej przy teatrze szkicowanie sytuacji. Duchota, osiem godzin dziennie, dziesięć, jak na Zachodzie. Świetni statyści, szkoleni przez Waldemara Głuszcza.

Marynarze Kolumba to bardzo sprawni i wręcz uzdolnieni aktorsko żołnierze z tutejszej jednostki. Indianie to uczniowie, studentki, bardzo ładne, pamiętam zwłaszcza jedną. Na imię miała Ewelina. Bardzo przyjemny hotel, z wybitnie przyjemną dyrektorką, panią Ulą. Pracujemy sobie, pracujemy, coraz bardziej zaczynam wchodzić w skórę, nerwy i mózg tego opętanego „złotym kobiercem ścielącym się na morzu od zachodzącego słońca”. A kobierzec taki też widać na Zatoce Gdańskiej, „bo lato było piękne tego roku”. Próby już na wielkim pomoście przed białą fregatą. A ja właściwie mieszkam na niej. Czasem rowerem wracam do hotelu, restauracji, wszystko pięknie. Mój przyjaciel od *Hamleta*, *Potopu*, i *Beniowskiego* – mistrz Waldemar Wilhelm, on mi ci tę rękę do szabli układał, jest już na miejscu. Wajda słusznie zauważył, że skoro ja gram Kolumba, a jest bunt marynarzy, to publiczność będzie zawiedziona, jeśli nie dojdzie do walki na białą broń. Kolumb przeciw wszystkim. Zabawnie i efektownie. Czemu nie! Waldek wszystko potrafi *w tym temacie*. Mając mnie jeszcze w wieku rębnym, i bardzo sprawnych żołnierzy, można by dać feerię dynamiki i dowcipu. Ale do premiery tydzień. Ćwiczyć by trzeba było osiem godzin dziennie tylko to. Z konieczności wybieramy z Waldkiem inny wariant. Kolumb nawet nie jest uzbrojony. W tej scenie, zmuszony do walki przez oficera, bawi się tylko swoim płaszczem. I bardzo efektownie zakręcając płaszcz wokół głowni przeciwnika, jednym szarpnięciem rozbija go. Naprawdę jest to możliwe. I bardzo się to potem publiczności podobało. No, więc wszystko idzie dobrze, nawet za dobrze, myślę sobie. Stresy tylko artystyczne, a więc zdrowa adrenalina. Ludzie się do mnie na ulicach Gdyni uśmiechają. Gdzie te czasy sprzed 20 lat, kiedy nie mogłem wejść bez przykrości do kawiarni, bo rozmowy milkły i patrzono na mnie spode łba, że ośmieliłem się porwać na rolę Kmicica. Ech, łza się w oku kręci. Ale spoko spoko, jak mawia mój syn Rafał.

Nie strzelać do artysty

W Teatrze Miejskim czeka na mnie grubaśny list. Ta grubaśność i egzaltacja już na kopercie, *Imć Pan Daniel*, pozwalają mi się domyślać czegoś w rodzaju anonimu. Już nie anonimu politycznego, to inny rodzaj, że tak powiem, czcionki. Otwieram. Na bardzo wielu stronicach, autor, podpisany *Stary Wiarus*, sugestywnie wyjaśnia mi, że nie mam prawa i nie wolno mi grać Kolumba. Kolumba powinien grać ni mniej, ni więcej tylko Kopiczyński. Odrzucam nasuwający się lirycznemu detektywowi pomysł, że *Stary Wiarus* to moja pierwsza żona Monika Dzienisiewicz, od wielu lat szczęśliwa partnerka właśnie Andrzeja. Aha, Kopiczyński grał kiedyś Kopernika, ta sama epoka, charakteryzacja, kostium. Chyba rozumiem. Z pewną życzliwością czytam więc dalej. I tu „skończyli się żarty”, jak mawiał Wieniawa Długoszowski. Jeżeli natychmiast nie oddam roli i publicznie nie przeproszę za to, to on – *Stary Wiarus* już za nic nie odpowiada. Ni mniej, ni więcej mogę oczekiwać, że zobaczę błysk ognia na widowni w czasie przedstawienia, a wystrzału już nie usłyszę. Dziś nie pamiętam, czy zrobiło mi się nieswojo, czy nie. Moim dziewczynom w Juracie, którym dość żartobliwie to przekazałem, jednak chyba tak. Wójcicki, producent, potraktował to poważnie. Jedziemy do Głównego Komendanta Gdyni. Gwarantuje mi dyskretną, lecz pewną ochronę. Doskonale wie, że na oświetlonym pomoście przed tłumem siedzącym w mroku jestem idealnym celem dla szaleńca. Albowiem do polityków strzelają terroryści, do bogaczy bandyci, a do artystów szaleńcy. Pamiętacie śmierć Lennona? Nie pomnę, żebym się czuł nieswojo na pierwszym przedstawieniu. Koncentracja jest w tej pracy tak wielka, łagodzi lub usuwa nawet większe stresy. Belmondo wiedział, że musi zagrać, mimo że rano spłonęła we własnym mieszkaniu jego córka. Inaczej już nigdy nie wyszedłby na scenę, byłby wrakiem. W moim wypadku wszystko skończyło się dobrze. Stojąca owacja parotysięcznej widowni, feeria ogni sztucznych, koktajl na „Darze Pomorza”. Z Półwyspu Helskiego, z Dębek zjechali przyjaciele: Wajda, Hanuszkiewicz – moi ojcowie artystyczni, Zuzia, Weronika, teściowie. Zdrowa i potrzebna egzaltacja udanej premiery, udanego, ryzykownego przedsięwzięcia. Na koktajlu poznałem oficerów mojej brygady antyterrorystycznej – mili, młodzi ludzie w cywilu. Szefową była śliczna blondynka, po wieku sądząc, porucznik.

Po sukcesie trzeba grać dalej. Kilka spektakli, bilety sprzedane, ale kto mógł przewidzieć, że polscy piłkarze Wójcika i Niemczyckiego dojdą do finału. Oni grają z Hiszpanią, a my musimy też, na dworze króla Hiszpanii. Tego samego wieczoru. Ja bym nie miał nic przeciwko temu, gdyby ludzie nie przyszli i trzeba by spektakl odwołać. Też bym chętnie zobaczył mecz. Wypatrujemy z pokładu „Daru”. Cholera, tłumy ciągną, siadają, amfiteatr się zapelnia i to nie tylko kobiety. Mężczyźni też zrezygnowali z widowiska piłkarskiego. Zboczeńcy, myślę. Zaczynamy spektakl. Towarzyszy nam wyraźny odgłos toczącego się gdzieś w Katalonii meczu. To masa jachtów z operacji „Żagiel” zacumowana obok naszej fregaty, wszędzie telewizory. Trochę to przeszkadza i nam, i naszej widowni. Gdzieś w pierwszym akcie przedstawienia i pierwszej połowie meczu pada bramka dla Polaków. – Dobry los dla nas sprawił, że było to na ostatnim akordzie pięknej pieśni Niemna. Potem ja miałem zaatakować monolog: „Jakie piękne jest morze”. Odczekałem kilka lub więcej sekund

wiwatów i strzelających na jachtach korków. Nabrałem powietrza i nad moło w Gdyni uniósł się rozjaśniony głos Kolumba, rozjaśnionego w tym momencie kibica Olbrychskiego: „Jakie piękne jest morze”. Odpowiedziały mi wiwaty, tym razem już mojej widowni.

Skandal z telewizją

Było słodko i znowu będzie gorzko. Za Kolumbem, którego spektakl powtórzyliśmy z powodzeniem w następnym roku, ciągnie się jednak dla mnie i Czesława przykre również wspomnienie. Od początku były plany zarejestrowania spektaklu przez telewizję dla celów dokumentacyjnych, z opcją wykorzystania fragmentów do emisji. Mieliśmy z Niemnem dostać oddzielne na to umowy. Nasze kontrakty z Teatrem Miejskim spisane były wyłącznie na spektakl teatralny. Widziałem, że na drugim czy trzecim spektaklu pojawili się kamerzyści. Chaotycznie biegając między nami i widownią, przeszkadzali i widowni, i nam. Kontrolując podświadomie ich pozycje, widziałem, że rezultat będzie do dupy. Nie było cudów, tak się stało. Spektakl został wyemitowany, zbliżone w brzmieniu słowo – zwymiotowany jest tu właściwsze, w całości. Była to antypromocja, krzywda dla wszystkich, a zwłaszcza zbrodnia popełniona na muzyce Niemna. **Mikrofony kamerowe zbierały z pleneru jego muzykę.** Potem telewizja gdańska przysłała mnie i Czesiowi umowy o dzieło, *post factum*, na sumę po 5 milionów złotych. W sekretariacie teatru podarliśmy je. Chciałem się procesować. Wygralibyśmy. W każdym praworządym kraju. Wtedy obróciłoby się to przeciwko Teatrowi Miejskiemu, który zadysponował nami, jakbyśmy byli na etacie. Na Zachodzie z powodu takiego skandalu procesowałiby się najwięksi przyjaciele. A tu wystarczyłaby stanowcza interwencja normalnego związku zawodowego. Ale skoro moje środowisko nie wie, co to jest i od lat sprawia wrażenie, że nie chce wiedzieć...

Mimo znakomicie spędzonego czasu i w pracy, i towarzysko z zespołem Teatru Miejskiego, pomyślałem, po raz pierwszy po powrocie do kraju, że przyjaźnić się z poszczególnymi ludźmi oczywiście można i trzeba, natomiast z szeroko pojętym tzw. środowiskiem nic mnie nie łączy. I co gorsza nie można im pomóc. Nie chcą.

Hel – Jurata

Z Gdyni po serdecznym bankiecie z całym zespołem, sędzę, że naprawdę się polubiliśmy, jadę do Juraty. Na Półwyspie Helskim zawsze spędzamy z Zuzią i jej rodzicami, a teraz też z Weroniką, część letnich wakacji, z wyjątkiem lat „emigracji”. Zostały mi tylko dwa tygodnie. Zuzia przyjeżdża tu od dzieciństwa, to dla niej coś takiego jak Drohiczyn dla mnie. Czuje się tu małą dziewczynką, tak jak ja chłopcem na Podlasiu. Ona lubi spacerować wzdłuż najpiękniejszej chyba w Europie plaży. Szkoda, że morze takie zimne. Ja wolę, jak na razie, odpoczynek bardziej czynny: tenis i rower. Codziennie robię na mojej wyścigówce z pięćdziesiąt kilometrów do Cetniewa i z powrotem. Cetniewo to wspomnienia filmu *Bokser*, Feliks Stamm, Leszek Drogosz – 1966. O Boże, to już 26 lat. Ile się zdarzyło, ile przeżyłem, bywało ciężko ale miałem szczęście, miałem, kołacze mi się w głowie, gdy rytmicznie depcę pedały. Przepraszam, nie chciałem nikogo urazić. Z pewnym wysiłkiem, w kierunku Cetniewa, przeważnie pod wiatr i dużo swobodniej z powrotem, na kolację do Juraty. Po kolacji (bardzo dobrze nas tu karmią Irena i Staś, u których się stołujemy i przeważnie mieszkamy) lubimy z Zuzią chodzić na molo, do zatoki, piękny zachód słońca, mewy, lub jeździć śliczną, wijącą się wśród lasów drogą na Hel, do „Maszoperii”, często z przyjaciółmi.

Agata Miklaszewska-Idziak, współautorka scenariusza *Metra* Józefowicza, jej mąż – operator i reżyser Sławek Idziak. Wojtek Młynarski, Magda Zawadzka, Gustaw Holoubek, Jan Englert z rodziną: Basia Sołtysik, córki bliźniaczki, syn Tomek. Dojeżdżają do nas z Dębek, lub odwrotnie, my do nich: Agnieszka Osiecka, Ewa i Edward Wende. Z pobliskich Chałup – Morgensternowie, Ewa Wiśniewska, Hanka Bakuła, Joasia Szczepkowska z córkami i z rodzicami. Co roku się to trochę zmienia, ale właściwie są wszyscy, przed paru laty – zawsze Kalina Jędrusik.

Bez napięć, pogoni, trochę z dala od tych starć środowiskowych i cholernej polityki, stosunki między nami łagodnieją, pogłębiają się. Trudno nam się rozstać. Niestety czytamy gazety – przynosi je Łapa co rano – i oglądamy Wiadomości. Szlag mnie zawsze trafia. Dlaczego ci dziennikarze wykreowali z nieciekawych w większości i niemądrych ludzi, mówię o nowej kaście polityków, rodzaj gwiazdorków w mass mediach. Jako człowiek od lat przyzwyczajony do popularności widzę, jak ci wiekowe dojrzały, anonimowi do niedawna mężczyźni mizdrzą się przed kamerami. Mówią przeważnie bzdury, napadają na siebie wzajemnie, nie dla dobra kraju, w dziewięćdziesięciu procentach na pewno nie, tylko byle nie utracić tej swojej nadętej ważności i właśnie tak ważnych dla nich pozorów popularności. Nie mogę oprzeć się mniemaniu, że styl ten zainicjował nasz prezydent, z okresu pierwszej kampanii, choć działało się to już przed wiekami. Tym niemniej krótki okres w pracy rządu Mazowieckiego z Balcerowiczem na czele, bazując jeszcze na integracji i entuzjazmie społeczeństwa, dokonał rzeczy znaczących. To jest już zupełnie inny kraj, choć łatwo to ciągle zmarnować. Jeżdżę bez przerwy na Zachód i na Wschód i porównując, widzę, jak szybko nasze społeczeństwo zdąża jednak we właściwym kierunku. Prawie normalnym. Choć tyle jeszcze komuny we łbach, nawet w partiach prawicowych. Cóż to za zaraza. Żeby ktoś wymyślił na to jakąś szarą maść, jak na mędy.

Hamburg – Wiktor, Barbara

Jadę z Juraty do Hamburga, zobaczyć się z Wiktorem. Potem, żeby go odwiedzić, będę musiał latać przez ocean. Jego matka, Barbara Sukowa, po kilku latach postanowiła związać się z kimś. To Amerykanin. Znany plastyk i reżyser. Próbowala, jak kiedyś jej matka, wiele lat być sama z dziećmi. Prowadzę nissana wzdłuż wybrzeża na zachód i myślę, że do rozmów z Wiktorem wystarczy teraz mój angielski. Za rok będzie mówił jak amerykański kaczor Donald. Byłem tylko nadażył. W każdym razie w tej sprawie nie muszę się już uczyć niemieckiego, uff. Przekraczam granicę. Już nie upokarzają mnie celnicy z NRD-kowa, drugiej granicy pod Hamburgiem też nie ma. Podobno tu Polaków czasami napadają neofaszyści. Z komunizmu do faszyzmu jeden krok. To śmiecie każdego społeczeństwa. Ale jeszcze wczoraj upokarzano nas całkiem oficjalnie, bo jak „toto” dorwie się do władzy, czy z lewa, czy z prawa, to ho, ho! Jadę, pogwizdując i bawię się w kowboja. W skrytce po prawej ręce mam nabity, okazałych rozmiarów magnum-45. Oczywiście gazowy Jeżdżę z nim w samotne trasy, nawet w Polsce. Zawsze raźniej. Ech, daj ci Boże żyć w ciekawych czasach!

A propos magnum, proszę się nie śmiać. Mój starszy kumpel, Franek Starowieyski, jest jeszcze bardziej dziecinny. Kiedyś podobno, urażony w honor polskiego szlachcica, wyzwał w Wiedniu jakiegoś intelektualistę na szable.

W Hamburgu było nawet miło. Dużo mniej napięcia niż zawsze. Chłopak rośnie, no bo co innego ma do roboty. Takie jego prawo i mus. Nic nie poradzi też na to, że do mnie podobny. To nawet miłe. Tylko gdy raz dostał krótkiego wybuchu złości, duma z moich genów mi lekko osłabła. Ale nie jest tak źle. W sumie jeszcze pięciu lat. Barbara, dość spokojna. Pierwszy raz rozluźniona. Żegnamy się. Gorąco życzę jej szczęścia. Żegnam jej sąsiadów z Övelgene. Polubiliśmy się w czasie moich paroletnich wizyt. Bardzo jej pomagali. On misiowaty, wąsaty malarz. Podobno bardzo dobry. Nie znam się. Dobrze natomiast gra w ping-ponga. Często mnie w ogródku ogrywał. Ma problem alkoholowy. Pije rzadko, ale jak już zacznie... Potrafi całej dzielnicy portowej stawiać sznapsy, a rodzinę do wyżywienia ma liczną. Övelgene to stara, spokojna dzielnica domków, kiedyś kapitańskich, nad Elbą. Przed oknami przepływają ogromne oceaniczne statki. W nocy jak w *Amarcordzie* Felliniego. Niemcy nie zamykali tu nawet swoich domów do czasu, gdy w pobliżu osiedlili się cudzoziemcy, Polacy niestety też. Zaczęły się kradzieże. Jeżeli chcemy, żeby Rosjanie rozumieli nasz problem turystów ze wschodu, trzeba znać i rozumieć najpierw ten. Wracam do Juraty. Jeszcze parę dni chłodnych już wakacji i rozpocznie się piekielny kołowrotek. No, ale sam chciałem.

Cztery główne role w cztery miesiące

Wrzesień–grudzień 1992

Dwa polskie filmy, jeden francuski, i... gruziński! Nie, nie zwariowałem, ani nie musiałem tyle zarabiać, po prostu obiecałem trojgu reżyserom udział. Role były pisane dla mnie. Produkcje wybuchły, tak się zdarza, w tym samym czasie. Do Sławka Piwowarskiego sam się zgłosiłem, kilka miesięcy wstecz. Zawsze podobały mi się jego filmy, zwłaszcza *Yesterday* i *Kochankowie mojej mamy* ze świetną Kryską Jandą. Zobaczyłem, że na tle kina polskiego, ba – europejskiego, jest on jednym z nielicznych twórców, którzy zajmują się nie własną reżyserską duszą, ale tym co się dzieje między ludźmi. A to mnie w literaturze i kinie najbardziej interesuje. Poza tym, umie opowiadać historie. I to, jak mówi Singer, jest najtrudniejsze i najważniejsze w literaturze, dodam: w filmie również. Ale to mało kto wie, nie tylko u nas, lecz i w Europie. Przerzuciłem kilka egzemplarzy udającego światowy magazyn „Filmu”, stwierdziłem, że ten świerszczyk ani widzów, ani twórców niczego nie nauczy.

Na jakimś przyjęciu, zdaje się w Teatrze Rampa, po premierze podchodzę do Piwowarskiego i mówię:

– Panie Sławku, podobają mi się Pana filmy, są śmieszne, wzruszające i o miłości. Tego mi trzeba. Zwracam się do Pana sam, bo w przeciwieństwie do reżyserów z innych krajów świata, Pańscy koledzy i młodszy nic mi prawie nie proponują. Może uważają, że jestem już do dupy, a może boją się odmowy lub że będzie trudno ze mną pracować, czy też jestem za drogi, nie wiem. Niech Pan spróbuje i pomyśli w następnym swoim filmie.

Powiedziałem, co wiedziałem i życie toczy się dalej.

Ja od czasu do czasu dopisuję stron kilka do tej książeczki.

Odwiedza mnie, jeszcze w mieszkaniu koło Łazienek, poważna delegacja, dwoje Gruzinów. Ona – znana mi od lat reżyserka teatralna i filmowa Ketī Dolidze, świetnie mówi po rosyjsku, to jasne, po angielsku i po polsku; śniada, ciemnooka, bardzo kobieca. W twórczości też. On, pobrużdżony, wyglądający jak kaukaski góral, scenarzysta, z ogromną butelką koniaku. Myślę sobie, *o, seriozno*. W dodatku Gruzini naprawdę nie tylko mają świetną plastykę i teatr, ale potrafią pisać scenariusze i robić filmy. W dodatku umieją śpiewać, jeść i pić. Zanim butelka była wypita, wiedziałem, o co chodzi. Ketī chce robić film, znalazła kogoś bogatego. Gruzini biznesmeni są gotowi produkować. Za wszystko płaci. Bardzo dobrze. Ważne tylko, żeby obok jego ulubionej gruzińskiej gwiazdy Mariny Dżanasziji zagrała jego ukochana, europejska gwiazdorska para, tzn. Beata Tyszkiewicz i ja. Kaukaski góral ma już pomysł na historię. Komedia miłosna, historia z konieczności gruzińsko–polska, zdjęcia z nami w Polsce, jeden dzień w Tbilisi. „Tajemniczy biznesmen” ma płacić mi gotówką dzień po dniu. Pada propozycja stawki, zbliżona do mojej średniej europejskiej. Koniak wzmacnia uczucie braterstwa z narodem gruzińskim. Poza tym wzmacnia również rozczulenie i uświadamiam sobie, że z ukochaną Beatą nie graliśmy razem od 68 roku, od *Wszystkiego na sprzedaż*. Taka to głupia ta nasza kinematografia. Gorycz koniaku potęguje moją gorycz. Tak reżyserzy i

producenci myślą o nas i o widzu. A ci wspaniali Gruzini doceniają gwiazdy i jeszcze przychodzą z wielogwiazdkowym trunkiem. Koniak dopity. Otwieramy czaczę, gruziński bimber. Jakaż ta Ketii powabna i jaki on, cholera, zapomniałem imienia, inteligentny i dowcipny. A gruzińska partnerka, czy zdolna, i broń Boże, też ładna? Wyciągają fotosy. No nie, cudowna. Na *zdarowie!* Jak to jest po gruzińsku? Gagfardżos – bardzo *wypitne* słowo! Następnego dnia, na lekkim kacu, referuję sprawę Zuzi. Zuzia ciut, ciut przerażona. Bo metoda pracy Stanisławskiego skrzyżowana z kilkugwiazdkowym koniakiem wydaje jej się równie niebezpieczna jak ewentualna podróż na Kaukaz. Spokojnie, mówię. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Nie zdążą do lata ze scenariuszem, z pieniędzmi, z koprodukcją. Róbmy na razie swoje.

W moich ramionach Marysia Seweryn

Dzwoni Sławek:

– Daniel, czy możemy być po imieniu, bo od paru miesięcy piszę historię aktora Daniela, więc cały czas jestem z tobą na ty. A więc, aktor Daniel, twój wiek, zakochuje się w licealistce. Przeczytaj.

Czytam. Pokazuję Zuzi. W końcu to doradca literacki Strzeleckiego. Po przeczytaniu śmieje się.

– No, bardzo dobre – mówi – ale to dla ciebie rola bardziej kostiumowa niż Kmicic. Kmicicem byłeś, tu możesz mądrze i autoironicznie zagrać. Gdzie ty byś się tam skupił i tak czule wprowadzał w życie młodziutką dziewczynę. Z bohaterem łączy cię sympatia do czerwonych, sportowych samochodów i białego wina. Barwy polskie.

Scenariusz mi się podoba. Grać trzeba na pewno trochę komediowo. Żeby trop nie był dosłowny, bo grać mam zaledwie w cząsteczce siebie, zmieniamy imię bohatera na Rafał i zaczynamy szukanie. Niech ten czasownik nie czyta się po czesku.

Na ustach siedemnastolatek

Sławek z ekipą zaczynają od selekcji i testowania przed kamerą wideo młodziutkich, ślicznych, i mam nadzieję zdolnych, dziewcząt. Bo słusznie zauważył niedys Gustaw Holoubek, że fotogeniczność to po prostu talent. Czasem wzywają „mistrza”, w scenariuszu mówi się o mnie mistrz, żebym był sparing partnerem. Jak wyglądamy razem, jak przebiegają między nami aktorskie i prywatne prądy. Trudno mnie oszukać w takim tekście, czy partnerka ma predyspozycje do grania, czy nie. Czy jest wiarygodna w postaci. A przy tym sporo przyjemności. Z każdą jest scena pocałunku, w którym dziewczyny przekazują mi ustami gumę do żucia. Niewinne to i perwersyjne zarazem. Dziewczątka wcale się nie wstydzą. Ja też powoli coraz mniej. Choć każda mogłaby być moją córką.

Zaczynam z przyjemnością już jeździć rano do wytwórni na Chełmską. Każdego dnia kilkanaście różnych ust, różnych piersi, różnych przemyłych, dyskretnych młodziutkich zapachów. Może to błędne mniemanie, że lolitki to nie mój styl. Przy okazji staję się coraz bardziej prywatny, wchodzę na tych próbach od niechcienia i bez męki w postać, obcego mi trochę z początku, Rafała... Powoli wyłania się ścisła czołówka, jakieś cztery są brane pod uwagę. Jest to dla wszystkich ewidentne. Któregoś dnia Sławek mnie prosi, żebym przyjechał na Chełmską. Chce sprawdzić ze mną jeszcze jedną dziewczynę. Zajeżdżam. Czeka na mnie speszona i spięta, wysoka, długonoga, gibka jak łania 17-lotka. Podobna niesamowicie do mojego wybitnego kolegi, córka Krysi i Andrzeja, Marysia Seweryn. Lekko zadrżałem. No, bo jak tu się całować z dzieciakiem, który mówi mi już paręnaście lat wujku?!

...Bez całowania, jakoś to poszło. Nie byłem olśniony ani Marysią, ani sobą. Mam w głowie dwie inne kandydatki, albo ta, albo ta, myślę. Instynkt rzadko mnie zawodzi. Tym razem jednak zawiódł. To Sławek miał rację, upierając się przy Marysi. Nie mogłem stawiać sprawy na ostrzu noża, mimo że reżyser jasno mi mówił, że jeśli chcę grać z kimś innym, to on się do tego nagnie. 30 lat pracy nauczyło mnie dyscypliny i rodzaju pewności, połączonej jednak z pokorą. Wiem, że w wielu sprawach reżyser, nawet średni, widzi z boku lepiej niż działający w środku aktor. A cóż dopiero tak wrażliwy w tego rodzaju tematach ludzkich i filmowych Sławek. Zaufałem mu. Zacząłem bardzo podtrzymywać w pracy Marysię. Szybko, bardzo szybko nie było trzeba. Marysia ma nie tylko świetne geny, ale i własną niepowtarzalną osobowość. Piwowarski miał rację.

Nie będę opisywał historii filmu. Bardzo pięknego filmu. Dostał potem nagrodę i w Gdyni, i od publiczności. Nie będę też opisywał pracy. Mam same miłe wspomnienia. Więc mogą być to wspomnienia nudne, choć dla mnie wzruszające. Operator świetny, Witek Adamek. Znowu po latach fotosy robi mi Renata Pajchel. O Boże, chce się ją zabić, gdy nas męczy i każe powtarzać każdą scenę do fotosów, ale ma rezultaty nadzwyczajne.

Nie pracowałem w polskim filmie już z siedem lat, bodajże od GaGa Szulkina. Co się zmieniło? Na plus, przede wszystkim organizacja i warunki pracy ekipy. To pokolenie kierowników produkcji, to już zupełnie co innego. Otarli się o zachodnie koprodukcje i wiedzą, że przerwa na smaczny, ciepły posiłek dla ekipy to nie marnowanie czasu i pieniędzy, ale wręcz przeciwnie, to dodaje ludziom energii i poczucia współodpowiedzialności. Truizm,

ale nie umiałem tego wytłumaczyć ani produkcjom, ani związkom zawodowym, ani oczywiście kolegom w poprzednich dekadach. To Prawda, że dzisiaj jest dużo łatwiej pod tym względem. Różne prywatne firmy te oczywiście dziś warunki zapewniają. Można dyskutować i indywidualizować umowy aktorskie. Nie mogłem żądać mojej stawki zachodniej, bo filmy polskie nie przynoszą takich dochodów, tym niemniej byłem już bardzo godziwie, jak na nasze warunki, zapłacony. Kierownictwo i cała ekipa przemili. Trudno mi się było z nimi rozstać. Gdy kręciłem chwilę później następny film, o tym po tym, czułem się trochę jak zdrajca lub wręcz dziwka. Dostałem faks od *Kolejności uczuć*, bardzo czuły. Odfaksowałem z Łodzi do ekipy *Kolejności*:

*Droga Kolejności,
ja zawsze radości
ze wszystkich filmów mam wiele*

*i chociaż to trudno
każdemu po równo,
tak cały się sobą podzielę.*

*Mą duszę i ciało,
by nic nie zostało,
ekipom, kochankom rozdaję.*

*W tym walcu nad walce
wspinam się na palce,
bo kino haremem się staje.*

*Lecz tobie, dziewczuszko,
coś szepnę na uszko,
bo inne by mogły wypomnieć,*

*tej nocy radości,
tej nocy miłości
nie mogę do dzisiaj zapomnieć.*

No i Pan Bóg haremem pokarał

No dobrze. Film ze Sławkiem zrobiony. Losy jego będziemy śledzić za rok. Tłumaczę się z tych równoległych. Retrospekcja. Jestem po słowie, a przed zdjęciami z Piwowarskim, pracuję nad Kolumbem. W moim hotelu gdyńskim pod wdzięcznym tytułem „Antracyt” pojawia się znowu silna i dziwnie rozpromieniona delegacja gruzińska. Ki diabli! Już prawie o tym zapomniałem. Nie wierzyłem w doprowadzenie produkcji do skutku. Ileż to takich projektów, nawet na Zachodzie upada. Ile razy najwybitniejsi aktorzy zostają na lodzie, bo zabrakło jakiegoś elementu, przeważnie pieniędzy. A tu nie. Wszystkim się może to zdarzyć, ale nie Keti Dolidze. Mówię, że nie mogę, mam już kontrakt z Piwowarskim. Kaukaski góral-scenarzysta zgrzyta zębami i mówi, że gruzińskie słowo nie wiatr. Kierownik produkcji z Tbilisi pokazuje mi dokumenty, z których wynika, że gros pieniędzy dostał w związku z moim udziałem i jeżeli odmówię, to on już może nie wracać, chyba tylko, żeby popełnić gruzińskie harakiri. Keti, już nie pamiętam, co mówi, ale chyba jest jeszcze bardziej dramatyczna. Biją na mnie poty. Wiję się jak potępieniec. Śmierć i mnie zagląda w oczy. Jeśli chodzi o śmierć, Keti słodko mi tłumaczy, że bez mojego podpisu naprawdę nie mogą wracać na Kaukaz, bo wydali już sporo pieniędzy, więc ich tam po prostu zarzną. Nie wspominam o zobowiązaniach francuskich, jeszcze sprzed dwóch lat. Też na śmierć i życie. I też produkcja gotowa na tę samą piekielną jesień. O tym potem. Pod koniec obiadu, tym razem bez czaczy i koniaku, podpisuję zobowiązanie wstępne, bez którego nie dostaliby żadnych następnych pieniędzy, a poprzednie musieliby zwrócić. Boże, myślę, nie bez pewnej obłudy. Skoro mnie tak doświadczasz, to na pewno coś wykombinujesz, że przejdę przez te odmęty zdrów i suchą nogą, i znowu bogatszy. Zdjęcia trzy tygodnie. Październik, Kraków, Pieskowa Skała. Scenariusz gotowy, zabawny, liryczny, pod wdzięcznym, roboczym tytułem *Jajo dinozaura*. Piwowarski nic nie wie, jaka akrobacja go czeka. Wie tylko o filmie francuskim.

Yolanda Zauberman – utalentowana, francuska reżyserka filmów dokumentalnych napisała poetycki scenariusz o przyjaźni chłopaka żydowskiego z białoruskim. Rzecz nie całkiem udokumentowana w realiach, bo i nie o to tu chodzi. Dzieje się niby na kresach Rzeczypospolitej przed II wojną światową. Ja mam grać *fou de cheuaux*. Zabawne, że reżyserka o moich końskich pasjach nic nie wiedziała. Scenariusz mi się bardzo spodobał, ona też. Włosy koloru płynnej miedzi. Obiecałem. Szukała pieniędzy. Nie było ich. Obiecałem zagrać za symboliczne. *Patricipation amicale* w czołówce – znaczy, że znany aktor zagrał po przyjacielsku, ćwierć darmo. Teraz trochę żałuję, nie udziału, broń Boże, ale Catherine, moja agentka paryska, mogła mi wywalczyć jakiś procent z ewentualnych zysków, i byśmy wygrali. Bo film nie tylko dostał Grand Prix na ciągle prestiżowym festiwalu w Moskwie, ale przez kilka miesięcy utrzymywał się w kinach Paryża.

O tym zobowiązaniu produkcja Piwowarskiego wie. Po paru dniach zdjęć z coraz lepszą każdego dnia Marysią robię przerwę i wsiadam w samochód białoruskiego koproducenta Francuzów. Wiozą mnie do Grodna, gdzie czeka na mnie ekipa *Moi Iwan, toi Abraham* i konie. Jedziemy szosą na Białystok. Po 40 kilometrach widzę tabliczkę Głuchy, miejsce urodzin Norwida. Każę kierowcy skręcić, nie żeby złożyć hołd mojemu ulubionemu poecie.

Dworek ten dawno kupili i odremontowali Beata i Andrzej. A teraz mieszka tam na stałe moja chrzestna córka, Karolina Wajda. Mieszka i gospodaruje w pełnym tego słowa znaczeniu. Ją właśnie chcę na chwilę odwiedzić, ucałować, powiedzieć, jak mi się podoba jej stosunek do świata, ziemi i koni. Przywiązanie do tych dwóch ostatnich chyba odziedziczyła po mnie. Piękny dwór modrzewiowy. Jak z *Pana Tadeusza*. Aleja starych drzew, klomb, zajazd, obejście gospodarcze, gumno, jak mówi się u nas, na Podlasiu. Widać, że Karusia jest solidną dziedziczką, chce mi wszystko pokazać, jakie ma teraz konie, co kupiła, co sprzedała. Kierowca się trochę niepokoi, zapada zmierzch. Długa droga przed nami. Granica białoruska, musimy jechać. Karolina daje nam jajecznicę na boczku i garnek zsiadłego mleka. I dalej w drogę.

Za Niemen, hen precz...

Zdjęcia w Grodnie, jak to zdjęcia. Warunki życia i organizacja produkcji jak u nas przed 30 laty, albo i gorzej. Jak oni z tego wyjdą? Bieda i kompletne niezrozumienie co i jak trzeba zmienić, nie napawają żadną wiarą i nadzieją. Ludzie w ekipie – jak zwykle cudowni. Zaprzyjaźniam się, też jak zwykle, z kaskaderami od koni. Jest dużo scen z końmi. Oni za to odpowiadają. Mnie, oczywiście, nikt nie dubluje, wiedzą o tym. Znaleźli mi natomiast doskonałego konia. Jeżdżę na nim w filmie i w wolny weekend z nimi po okolicach Grodna. Miasto socjalistycznie ohydne, poza fragmentami dawnej polskiej starówki. Ale okolice piękne. Przejeżdżamy płytki w tym miejscu Niemen, czuję się jak szwoleżer księcia Poniatowskiego, gdy Wielka Armia przekraczała w 1812 tę rzekę, prąc na wschód. Powrót do bazy pod wieczór jest już ze wschodu na zachód. Też jak la Grandę Armee. Nie dzielę się tą zadumą nad przeszłością z moimi kolegami, dwoma jeźdźcami z Petersburga. Galopujemy po przepięknych, łagodnych pagórkach wokół Grodna. Co parę kilometrów stary, czynny cmentarz polski. Raz widzę pogrzeb polski. Biją dzwony. W polu pracują ludzie. Śpiewna polska mowa. Mówię z siodła: *Dzień dobry!* Stary chłop mruży oczy, patrzy na trójkę jeźdźców pod słońce.

– Olaboga, panowie wrócili. – I dorzuca pół żartem, pół serio – a w *telewidienii* nic nie powiedzieli.

Wiozła mnie służbowa wołga po zdjęciach do Warszawy. Po przekroczeniu granicy w Kuźnicy Białostockiej patrzyłem na białoruskiego kierowcę. Różnica między tamtą stroną a naszą była porównywalna lub większa od wrażenia, jakie przed laty robiło na nas przekroczenie granicy Berlin wschodni i zachodni. Daj Boże, żeby u nich też coś drgnęło. Życzę im tego, bo ich lubię.

Wszystkich lubię poza no... nie wymienię z nazwiska, bo mógłbym kogoś zapomnieć. Życzę im również z powodów egoistycznych. Nie chcę w imieniu swoim, syna i wnuków znowu stać się przedmurzem czegoś tam...

Aha, dowiedziałem się przed chwilą, a piszę to w październiku 94, że Karolina, moja chrzestna córka, do której znowu po drodze z Grodna wpadliśmy na nalewkę, została radną w Głuchach. Chłopi mówią, że może panienka ze dworu coś dla nich zrobić. No to czas się naprawdę cofnąć. I bardzo dobrze.

Haremu ciąg dalszy

Wracam na plan *Kolejności uczuć*. Na szczęście ta produkcja i zespół „Zebra” świadczy usługi gruzińskiej produkcji. Porozumieli się. „Zebra” jest na granicy bankructwa, więc te paręset tysięcy dolarów, które Gruzini płacą za współpracę, są temu zespołowi bardzo potrzebne. Piwowarski i kierownik produkcji Iwona Ziulkowska idą więc im i mnie na rękę. Mam przerwę na zrobienie filmu w Krakowie i Pieskowej Skale. W Pieskowej Skale ostatni raz byłem, kręcąc *Potop*. W ogóle uwielbiam pracować w Krakowie. W hotelu, gdzie mieszkamy, zaczyna się już instalować ekipa Spielberga. Szykują się do *Listy Schindlera*. Codziennie spotykam przyszłego laureata Oscara Alana Starskiego. Też zrobiliśmy razem parę ładnych filmów. Beata gra w stylu komediowym, rozkosznie, moją siostrę. Razem próbujemy w filmie utrzymać zamek, który przypadł nam w ramach reprivatyzacji. A Gruzini to naukowcy przyjeżdżający do tego zamku-hotelu na konferencję naukową, z ogromnym jajem dinozaura, bohaterem tytułowym. Moja partnerka – Marina to świetna aktorka i bardzo interesująca kobieta. W filmie historia kończy się romanssem. Zuzia twierdzi, że prywatnie też. Ale ponieważ mi przypisuje również miłą panią Anię – kustoszkę z Pieskowej Skały, więc chyba nie jest zbyt wiarygodna. Sporą rolę w filmie gra jeszcze Janek Machulski, z którym, z umiarkowaniem zajmujemy się *czytelnictwem*.

– Czy przeczytałeś już „Express Wieczorny”? – pyta mnie Jasio pod wieczór, nalewając z piersiówki troszkę koniaku.

Gra również bardzo dobra aktorka amerykańska, która naprawdę studiowała kiedyś w studio Kazana. Było bardzo miło, może nawet za. Bo czasami rezultaty na ekranie nie są wprost proporcjonalne do dobrej atmosfery na planie. Usługi techniczne „Zebry” przedstawiały jednak czasami sporo do życzenia. Ketii miała wiele pretensji. Często brałem jej stronę. Poznałem w czasie pracy nadzwyczajnego faceta. Janusz Król – plastyk, elektronik, szaleniec. Gdyby znał go Spielberg, na pewno coś by mu zlecił w wykonywaniu różnych ruchomych potworków w jego filmach, takich jak *E.T.*, *Gwiezdne Wojny*. Z nim i z wykonanym przez niego chodzącym i mówiącym małym dinozaurem przeżyłem rodzaj horroru na lotnisku we Frankfurcie. Koniec filmu kręcony miał być w Tbilisi. Tam grany przeze mnie facet przyjeżdża do swojej ukochanej z wyklutym już z jaja małym dinozaurem. Polska produkcja dała mi na podróż i zdjęcia trzy dni. Teoretycznie możliwe, do Tbilisi latało się przez Frankfurt. Tam trzeba było wsiąść w regularny, podobno, rejsowy samolot gruziński. Regularny tylko w teorii. Samolot gruziński nie doleciał przez dwie doby. Rosja przykręciła niewdzięcznej Gruzji kurki z benzyną. Pasażerowie koczowali na lotnisku, tzw. pokoi. Na szczęście nie rozstałem się z kartami kredytowymi, mogłem więc wziąć na lotnisku apartament w hotelu Sheraton. I po dwóch dobach ogromnego stresu, ale przynajmniej w ludzkich warunkach, zarządziłem jednak powrót do Warszawy. Na zdjęcia w polskim filmie zdążyłem, a Ketii z Mariną musiały przez Moskwę znowu przylecieć do Warszawy. Podwarszawska stacja była dworcem w Tbilisi, w finałowej scenie.

Przez ten drobny incydent zrozumiałem jeszcze wyraźniej tragedię tego narodu. Kraj zalany od wieków przez morze bezdusznego, straszego, ogromnego imperium. Wysepka

zamieszkała przez dumnych, wspaniałych ludzi, którzy wpływ nie mogą dopłynąć do najbliższego cywilizowanego lądu. Sytuacja jeszcze bardziej okrutna niż nasze trudne położenie geopolityczne. Z tej perspektywy można trochę lepiej rozumieć ich mentalność i politykę obecnego przywódcy Gruzji, Szewardnadze. Och, naprawdę lepiej być wolnym, bogatym i zdrowym, niż zamkniętym, biednym i chorym.

Lepiej być piękną i bogatą, czyli do czterech razy sztuka

Byłem skrajnie zmęczony, z wyładowanymi akumulatorami potencji artystycznej i fizycznej. Tęskniłem już tylko, żeby patrzeć przez okno mego domku za Kazimierzem na resztki opadających, ostatnich liści w okolicznych lasach. Nie chciałem uczyć się tekstu na następny dzień zdjęciowy, czasem w obcym języku, marzyłem żeby wziąć do ręki na przykład kolejny tomik Singera i pójść z bliskimi na spacer, pojeździć konno, bo nie wiem, czy już nie zapomniałem. Mój los, na który się obłudnie uskarżam, a który wywróżył mi Wajda w ostatniej scenie *Wszystkiego na sprzedaż*, znowu mnie dogonił.

Tym razem los nazywał się Filip Bajon. Bronilem się, nawet zażarcie, mój przyjaciel świadkiem, po co o tym pisać, skoro raz jeszcze uległem. Filip to człowiek bardzo zdolny, profesjonalista o wiele większy niż wielu reżyserów zachodnich, którym często nie odmawiałem, walcząc również o byt, gdy mieszkałem w Paryżu.

Adrianna Biedrzyńska, Marek Kondrat, Cezary Pazura, moi partnerzy w tym filmie, to elita młodych polskich aktorów. Natura konia wyścigowego i szansa na ciekawy bieg zwyciężyły. Podpisałem atrakcyjny, również finansowo, kontrakt do filmu *Lepiej być piękną i bogatą*. Ale moje wyładowane baterie dały trochę o sobie znać. Wykonałem zadanie, jakie przede mną scenarzysta i reżyser w jednej osobie postawił. Ale... Gdyby mój udział w filmie wykroczył poza aktorstwo, jak to często bywało, na przykład z Wajdą, sądzę, że mogło być lepiej dla wszystkich. Gdybym był mniej zmęczony, miał czas na rozmowy z Filipem i próby z Adą, choć parę tygodni wcześniej, byłoby na pewno lepiej. Z Filipem tak się dobrze rozumiemy, gdy prywatnie rozmawiamy o zawodzie i aktorstwie. Jesteśmy zupełnie inni, lecz moglibyśmy się świetnie uzupełniać. Tu dałem mu tylko swoje aktorstwo. Szkoda. Film przeszedł w Polsce prawie nie zauważony. Ba, dziś wiele wybitnych filmów też tak przechodzi. Ja ten film oglądałem po raz pierwszy w Budapeszcie, na festiwalu filmów węgierskich. Trochę pieniędzy węgierskich też tam było. Sala napełniona po brzegi, śmiała się i klaskała cały czas. Będąc widzem wśród tak świetnej widowni, mniej dostrzegałem wady, głównie emocjonalne, tego filmu. Po zakończeniu projekcji powiedziałem widzom, że dzięki nim polubiłem go bardzo. I to prawda. Wszystko, zwłaszcza w sztuce, jest takie subiektywne.

Tylko koni żal... mechanicznych

A teraz o czymś innym. W pierwszym tomiku wspomnień opisałem kradzież mojego supermercedesa. Nie chciałem pertraktować ze złodziejami, choć mi to przez posłańców proponowali. I za oczywiście niepełne odszkodowanie kupiłem nissana patrola, z którego do dziś jestem bardzo zadowolony. Zuzia jeździła cały czas kupionym jeszcze we Francji paroletnim mercedesem 190D. Po zdjęciach, siedzę sobie w barze Grand Hotelu w Łodzi, nie bez wzruszenia. Tu zaczęło się całe moje życie filmowe, *Popioły '64*. Nie w tym barze – takiego tu nie było. Ale zaczęło się w tym hotelu.

W salce obok Marek Kondrat uczy Adrianę, jak posługiwać się kijem bilardowym. Mnie bardzo młode reprezentantki najstarszego zawodu bawią rozmową. Może też chcą mnie czegoś nauczyć. Obsiadły mój stolik, ignorują wściekłe spojrzenia i zaczepki, słusznie chcących zostawić część gotówki w Polsce – Niemców, Francuzów i Włochów.

– *Dziś panna Andzia ma wychodne* – zaśpiewała w ich kierunku młoda szatynka.

Rozczuliłem się, skąd to dziecko zna przedwojenny przebój? Ze wzruszeniem przypominam sobie, że już trzy pokolenia ich koleżanek proponowały mi siebie *gratis*. Czy korzystałem z tego – odwołuję się do wstępu, to nie jest książeczka „wydać po najdłuższym życiu”. Dzwonek telefonu, barmanka podaje mi słuchawkę. Dzwoni żona. O cholera, myślę sobie. Wiem, że Zuzia mnie nie sprawdza. Coś się przykrego musiało stać. W barze za duży hałas, wracam do pokoju. Oddzwaniem i oddycham z ulgą. Wszyscy zdrowi, tylko strata materialna. Ukradziono Zuzi samochód, tego czarnego, starego mercedesa. Jest to kłopot, zwłaszcza, że był na francuskich numerach i żona, zdaje się, źle go ubezpieczyła.

– Ale – mówię – daje mi to okazję kupienia ślicznej, sportowej hondy prelude, którą mi łódzki dealer proponuje po niezwykle atrakcyjnej cenie. Będziesz jeździła dużym patrolem, jak Penderecka. To bardzo, bardzo bezpieczne, a ja na stare lata wsiądę do sportowego auta. O tym zawsze marzyłem. Na „japończyków” jest ciągle mniejsze zapotrzebowanie na wschodzie.

– Poczekaj jeszcze do 12 grudnia – mówi Zuzia.

– Do dwunastego, dlaczego?

– Tak mi wróżka, pani Ela, powiedziała.

Wiem, że moja żona i jej przyjaciółki korzystają z jej porad. Na babskość tych potrzeb może byłbym machnął ręką, ale wiem, że Janusz Głowacki też bez porady pani Eli nie podejmuje żadnych ważniejszych decyzji. 12 grudnia wieczorem, dzwonię.

– Znalazł się?

– Nie – mówi, pociągając nosem Zuzia.

13 grudnia – dziesiąta rocznica stanu wojennego, trzydziesta mojego debiutu w telewizji. Jestem właścicielem pięknej, intensywnie czerwonej hondy 2,3. W siedem sekund z ułamkiem ma już 100 km na godz. W wyposażeniu jest wszystko, co ciekawego i pożytecznego technika wymyśliła. Koniec zdjęć. Wracam do Warszawy. Wezwanie na komisariat dzielnicowy.

Znalazł się samochód. Na komisariacie mili policjanci mówią nam, że znaleźli go lekko naruszonego już parę dni wcześniej, ale nie umieli nas znaleźć.

– Kiedy znaleźliście? – pytam.

– No, dwunastego – spojrzeliśmy na siebie z Zuzią.

– Wróżka to nam... – powiedzieliśmy chórem i zamilkliśmy.

Lepiej niech policja nie liczy na wróżki. Ale ja się zamyśliłem. Mercedesa sprzedaliśmy, przedtem płacąc ogromne cło, bo był na francuskich numerach. Jest to kolejna bzdura naszych przepisów finansowych. Rozumiem cło na samochody zagraniczne, np. we Francji, broni ono znakomitej produkcji rodzimej, ale bronić produkcji poloneza, no nie!

Gwiazda po polsku

Przed chwilą pisałem o 13 grudnia, rocznicach itd. Jeszcze w czasie filmu Bajona dowiaduję się, że polska kinematografia chce jednakowoż urządzić jubileusz moich 30 lat w filmie. A bo ja wiem, co to są moje rocznice? W filmie zacząłem chyba w 63. – *Ranny w lesie*. W teatrze parę lat później. Ale tak naprawdę pod własnym nazwiskiem zacząłem zarabiać pieniądze, czyli pracować już w studiu Konica właśnie 13 grudnia 1961 roku. Chcę jednak jechać do Gdyni, zależy mi na tym.

Kto wie, jaka partia jeszcze dojdzie do władzy. Może będzie minister, który mnie nie cierpi. Jestem aktorem, lubię wychodzić na scenę, być oklaskiwany. To mi dodaje ochoty na dawanie z siebie więcej, to nie jest tylko próżność. Proszę Filipa o dwa dni przepustki. Wynajmuję za własne pieniądze limuzynę marki Lincoln, tę z filmu Bajona wraz z panem Karolem – kierowcą. To prawda, chciałem się czuć gwiazdą. Choć ja już tego tak bardzo nie potrzebuję. Chciałem raczej wyjść naprzeciw zdrowemu zapotrzebowaniu na gwiazdy polskiej widowni. Ale jak na gwiazdę po polsku, wszystko odbyło się po krakowsku, a nawet po podlasku. Lincoln, owszem był, a w nim barek i ja. Ubrany wieczorowo, bo myślałem, że prosto na scenę. Natomiast w ogromnej walizce były, jak przypomina mi żona, tylko prawidła do butów jeździeckich! Obiecany był piknik, na moją cześć, z końmi. Podobno nie zdążyłem już do hotelu po normalne ubranie. Ale po co prawidła bez butów? Chyba zacząłem czcić swój jubileusz jeszcze na planie. Na szczęście Zuzia kupiła mi wszystko: dzinsy, koszule, buty, sweter. Następnego dnia rano o 10.00, w dziesięć minut, w trzech sklepach, na ulicy Świętojańskiej. Widomy znak nie tylko poprawy mojej kondycji finansowej, ale i kondycji handlowej kraju.

No, więc chciałem po gwiazdorsku. Chciałem, chciałem ale się zes... No, może nie całkiem ja, ale sytuacja i fakty nie stanęły na wysokości moich patetycznych i wzniosłych marzeń. Najpierw podobno się obsunąłem ja. W czasie *hommage*, jak mówią Francuzi, czyli wieczoru na cześć Andrzeja Wajdy, występując na scenie, porównałem jego znaczenie dla kultury polskiej i nie tylko, do wpływu na nią XIX-wiecznych wieszczów. Oberwałem za to potem w „Piekiełku” i od Michnika, i od Głowackiego. O żyjących przecież nie można aż tak. To rozumiem, bo też jestem obywatelem niedużego, zakompleksionego kraju. Amerykanie i Rosjanie są wręcz przeciwnego zdania. Uważają, jak ksiądz Twardowski, że trzeba się spieszyć z miłością, ja dodam – i z podziwem. Bo ludzie tak szybko odchodzą. Gdyby Zbyszek Cybulski wiedział, jakie tłumy będą żegnały go pamiętnego dnia w Katowicach, może by tak nie igrał z losem, przyspieszając to pożegnanie. Na szczęście mój *hommage* był dramatycznie –komiczny.

Wygłaszać rodzaj przemówienia miał szef kinematografii, człowiek niezwykle na swoim miejscu, czyli Waldemar Dąbrowski. Prosiłem go za kulisami, żeby nie za długo. Umówiliśmy się, że on stosowną laurkę wygłosi w 2 minuty, a ja mu podziękuję odpowiednio krócej. Nic z tego, minister po dwóch zdaniach na oczach całej Polski zasłabł. Potem okazało się, że to stan przedzawałowy. Schodząc, jeszcze zdążył mi za kulisami precyzyjnie zapodać: *Continue*,

show must go. Wyszedłem i sam musiałem sobie skromnie za 30 lat pracy w kinie podziękować i odebrać wykonane specjalnie dla mnie siodło kowbojskie.

Drugi mój występ na jednym festiwalu – do dupy. Ale nic to. Minister wyszedł z tego. Po latach też z ministerstwa. I ma się świetnie. Ja często w tym pięknym siodle jeżdżę.

Pamiętam jeszcze, że na tym festiwalu, słysząc o rosnącej zasłużonej popularności Bogusia Lindy, powiedziałem do Pasikowskiego, żeby coś dla nas obu napisał. Że publiczności będzie miło, chyba, widzieć nas razem, tak jak kiedyś Zbyszka i mnie. Do dnia dzisiejszego – nic. Nie mam już złudzeń. Kategoriami oczywistymi dla zawodowej kinematografii nie rozumują młodsze ode mnie pokolenia. Szkoda, Boguś, bo mi się już grać chce coraz mniej. Straciliśmy obaj. Ale pewnie i publiczność. Mnie obok Lindy zastąpił mój syn Rafał. W ostatnim filmie Janusza Zaorskiego *Szczęśliwego Nowego Jorku* gra jego młodszego brata.

Z Rafałem to bardzo ciekawa historia. Zarzekał się, że aktorstwo go nie interesuje, muzyka – tak, ale to, co ojciec, na pewno nie. Raptem dowiedziałem się z prasy, że wygrał próbne zdjęcia do *Rozmowy z człowiekiem z szafy* u Grzegorzka. Obejrzałem film. Wstrząsający. Rafał grał tak, że z napięcia aż mnie głowa rozboleła. Dostał za tę rolę nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego, razem z Marysią za *Kolejność uczuć*. Miał 23 lata. Dokładnie tyle, ile ja jako pierwszy tej nagrody laureat. No, no. Żeby tylko odziedziczył po mnie zdrowie i miał troszkę więcej konsekwencji w pracy. Ale na razie nie można narzekać. Odpukuję. A dziećmi zajmuje się na pewno lepiej niż ja w jego wieku. Rozstali się z Agatą. Smutne to, ale nie bardzo mogę mu siebie za przykład w tej sprawie podawać.

Wtedy jeszcze w 92.–93. byli razem i Kuba miał niespełna roczek. A już gonił go następny, jak się okazało, braciszek Antek. Wigilię miałem jeżdżoną. Chrzestna córka Anna Maria Chrzanowska, potem z bratem u mamy i cioci na Saskiej Kępie, wreszcie rodzina Zuzi, chyba u nich, bo mój dom koło Wilanowa jeszcze nie urządzony. Za to Sylwester już w nim – przygotowaliśmy rodzaj parapetowy. Niewiele osób. Na pewno od tego roku przyjaciele Piwowarscy. W połowie stycznia przeprowadzka z Zuzią, Weroniką. Znowu razem. A już było cienko, cienko.

Ten dom budowałem trochę na złość. Dla siebie z niewiadomymi lokatorami. Na pewno miało być z Rafałem. Ale to było jeszcze komunistyczne budowanie. Zanim wybudowali, taki był *bardak* i oszukiwanie nas spółdzielców, że zdążył się system przekreślić, ceny i warunki – zmienić, a myśmy ciągle budowaliśmy. Może za ten upór i konsekwencje budowlane moja rozwiedziona mi oficjalnie żona uznała, że warto spróbować jeszcze raz. A Rafał tymczasem miał już własną rodzinę i własne mieszkanie. *Jeśli nie chcesz mojej zguby, krokodyla daj mi luby to pestka*. W komunizmie Klara mogłaby śmiało powiedzieć: *Zobaczmy, co się stanie, najpierw dom zbuduj kochanie*.

„Geniusz i szaleństwo”.
Kean według Dumasa, w adaptacji
Jean–Paul Sartre’a, czyli szaleństwo
dwóch polskich teatrów repertuarowych

Tymczasem próbowałem *Keana* w Teatrze Powszechnym w reżyserii teścia. Z Andrzejem Łapickim dawno myśleliśmy o tej sztuce i o tej postaci. Koniec lat 70., już wtedy chcieliśmy to robić. Już wtedy paliłem się do tej roli. Edmund Kean – wspaniały aktor szekspirowski, XIX wiek, pijak, postać wielka, śmieszna i tragiczna, świetna do grania. Sartre sztukę Dumasa zaadaptował dla Pierre'a Brassera. Po latach zagrał ją Belmondo, w tym samym teatrze Marigny, gdzie grałem Rhetta Butlera. Umówiliśmy się wtedy, koniec lat 70., z Andrzejem, że lepiej będzie zagrać to pod moją pięćdziesiątkę, czyli około 10–15 lat później. Jeśli Bóg da, to jeszcze po paru rolach szekspirowskich. Bóg dał. Zagrałem w telewizji Otella u Chrzanowskiego i Makbeta u Nazara. Pięćdziesiątka szybko się zbliża, a więc lu. Andrzej oferuje nasze usługi Teatrowi Powszechnemu, bo świetni aktorzy i w ogóle świetna reputacja. Zostajemy zaakceptowani. Dyrektor pyta mnie, czy znajdę czas często grać. Mówię:

– Panie, do końca sezonu odrzuciłem wszystko, jestem do dyspozycji. Jeśli szanowna publiczność *zażyczy*, to mogę grać 15–20 razy w miesiącu, jak kiedyś Hamleta.

I tu przesadziłem, zapomniałem, że to teatr repertuarowy, to znaczy, że jest tutaj wielu świetnych aktorów i każdy swoje musi i powinien zagrać, choć po parę razy w miesiącu. No i zostałem się jak ten głupi. Od premiery szło kompletami i coraz więcej z dnia na dzień ludzi odchodziło od kasy. W związku z tym, a raczej mimo tego, sztuka została zdjęta na miesiąc, bo wchodziły generalne próby następnej. Ja to rozumiem, w takich teatrach tak być pewnie musi. Płaci za to podatnik. Ale może tak nie musi być. Mniemam, że ten model teatru już w Polsce nie ma szans. No, może na kilku scenach silnie dotowanych, jak francuska Comédie Française. Sztuka, która ma powodzenie, ma być grana codziennie, aż do zgrania. Ale to jest w tym pokoleniu aktorskim niewykonalne. Łatwiej wprowadzić i wygrać metody Balcerowicza, niż zmienić mentalność ludzi teatru. Tydzień przed premierą sztuki o Keanie, *Geniusz i szaleństwo*, odbyła się brawurowo premiera *Antygony* w Nowym Jorku Janusza Głowackiego w reżyserii Izy Cywińskiej, z udziałem autora. Wspaniale promowana, wspaniale przyjęta, zapotrzebowanie ogromne. I to samo. Są w repertuarze inne sztuki i inni aktorzy. Anegdotka prawdziwa, choć dla mnie wcale nie śmieszna. Mój i Janusza Głowackiego przyjaciel, nasz człowiek zasłużonego sukcesu w Nowym Jorku, Witek Markowicz, postanowił z okazji pobytu w Polsce około 10 marca 1993 roku obejrzeć te dwie sztuki, *Antygonę* z Piotrusiem Fronczewskim, premiera 22 lutego w Teatrze Ateneum i *Geniusza i szaleństwo*, premiera 27 lutego, zresztą w moje urodziny. Sekretarka Witka dzwoni do dwóch teatrów i zamawia: 9 marca *Antygona*, 10 marca *Kean*. Tak jest, Drogi Czytelniku, zgadłeś. Odpowiedź brzmi zgodnie z prawdą: nie gramy tych tytułów. Witek zadzwonił do mnie bardzo zaambarasowany, z trudem ukrywając współczucie i żal zapytał:

– O Boże, to te dwie sztuki padły?

Innych wniosków normalny widz, z normalnego świata mieć nie mógł. Oczywiście graliśmy to od czasu do czasu. Nawet po parę razy w miesiącu. Pytano mnie, czy znajdę trzy dni. No i znajdowałem. Z coraz większą goryczą, bo trzeba było promować te dni w mass mediach od nowa. A to już *kudy* nie to samo. Musieliśmy nawet robić tzw. próby wznowieniowe, bo przecież wypada się z rytmu. Publiczność jest zdezorientowana. Każdego dnia musi śledzić repertuar. Teatr repertuarowe zmienny wykończył publiczność, a o nią trzeba już zabiegać jak na Zachodzie.

W Paryżu, gdy jadę z lotniska do domu, na każdym czerwonym świetle mogę czytać słupy ogłoszeniowe. W ciągu 45 minut wiem, co jest grane, gdzie jest grane, z kim i kiedy. Od 15 np. września do 20 grudnia, oczywiście codziennie, w soboty dwa razy. Jeśli są miejsca, mogę sobie zamówić bilety z wyprzedzeniem nawet o miesiąc. Tak musi być i w Polsce. Nie może być inaczej. Nie wiem, czy jeszcze na taki pociąg zdążę. A poziom teatru w Polsce jest ciągle wyższy. Tylko, że tam są pełne widownie. No, niech na to odpowiedzą nasi urzędnicy – dyrektorzy.

„Listy miłosne”, mój własny teatr

Gdzieś równolegle na wiosnę tegoż roku, dwie panie zaproponowały mi spotkanie, Barbara Wrzesińska, aktorka i Krystyna Demska, organizatorka. Basia chciała, żebym z nią zagrał w sztuce dwuosobowej, amerykańskiej zresztą, pod tytułem *Co roku, o tej samej porze*. Przeczytałem, spodobało mi się. I myślę fajnie jest. Po pierwsze z Basią, po drugie – dobrze napisane. Dlaczego u licha Polacy tego nie potrafią. Takie sztuki mogłyby się dziać wszędzie. Po trzecie – odpięprzę się od publicznych pieniędzy, wyprodukuję sam. Na własną odpowiedzialność. I w objazd. Zateśniłem za trasami. Za cygańskim, artystycznym życiem. Wczoraj Kalisz, dzisiaj Kutno, już się cieszę. Zapraszamy reżysera – Krzys Zaleski. Musi być reżyser, zwłaszcza do sztuk dwuosobowych. I raptem jakoś się dowiaduję, że tę sztukę już próbuje para świetnych kolegów. Też na pewno z myślą o objazdach. To głupie i niemoralne, gdybyśmy kolegom robili konkurencję. Nie ważne, kto wpadł pierwszy na pomysł, ważne, że oni już próbują. Nie i nie, tego nie róbmy. Jest tyle innych sztuk. Basia nie w pełni przekonana, ale na mnie nie było rady. Dlaczego tyle zdań o tym? A bo potem od innej pareczki spotkało mnie coś dokładnie odwrotnego. O tym potem.

Tymczasem musiałem z czegoś żyć. Zagrałem w Portugalii w filmie węgiersko–portugalsko–hiszpańskim. Interesujący może, ale przyciężki. W związku z *Keanem* nie zarabiałem praktycznie pół roku, a trzy, cztery przedstawienia miesięcznie z łaski dyrekcji, starczyły mi ledwie na rachunek telefoniczny.

Na planie w Portugalii grałem z gwiazdą filmowo–teatralną Hiszpanii, Sylwią Munt. Bardzo dobra aktorka. W przerwach jeździła do Barcelony na spektakle. Opowiadała mi, że gra w nadzwyczajnej sztuce *Loue letters*, on i ona pisują do siebie listy całe życie, od dzieciństwa do późnej dojrzałości. Całe życie w listach, śmiech, łzy, dramat, groteska, śmierć wreszcie. I miłość, miłość, miłość, całe życie nie spełniona miłość. Zaraz, zaraz myślę sobie, to chyba tę sztukę przyniosła mi w Warszawie reżyserka Anna Matysiak. Przeczytałem ją pospiesznie, chciałem zmieniać, spolszczać, żeby nie działo się w Stanach. Już wiem, Gurney grany przez wielkie pary na całym świecie! Pytam Sylwii, czy naprawdę autor ma rację, że bez inscenizacji, tylko czytać i słuchać trzeba. Absolutnie, mówi Sylwia. Mają być tylko bardzo dobrzy aktorzy, którzy uwierzą, że autor ma rację. I można to grać na wielkich salach.

– Basiu Wrzesińsko, widzisz, Sylwia miała rację. Sprawdziliśmy to potem i w Toronto, i w Petersburgu, i w Filharmonii w Częstochowie. Po osiemset osób na sali.

Wracam do Polski, dzwonię do Ani Matysiak.

– Świetnie, produkuję i chciałbym grać z Barbarą Wrzesińską.

– Dokładnie o niej myślałam – wykrzyknęła Ania.

Dalej Demska Kristi spisała kontrakty, ja wydałem pierwsze pieniądze i zaczęła się piękna, letnia przygoda artystyczno–towarzyska i, nie powiem, finansowa również. Parę lat, z przerwą na mój wyskok do Niemiec i w Himalaje, o czym chwilę później, zjechaliśmy całą Polskę i prawie cały świat. A mogliśmy jeszcze znacznie więcej. Nie męcząc się specjalnie. Pracowaliśmy tak przeciętnie tydzień w miesiącu. Zarobiłem przyzwoicie na życie, dałem

zarobić swojej gwiazdzie i drużynie, Krysia i Andrzej Kulesza – mistrz światła. Płaciłem wreszcie tantiemy autora i tłumacza, i swoje podatki. To było piękne uczucie, poza ogromną przyjemnością grania świetnego tekstu. Gram, mam doskonałą partnerkę, zwiedzam świat, zarabiam pieniądze, daję zarobić innym i nikt do tego nie dokłada. Żadne ministerstwo kultury, żadne miasto, żaden podatnik.

Premiera odbyła się w Teatrze Miejskim w Gdyni, zaprzyjaźnionym po Kolumbie. Potem kilkanaście spektakli w Polsce, przerwa na mój film niemiecki i premiera warszawska w styczniu 94 w Teatrze Małym. Wybór teatru był chyba słuszny. Grało się bardzo miło, środek miasta. Zarabiałem mało, albo wcale. Sala nieduża, ale musiałem ją dość słono opłacać. Drużynę swoją też. Zostawało mi niewiele, ale chciałem parę razy w miesiącu mieć przedstawienie w Stolicy. Nie wiem, na czym to polega, nie jest to oczywiście najważniejsze, ale poza Warszawą wszędzie, dosłownie zawsze i wszędzie mieliśmy stojące owacje... Cholera, nie wiem. Może tak witano gości, a może *warszawka*, jak mówi Preisner, jest wyjątkowo trudna. Naprawdę nie wiem. Wiem natomiast, że pewien incydent z tamtego okresu zniechęcił mnie jakoś do tzw. naszego środowiska w Polsce. Nie do aktorek i aktorów oddzielnie, ale, jak by to powiedzieć, do całości tzw. bloku myślenia związkowego.

Historyjka głupia i niemoralna

Mój kolega jeszcze z czasów PWST, znany dziś aktor Jurek Z. gdzieś w kafejce na Woronicza podchodzi do mnie, klepie po ramieniu i rozjaśniony mówi:

– Staruszk, slyszalem, ze dobrze wam idzie z tym Gurneyem. Wiesz, tez szukalem czegoś dla siebie, chyba nie bedziesz miał pretensji, jak zaczniemy z Ewą Ż. próby w Teatrze Dramatycznym.

– Teatr Dramatyczny jest jak wiadomo naprzeciwko Teatru Małego – *vis à vis*, jak mówią bez sensu Polacy, „naprzeciwko” po francusku to bowiem *en face*. Ale my, Polacy, wiele rzeczy robimy bez sensu. Więc tłumaczę jak komu dobremu:

– To bez sensu. Po co w jednym nie tak dużym mieście, na tej samej ulicy dwie te same sztuki. Ja jeszcze robię to za własne pieniądze. Już gram. Już wynajmuję teatr. Ale wy przecież z pieniędzy miasta, podatników, czyli również i moich. Znajdę wam inną sztukę, bo jestem na bieżąco z tym, co w świecie piszczy.

Widzę, że o pieniądzech nie zrozumiał. Mówi mi, że w Nowym Jorku grało to wiele par.

– Słusznie – odpowiadam. Ale zmieniające się po kolei pary, w tej samej produkcji, w tym samym teatrze.

Jurek nadal nic nie rozumie. Szczerzy do mnie zęby i uspokaja, żebym się tak nie bał konkurencji. *Ożeszty!* myślę sobie i uśmiechnięty beczelnie mówię, zgodnie ze stanem faktycznym, który czas potwierdził, że my się konkurencji nie obawiamy, ale nie bardzo widzę dużą publiczność i duże pieniądze tak w Warszawie, jak i w Polsce dla nich. Bo po nas z Basią trawa nie porośnie.

– Kolega radzi, rób jak uważasz. – I poszedłem.

Oczywiście przeanalizowaliśmy to w drużynie. Tłumacz świetny zresztą, Piotr Szymanowski, proponował mi za oddzielne pieniądze prawo wyłączności na całą Polskę, jak i prawo pierwszeństwa premiery. Prawo pierwszeństwa nie było mi potrzebne, bo wiedziałem, że i tak będę pierwszy. Prawo wyłączności mogłem mieć bez dużych kosztów od samego Gurneya. Nie było mi potrzebne. Dlaczego w innych miastach świetne pary miały tego nie grać. Grały potem, i słusznie. Ale rzeczywiście nie przyszło mi do głowy kupować prawa wyłączności na miasto Warszawę z okolicami. Bo nie przyszło mi do głowy, że mogą być aż tak głupi i niemoralni ludzie w tym środowisku. Pał sześć głupotę aktorów, ale dyrektor Teatru Dramatycznego, ale władze miasta – przy tak skromnym budżecie na kulturę, choć jak na Teatr Dramatyczny przy tej dyrekcji i tak za duży... Dotowali sztukę, która grana była naprzeciwko! Pieprzenie, że to prywatna produkcja samych zainteresowanych to bzdura. Drogie ówczesne władze miejskie, wystarczy policzyć, ile kosztuje wydrukowanie i rozwieszenie samych afiszy i porównać zysk ze sprzedaży biletów w małym pomieszczeniu, biletów, proszę posłuchać, w cenie konkurencyjnej do naszych. Tańszych trzy, cztery razy, bo to miał być decydujący magnez, żeby od nas odciągnąć. Ale ktoś musiał do tej zabawy dopłacać. Pan, panie dyrektorze z wydziału kultury, pan, panie dyrektorze Teatru Dramatycznego, wy wszyscy państwo, ja sam na koniec. Nie można było ambitnej parze artystów dać z tych naszych podatków na coś innego? Niech się średnio młodzi bawią, ale w

sposób odkrywczy. I, wstyd powiedzieć, bardziej moralny. No cóż, było, minęło. Już dawniej za radą m.in. Saszy Bardiniego nabrałem do tego dystansu. Krzywdy Basi i mnie nikt nie zrobił. Wzięliśmy swoje. Tak publiczność w całej Polsce i nie tylko, jak i kasę. Ale Szanowni Koledzy, piszę do tzw. środowiska, brak Waszej publicznej reakcji i zbiorowego potępienia takich incydentów wyrządza krzywdę Warn. W tej branży będzie wszystko wolno i staniecie się bezbronni wobec nie tylko samych siebie. Krzywdę wyrządzi Warn każdy, cyniczny producent, niekompetentni krytycy. Prawda, jak się cieszymy, że jakiś bęcwał przyłożył komuś innemu, byle tylko nie mnie. Bęcwał, który nie powinien dostawać nawet zaproszeń do teatru, bo go nie rozumie i nie kocha. Z tym nieporozumieniem – ba, chorobą polskiego teatru – może walczyć poważne, silne i solidarne w pryncypiach środowisko zawodowe. Mogę na ten temat zabierać głos publicznie, bez posądzenia o prywatę. Mało mnie to dotyczy personalnie, bo gram mało. Ale na Boga, przecież Wasza praca, Drogie Koleżeństwo, jest albo ignorowana, lekceważona, albo wręcz równo rąbana siekierką niewykwalifikowanego, uff, co za słowo, rzeźnika.

List nie wysłany

*do mojego druha z liceum i nie tylko,
Adama Michnika*

Adaś,

Co się dzieje w Twoim państwie duńskim? Dyrygujesz chyba najlepszym dziennikiem Europy. Twoja wiedza i miłość do literatury i kultury jest porównywalna z Twoimi kompetencjami politycznymi. I co? Masz fachowców wybitnych w każdej dziedzinie: polityka, ekonomia, kryminal, sport itd. Nawet ptaszek mały czy wielki łoś mają wielkiego fachowca, rozumiejącego ich problemy –Adama Wajraka. A teatr, film czy telewizja to nieporozumienie, oczywiście wyłączmy Tadeusza Sobolewskiego. I to nieporozumienie od lat. Zmieniają się nazwiska, poziom zostaje ten sam, hucpa, złość i niekompetencja. Subiektywizm w ocenach, oczywiście tak. Surowość uargumentowana fachowo, jak najbardziej, ale jeżeli na 90% przedstawień teatralnych i telewizyjnych po czytaniu recenzji w Twoim piśmie wnioskuje, że ja i piszący byliśmy na innych widowiskach, to już coś nie tak. I można już taką niekompetencję weryfikować. Tak jak sporty niewymierne, a jednak wymierne. Przecież jaskrawo złe sędziowanie w boksie byle głupi widzi. I po kilku takich fałszywkach, sędziowie międzynarodowi są odsuwani od sędziowania. A tu można wszystko. Niczemu to nie służy. Poważna publiczność nie czyta tego, bo poza wszystkim oni nie umieją pisać barwnie. Młodych artystów to może frustruje, ale chyba też męża bardzo. My stare repy możemy tylko machnąć ręką, ale lekceważenia tego problemu, a jest to problem, nie uważam za słuszne. To jeden z ważnych powodów trudnego odnajdywania się polskiego teatru i kina lat 90. Obserwuję, poprawie dziesięciu latach nieobecności, niemożność porozumienia się reżyserów i aktorów z widownią. Kiedyś, mimo od wieków istniejącego konfliktu między nami a krytykami, umieli oni jakoś mądrze pośredniczyć właśnie między dwoma podmiotami: publicznością i twórcami. Teraz odnoszę wrażenie, że ci niemądrzy, zakompleksieni, przeważnie młodzi ludzie tak pragną zaistnieć, że sobie tę podmiotowość chcą za wszelką cenę przypisać. Teraz widzę, jak zwłaszcza na tle innych dziedzin życia, świetną była krytyka teatralna i filmowa lat 60.–70. Wtedy, pamiętam, też bywałem rozżalony, gdy mnie nie dopieścila. A dopieszczany bywałem, zwłaszcza na początku, aż za bardzo. Czasami grożono nam lagą. Ale tylko grożono, jak grozi surowy, mądry Święty Mikołaj. Bywali, jak zawsze i wszędzie, głupcy, sprzedawczyki, ale były i wybitne autorytety. Liczne, i tym autorytetom wiele zawdzięczam.

Pamiętam, po podpisywanych przeze mnie listach w 1976 roku, listach przeciwko decyzjom władz, zniknęło moje nazwisko z prasy i zapadła wokół mnie cisza. Z przerwą na tych naszych szesnaście miesięcy, sierpień 80–grudzień 81, trwała ona praktycznie do 85–86 roku. Zanurkowałem świadomie na tyle lat, bo wiedziałem, że starczy mi tlen, żeby później wypłynąć przed polską widownię, dzięki nie tylko „Hamletowi”,

„Beniowskiemu”, filmom Wajdy i Trylogii, ale również dzięki tym, którzy pięknie i mądrze to drukiem utrwalili. Moi młodzi koledzy, niestety nie mają tej szansy. Choć w innych dziedzinach dopiero teraz...

Równorzędnym, ba, często wybitniejszym podmiotem w krytyce teatralnej bywał przed wojną, tą światową, nie jaruzelsko-polską, Boy czy Słonimski, oczywiście. No, ale Adaś, gdzie oni? Może są, tyle że do teatru i kina jak widać nie chodzą. Ech, płakać się chce, że nie masz Piotra Bikonta naszej krytyki. Nawet jak przyłot, to widać, że lubi i wyjaśni dlaczego. A restauratorzy aż się zwijają, gdy znieścacka wpada. I jak się to czyta, aż ślinka płynie. Może taki Bikont się znajdzie i w dziale kultury. Tego Ci, Adasiu, i nam wszystkim życzę, co daj Boże, amen. Twój Daniel.

PS. Piszę to pół na pół wspomnieniowe. Dziś jest akurat 28 stycznia 1997 roku. Wczoraj obejrzałem wspaniałą sztukę Harwooda w telewizji w reżyserii Bugajskiego. Ze wspaniałymi Zbyszkami: Zapasiewiczem i Zamachowskim. Zapasa wycalowałem w jego sekretarkę automatyczną, nie było nikogo w domu. Zamacha w jego żonę zadowoloną, acz nie bardzo, bo zbudziłem chyba córeczkę Marysię.

Otwieram dziś Twoją gazetę, rzucam się od razu na drugą stronę. Rubryka „W telewizji pokazali”, bo to wydarzenie kulturalne i nie tylko, ważniejsza jest od tego, co Niesiołowski czy Kaczyński, przyblakłe gwiazdy naszych mass mediów, sądzą o SLD, która rychło też przecież przyblaknie. Boję się, że znowu będzie o innym niż moje przedstawienie. Otóż nie, recenzja mądra, zwięzła, bo mało miejsca, trafna, ze znakomitą pointą. „Rozliczenia z przeszłością są w złym tonie. Spektakl teatru telewizyjnego okazał się jedynym, udanym przypadkiem lustracji w Polsce”. Podpisano: RP.

Adam, popatrz. Twój recenzent, z którym bardzo rzadko widzę to samo, nie tylko tak samo, według mnie się rozwija. Dorzucę to, co on, i mało kto w Polsce ośmieliłby się wręcz napisać. Bo cudze chwalicie, swego nie znacie. Aktorstwo nie tylko protagonistów było olśniewające w tym spektaklu, najwyższa klasa światowa, naprawdę oscarowe. Mogę to bezczelnie stwierdzić. Mam porównania wręcz namacalne. Brałem w ramiona przed kamerami wybitne amerykańskie i europejskie aktorki. Patrzyłem w oczy jako partner wielkim zachodnim i wschodnim aktorom. Jestem zachwycony Bugajskim i moimi kolegami. A pana Romana póki co, póki czegoś złego o mnie nie chlapnie, z roboty nie wywalaj.

Danek

Jak powiedziałem jest 28 stycznia 97, spać mi się już chce. Jutro dziewiąte urodziny Wiktora, a muszę wręcz przeciwnie – nie do Nowego Jorku, ale do Moskwy, do Nikity Michałkowa, mierzyć kostiumy (ale o tym będzie później).

Ten cholerny Górski Roman, wydawca, kazał mi się wyrobić ze wszystkim do połowy marca 97, a ja przecież zaczynam tak ważny film z wielkim reżyserem, wielkimi partnerami i jeszcze na dodatek w językach obcych. Kryśka chyba już podpisuje umowę, więc nie mam wyjścia. Tak jak z graniem, jestem strasznym leniem, bez imperatywu najwyższego nigdy bym się nie zabrał do pracy. Czasem bywa to straszna ambicja – ja im pokażę! Czasem ambicja i konieczność przeżycia – mój okres paryski. A teraz wywiązanie się z obietnicy prawnej. Więc, cholera, muszę. Hej hop, hejże hola!

Kilkugwiazdkowe wakacje

Rok 1993, początek lata. Flash back

Dwurodzinne, bo z przyjaciółmi, długo oczekiwane i przygotowywane wakacje. Wielopokojowa willa z basenem w Provence, we Francji. Przyjaciele, właściciele znanego wydawnictwa TenTen, Ela i Marek Lebkowscy, zabierają Mateusza, Olgę i jeszcze Krzysia, syna przyjaciół. My w trójkę, z Weroniką. Oprócz czerwonej, właściwie dwuosobowej, sportowej hondy, której się Weronika trochę wstydzi, że niby wóz cinkciarza, decydujemy się wziąć mojego wiernego nissana patrola. Też niech sobie zwiedzi Europę, Wenecję, Alpy... bo na to zasłużył. Do nissana, który może być, jak trzeba, siedmioosobowy, pakuje się cała rodzina Lebkowskich, w sumie z Krzysiem 5 osób, i Weronika. Samochód utkany w środku bagażami i ogromny pojemnik na dach. My z Zuzią sportową, klimatyzowaną hondą mamy jechać wytwornie, spokojnie za nimi. Patrolek na ściganie by się obraził, bo przecież on ma być dzielny, a nie wyścigowy.

Drogi Elki i Marka skrzyżowały się z naszymi w okolicach Kazimierza, gdzie oni spędzali czas od zawsze, a my pewnej wiosny kupiliśmy chałupę. A potem już wszystkie święta i wakacje razem. Było jak u Pana Boga za piecem. Niestety, Lebkowscy odnieśli sukces jako wydawcy. Wstyd powiedzieć – wzbogacili się. Zaczęli się rozglądać za wakacjami kilkugwiazdkowymi za granicą. Ma to swoje zalety, gdy są możliwości. Ale ja za tym nie przepadam. Nie cierpię już, tak naprawdę, zwiedzania, podróżowania itd. Może dlatego, że tyle się napodróżowałem zawodowo, kręcenie filmów, festiwale, *tournées* teatralne. Właściwie poza Chinami i Indiami byłem praktycznie już wszędzie. Lubię zwiedzać przy okazji, nie jako cel sam w sobie.

Tak modne wyprawy naszych znajomych i nie tylko zresztą, świat staje się dostępny dla coraz szerszych towarzyskich kręgów, na Sylwestra do Kenii, czartery do Grecji czy na inne Maledywy, naprawdę mnie nie kuszą. Ceny stają się porównywalne do wakacji na Mazurach, nie mówiąc o Zakopanem czy Juracie. To bardzo dobrze. Jako obywatela Rzeczypospolitej mnie to cieszy. A niech się ludzie nazwiedzają, zwłaszcza że to już prawie nie są podróże handlowo-zarobkowe. Ja natomiast coraz bardziej odczuwam w sobie naturę polskiego wieśniaka. Lubię, jak wiosną czuć zapach polskiej wiosny. Jesienią lubię szelest żółtych liści pod stopami w Łazienkach albo w Leśnej Podkowie. A jeśli latem nie za dużo pada, choć deszcz też lubię, a zimą jest zimno i białe, to nic mi do szczęścia więcej nie trzeba, w kontakcie z naturą, oczywiście.

A więc Ela z Markiem wzbogacili się. I bardzo dobrze. Nie tylko dobrze dla nich; dla budżetu państwa polskiego dobrze, że się wzbogacili. Dobrze jest to dla harmonii naszych koleżeńskich stosunków. Dotykam tu bardzo ważnej sprawy. W prawdziwej demokracji nie należy udawać demokracji fałszywej, tak uważam. To znaczy wszyscyśmy równi wobec prawa i niestety fiskusa. No, bo teraz czym kto bogatszy, płacić powinien więcej. Natomiast w rozwiniętym życiu towarzyskim, jak np. wspólne wakacje, kategorycznie zalecam łączenie się w grupy i podgrupy zbliżone wzajemnie możliwościami portfela i kart kredytowych.

Tu jestem za demokratyczną, oczywiście, kastowością. I choć pamiętam rozkosze popisywania się przed znajomymi bliższymi i dalszymi, abstrakcyjną niegdyś dla nich wszechmocą moich kredytowych kart, muszę z lekką nostalgią uznać fakt ich coraz większej powszechności w Polsce za słuszny i moralny. O ile karty te mają pokrycie, rzecz jasna.

Wielokrotnie w moim życiu cieszyło mnie *szczerze* podejmowanie licznych nieraz, przeważnie gorzej sytuowanych znajomych. Nieco rzadziej, choć również, bogatsi znajomi płacili za mnie. Jest to sposób na spędzenie wieczoru od czasu do czasu. Nigdy tego nie polecam na wspólnych urlopiach. Kochani, dobierajcie się na one nie tylko z odruchów szczerzej przyjaźni. Konieczna jest demokratyczna równowaga portfeli. Bo będą albo dasy, albo wasz portfel mocno schudnie. Dalej już miłe wakacje może zepsuć tylko niedobranie się charakterologiczne. Ze mną w ogóle trudno jest spędzać wakacje, bo a to się czasami nieoczekiwanie upiję i zwiedzanie np. muzeum jest skomplikowane, a to z nadmiaru zdrowia i trzeźwości próbuję spokojnym sybarytom narzucać styl rowerowo–konno–tenisowy. I trudno tu o kompromis, bo podobno jestem piniaczem.

A z tych wakacji z Markami co zapamiętałem? Oczywiście Wenecja. Pierwszy raz tutaj z Zuzią i z Weroniką. Przedtem byłem na kilku festiwalach filmowych, ale teraz to zupełnie nie to samo. To było bardzo ważne. Potem niesłychana Prowansja. Kiedyś byłem tu na wakacjach z Rafałem. Potem trasa teatru Rampa, ja po francusku mówię wierszem Brzechwę, tłumaczenie, zdumiewające, Zuzi. Zespół tańczy i śpiewa po polsku, dziesięcioletnia Weronika za 50 franków od występu recytuje w idealnej francuszczyźnie *Kaczkę dziwaczkę*. No i te miasteczka cudowne. Łagodny, pofalowany krajobraz, unikalny zapach, światło i szmer tych dróg. Przepięknych teatrów.

Pełne sale, a były to czasy wojny w Zatoce. Husajn groził ostrzelaniem południowych terytoriów Francji. Atmosfera była w prasie i telewizji bardzo napięta, a ludzie przychodzili do teatru. Pamiętam, że wtedy pomyślałem i powiedziałem, że jeśli nie w Polsce, to tu jeszcze mógłbym żyć. Zwłaszcza w cudnym miasteczku Uzés.

A teraz wakacje, willa, basen. Ja najbardziej pamiętam następujące rzeczy. Weronika się trochę nauczyła pływać. Prawie wszyscy rzygali na wynajętym specjalnie, za ogromne pieniądze, jachciku. Tour de France. Wielki pojedynek Jaskuły z Indurinem. I wycieczka z Zuzią do Avignon.

Zuzanna Łapicka–Olbrychska

DO BIAŁEGO RANA

Kiedy w połowie wymarzonego po ciężkiej pracy urlopu, spędzonego w upalnej, pachnącej lawendą Prowansji, Daniel wynurzył się z basenu, mówiąc: „Słuchaj, 200 km stąd, na festiwalu w Awinionie, Seweryn gra Don Juana, musimy go zobaczyć!”, ze zdumienia wpadłam prosto do wody. Zaciągnąc aktora do teatru, żeby patrzył, jak inni grają i są oklaskiwani, już jest nie lada wyczynem. Ale żeby aktor z własnej woli, zamiast popijać anyżowy pastis w prowansalskim porcie, wsiadał w samochód, jechał dwie godziny, szukał parkingu, a potem przez trzy godziny patrzył na niezaprzeczalny sukces polskiego kolegi – ten fakt godny jest co najmniej felietonu. W pierwszej chwili pomyślałam sobie, że Daniel po filmie *Kolejność* uczuć Piwowskiego, gdzie grał z córką Seweryna, Marysią, która zachwyciła go swym wdziękiem i talentem, chce przynajmniej popatrzeć sobie na te same rysy twarzy, dotąd w wydaniu Seweryna dosyć mu obojętne... Sama będąc pod urokiem Marysi, chętnie na to przystałam.

Zajechaliśmy do Awinionu na godzinę przed przedstawieniem. Miasto, w którym Festiwal odbywa się już po raz 47., tętniło życiem. Hotele przepełnione, tłumy na ulicach. Na każdym placyku występ teatrzyków ulicznych, przed każdą kawiarnią połykacze ognia, faceci na szczytach latają wokół stolików lub wręcz przeciwnie – z pomalowanymi na biało twarzami nieruchomo stoją z jakąś bardzo ważną paczką w ręku. Na to święto Teatru zjeżdżają turyści z całego świata, Francuzi z całego kraju. Mieszkańcy Awinionu często wynoszą się wtedy z miasta, wynajmując mieszkania turystom, bo hotele nie mogą pomieścić wszystkich miłośników sztuki. Państwo przeznaczają na Festiwal, trwający trzy tygodnie – od 9 lipca do 2 sierpnia – 6 milionów franków. Przedstawienia na Festiwalu dzielą się na spektakle „in”, te które odbywają się na dziedzińcu Pałacu Papieskiego i w salach teatralnych miasta, i na spektakle „off”, te, na które trzeba wybrać się za miasto (w tym roku na przykład na *Czekając na Godota*, przedstawienie szkoły filmowej z Łodzi, przygotowane pod kierunkiem Jana Machulskiego, w którym grają same dziewczyny!) i przedstawienia uliczne, trwające do białego rana w całym mieście.

Dyrektorem Festiwalu był w tym roku Bernard Faivre d'Acier, który na główne danie wybrał przedstawienie teatru la Comedie Francaise, prowadzonego przez Jacques Lassalle'a Don Juana Moliera, z naszym Sewerynem w roli głównej. Premiera paryska odbędzie się 9 października. W wersji przygotowanej na Awinionie musiano wziąć pod uwagę szerokość sceny (45 m), zbudowanej na dziedzińcu papieskim, po której nie raz już jeżdżono konno (choćby w *Hamlecie* reżyserowanym przez Patrice'a Chereau, obecnie pracującego nad filmową wersją *Królowej Morgot* z Adjani w roli głównej). Akustyka tego miejsca jest tak niebywała, że aktorzy mówią do 2600 widzów bez żadnego nagłośnienia (ze wszystkich aktorów francuskich najlepiej było słycać Seweryna!).

Lacques Lassalle, reżyser przedstawienia, w pełni wykorzystał urodę dziedzińca i krużganków papieskiego pałacu. W kolejnych oknach zapalały się światła, aktorzy wpadali do

fosy z wodą, błyskały błyskawice. Efekt był tak naturalny, że kiedy na przedstawieniu otwierającym Festiwal, na który przybyli obecny minister kultury, Jacques Toubon, pod rękę z nieaktualnym już ministrem Jackiem Langiem (swoją drogą manieri polityczne godne pozazdroszczenia), spadł ulewny deszcz, widzowie przywitali go brawami i z trudem dali się wyprowadzić z sali.

Na szczęście przedstawienie przerwano w drugiej połowie, kiedy to nie trzeba już zwracać pieniędzy za bilety. Na tym, na którym byliśmy z Danielem, nie padało, ustał nawet mistral, chłodny wiatr wiejący na południu Francji, z gwałtowną siłą zrywający gałęzie z drzew i dachówki z domów. Andrzej posadził nas na służbowych krzeselkach i były to dwa ostatnie wolne miejsca na widowni. Patrząc na szturmujących wejście widzów, pomyślałam sobie, że te wszystkie lata, które Andrzej spędził na emigracji, lata samotności, wahań co do słuszności wyboru, walki o byt – wszystko to było warte tej chwili. Chwili, w której stanął na scenie, w miejscu, gdzie kiedyś Gérard Philippe, ubrany w podobny czarny, aksamitny kostium, z jasną głową łapiącą światło w sposób, w jaki tylko wielcy tej sceny potrafią je złapać, i odezwał się w języku słuchającej go w skupieniu i ciszy francuskiej widowni.

Kiedy po długim monologu, który każdy, choć trochę czytany Francuz zna na pamięć, sala krzyknęła: „Brawo!”, zrozumiałam, że uczestniczę w jakimś historycznym momencie. Z ukosa spojrzałam na Daniela, wzruszony był tak jak poprzedniego dnia, kiedy patrzył w telewizji na jadącego na trzecim miejscu w Tour de France, Jaskulę. Wobec prawdziwego sukcesu u prawdziwego artysty nie ma miejsca na zawiść, raczej rodzi się nadzieja na własny sukces, bo jak mawiał Leszek Drogosz: „Każdy ma tylko dwie obie ręce”.

Po przedstawieniu spytałam Lassale'a dlaczego chcąc robić *Don Juana*, pomyślał o Sewerynie. Powiedział, że Andrzej wnosi w to przedstawienie doświadczenie polskiego katolika, który przeżył 30 lat życia w totalitaryzmie i obłudzie. Dlatego w trzysta lat po śmierci Moliera bardziej niż ktokolwiek inny ma prawo odczytać to dzieło poprzez własny los. A poza tym, co najważniejsze, wnosi on ze sobą doświadczenie wielkiej szkoły sztuki scenicznej, z której tak jak i ze szkół skandynawskich czy niemieckich, czerpią jego francuscy koledzy. Zrozumiałam wtedy, że jeżeli ziści się marzenie o wspólnej Europie bez granic, będziemy to zawdzięczać artystom, a nie politykom.

Bohater wieczoru, Andrzej, odprowadzając nas po przedstawieniu do parkingu, wysłuchawszy naszych zachwytów powiedział nagle:

„Wiesz, Danek, o czym naprawdę marzę? Żeby ta nasza trójka z *Ziemi obiecanej*, ty, Wojtek Pszoniak, ja, znowu stanęła przed kamerą. Przecież dla takiej trójki, w każdej Ameryce, pisano by specjalne scenariusze... Zbierzmy na to pieniądze – ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic, to mamy akurat, żeby zrobić film!” Oczywiście na koniec Andrzej zacytował *Ziemię obiecaną*.

Patrzyliśmy długo, jak jeszcze przed godziną hucznie oklaskiwany przez parotysięczną widownię Andrzej, z plecaczkiem na plecach, znika drobnym kroczeniem w ciemnej uliczce Awinionu. Takim samym drobnym kroczeniem, idzie ciemną uliczką śląskiego miasteczka jego córka Marysia w filmie Piwowarskiego... Może spotkają się na jakimś celuloidowym skrzyżowaniu?

[FILM wrzesień 1993]

Przebieg i wynik tej dziwnej wojny w Zatoce napawa pewnym optymizmem. Przewaga techniczna Ameryki jest tak wielka, Rosja nie nadąży w wyścigu zbrojeń. Choć u siebie może jeszcze nieźle narozrabiać. Ciekawe tylko, co uważają za u *siebie*. Łatwo się to imperium rozpadać nie będzie. A XXI wiek ma być podobno wiekiem terroryzmu oświeconego. To

znaczy, terroryści islamscy, i Bóg jeden wie jacy jeszcze, mogą wejść w posiadanie środków argumentacji jądrowych. No, to moje dzieci i wnuki mają szansę żyć w jeszcze ciekawszych czasach.

Z Juraty na dach świata

No, a potem jak zwykle Jurata. Jeszcze w połowie lat 80. było sielsko, wiejsko i anielsko. Ale z upadkiem, w znacznym stopniu przynajmniej, komuny, postępująca normalizacja dotarła i tu. Jurata szybciej od innych miejsc w kraju pośpiesznie się przekształca, kapitalizuje. Idzie to w dobrym kierunku. Infrastruktura, restauracje, coraz bardziej liczne smażalnie na całym półwyspie. Wciąż wyższy poziom sklepów i mimo że coraz drożej, jest z roku na rok coraz pełniej. W 93. wielką przebudowę komunistycznego, chyba rządowego ośrodka, „Bryzy”, rozpoczyna Zbyszek Niemczycki. Ten z prawdziwego zdarzenia polski biznesmen wygrał licytację kompleksu zabudowań i ma na to pomysł i środki. Będzie wyglądać imponująco. Przede wszystkim ma się otworzyć na plażę i pełne morze. Jak ludzie władający przez lata tym krajem nie byli w stanie dokopać się w sobie dobrego gustu i miłości, chociażby do krajobrazów ojczyzny.

Cały ośrodek, nie tylko ten zresztą, bo tak było w całej Polsce, urągał podstawowym potrzebom estetyki i funkcjom krajobrazowo –widokowym. Towarzysze przyjeżdżali, pili wodę, gapiąc się na ohydne asfaltowe boisko. Kontakt z wydmami i morzem miały budynki gospodarcze. Tak samo jest zresztą w hotelu „Antracyt” w Gdyni, dawniej własność jakiejś kopalni, teraz jest już w miłych rękach prywatnych, ale przebudowa nie wchodzi na razie w rachubę. A Niemczycki w Juracie się zawztał i na pewno dopnie swego. Twierdzi, że przed przyszłym latem. Szczęść Boże, choć ja jak Zagłoba, ale z innych powodów, nie lubię tłoku i będę kombinował, żeby tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Na razie próbujemy z Basią *Listy* w sałce u Zbyszka, która ma być kiedyś kominkową. Tak z sześć godzin dziennie. Poza tym dużo jeżdżę na rowerze do Władysławowa i z powrotem. Czytam jakieś scenariusze, jeden polski, jeden francuski. Nic zdecydowanie nie muszę. Myślę o spokojnym rozpędzeniu przedstawienia w Polsce. Aż tu nagle...

Zuzanna Łapicka–Olbrychska

DANIEL NA DACHU (ŚWIATA)

Daniel Olbrychski poszukiwał ostatnio w Himalajach Atlantydy i sensu życia.

Rok temu Wróżka, która wcześniej przepowiedziała mi parę rzeczy, które się natychmiast potwierdziły, patrząc w karty powiedziała z zadumą: „A na jesieni czeka panią egzotyczna podróż...”. „To niemożliwe – wykrzyknęłam – sama nie pojedę, a mąż nienawidzi podróży, a na egzotyczne to nawet patrzeć nie może!”. „Ale to on będzie panią namawiał na tę podróż” – nie dawała się zbić z tropu Wróżka.

Wzruszyłam ramionami i szybko o tym zapomniałam. Przypomniałam sobie te słowa dopiero w pewien deszczowy sierpniowy wieczór, kiedy to zawinięta w dwa koce, w wełnianych rękawiczkach, czytałam książkę w wynajętym pokoju nad polskim Bałtykiem, gdzie jak co roku spędzałam prawdziwie egzotyczne wakacje (no bo niby w sierpniu, a jednak zimowo!). Lekturę przerwał mi gospodarz domku, wzywając mnie do telefonu. Głos ze słuchawki po angielsku domagał się ode mnie szybkiego kontaktu z Danielem. Rozpaczał, że szuka go od miesiąca i zupełnie nie rozumie, jak aktor może na własną prośbę zaszyć się gdzieś w Polsce, zacierając za sobą wszelkie ślady. Po tonie, jakim powiedział „aktor”, zrozumiałam, że mam do czynienia z reżyserem. Grzecznie, ale sucho odpowiedziałam, że Daniel nie chce pracować, chce jeździć na rowerze, ewentualnie na łyżwo–rolkach, które sobie specjalnie sprowadził z Ameryki, i prosił, żebym wszystkim mówiła, że wróci do domu za rok lub dwa. Już miałam odkładać słuchawkę, gdy niemiecki, jak się później okazało, reżyser wykrzyknął: „W takim razie ja przyjadę do Was, muszę mieć Daniela w swoim filmie. Wróżka mi to przepowiedziała”.

No tak, pomyślałam sobie, jak już dwie wróżki zderzyły się gdzieś ponad naszymi głowami, to nie ma co walczyć z losem.

„Kręcimy w Katmandu, w Nepalu, w Himalajach i w chińskim Tybecie, zdjęcia potrwają do końca grudnia” – kontynuował głos w słuchawce. Jego właściciel wyraźnie poczuł, że zaczęłam go uważniej słuchać. „Wróżka mi to przepowiedziała” – wymamrotałam w słuchawkę, ale on zrozumiał, że go przedrzeźniam i nieco spłoszony pożegnał się szybko, mówiąc, że wsiada w samochód i na rano dojedzie do nas z Monachium. Potem, jak zawsze w sytuacjach, kiedy los miesza się w nasze życie, wszystko zaczęło płynnie się układać. Christian Wagner okazał się młodym, zdolnym reżyserem, który za poprzedni film *We/Je r's story* (historia człowieka wędrującego po nieczynnych torach kolejowych w Bawarii) został obsypany nagrodami, m.in. nominacją do Felixa. Jedną z nagród było 700 000 marek, które dostał pod warunkiem, że włoży je w swój następny film. Polecam ten proceder Komitetowi Kinematografii!!

Tym filmem jest *Transatlantis* – metaforyczna historia poszukiwania zaginionego kontynentu Atlantydy, a raczej sensu życia. Poszukuje fizyk – naukowiec pracujący w ośrodku atomowym CERN w Genewie. Według jego teorii Atlantyda wyłonić się ma na „Dachu

świata”, czyli w Himalajach. Naukowca ma grać oczywiście Daniel, który od lat marzy, żeby zagrać w dobrym westernie, a obsadzany jest w kinie europejskim w roli wrażliwych intelektualistów targanych wątpliwościami na temat egzystencji.

Pamiętam, jak Volker Schlöndorff chciał go obsadzić w roli Swanna w Miłości *Swanna* według Prousta (w końcu rolę zagrał Jeremy Irons) i dał Danielowi do przeczytania *W poszukiwaniu straconego czasu*. Daniel wiercił się cały dzień na leżaku, odkładał książkę, robił sobie drinki, w końcu skończył i z ulgą ją odłożył, mówiąc: „Klituś–bajduś”. Obawiałam się, że podobnie zareaguje na ten poetycki scenariusz, ale nim zagłębił się w lekturę, tak zachwyił go poprzedni film Christiana, również ze zdjęciami Thomasa Maucha (robił zdjęcia do *Fitzcarraldo*), że z entuzjazmem rzucił się do pracy z tą dwójką niemieckich filmowców.

Polecieliśmy do Nepalu, zamieszkaliśmy w przykrytym kurzem Katmandu, gdzie stare, drewniane świątynie buddyjskie stoją obok zrujnowanych domów, wyglądających jak w godzinę po bombardowaniu; gdzie kobiety siedzą w kucki na ziemi przy świeczce i smażą placki na obiad, dzieci boso taplają się w błocie, a mężczyźni wyciągają rękę po jałmużnę, jedną, bo drugiej zwykle nie mają. I zdaliśmy sobie sprawę, że idziemy po głównej ulicy miasta, z twarzami wykrzywiony mi bólem patrzenia na tę nędzę, poirytowani ciągłym trąbieniem riksz i zdezelowanych samochodów, a cała ulica, żyjąca w ubóstwie, uśmiecha się do nas, dziwiąc się, że my tacy nieszczęśliwi. Chronimy się z ulgą w zacisznym hotelu, gdzie ruch panuje tylko o szóstej rano, kiedy to hotelowi goście, żywcem przeniesieni ze schroniska w Pięciu Stawach – te same flanelowe koszule, wełniane skarpety – z szaleństwem w oku szykują się na wyprawę. Tak też szykowała się ekipa filmu *Transatlantis*. Daniel pół nocy pakował plecak – sprawdzał, czy ma latarkę przyklejaną do czoła, tak by móc wieczorami czytać w namiocie, nie wyjmując rąk ze śpiwora, bo zamarzną...

O świcie żegnałam go na hotelowym korytarzu, o szóstej rano helikopter wywoził całą ekipę w samo serce himalajskich szczytów, skąd po pięciu godzinach marszu dotrzeć mieli do obozu. Stu Szerpów niosło za nimi sprzęt, kuchnię, toalety i prysznice. Daniel na pożegnanie ciężko westchnął i powiedział: „To po to ja te domy buduję, żeby w namiocie spać... pamiętaj, ostatni raz gram główną rolę, potem najwyżej, jak Brando, minuta na ekranie.” Mam nadzieję, że dotrzyma słowa. Na wszelki wypadek przestanę chodzić do wróżki...

[FILM styczeń 1994]

Naprawdę pierwszy film Christiana mi się spodobał, *Ostatnia droga Wellera*, nominacja do europejskich Oscarów – Felixów. Niemiecka nagroda państwowa, przedziwnie językiem filmowym opowiadana historia, która z trudem nadaje się do opowiedzenia w słowach, tak jak obraz czy muzyka. Wspaniała odkrywca kamera Thomasa Maucha. Zrobił wiele filmów na przykład z Herzogiem. Christian jako nagrodę państwową dostał 700 tysięcy niemieckich marek i musi je wydać na produkcję następnego filmu. Sam tę produkcję montuje. Rozmawiamy o moim wynagrodzeniu. Proponuje mi mniejszą stawkę, niż moja normalna, w zamian za udział w zyskach. Mimo że doceniam jego oryginalny talent i mam ochotę na tę artystyczno–turystyczną (Alpy, Nepal, Himalaje) przygodę, jestem ostrożny. W scenariuszu dużo jest nawiedzenia a mało opowiedzianej historii i relacji międzyludzkich, a ja w aktorstwie jestem, jak mój ukochany Singer w literaturze, tradycjonalistą. Muszę się wciągnąć w historię i wiedzieć przed kamerą, kogo lubię, a kogo nie lubię. Ot, co.

Pozostaję więc przy swojej tradycyjnej – bardzo wysokiej w filmach niemieckich stawce.

Ahoj, przygodo niemiecko–himalajska.

Skupmy się więc na spotkaniu z ambitnym himalaistą i jeszcze bardziej ambitnym reżyserem pt. Christian Wagner.

Spotkanie to, niestety, potwierdziło u mnie dwie rzeczy. Po pierwsze – mimo że myśmy akurat może życia nie narażali, jeszcze raz powiedziałem sobie, że wspinanie się po wysokich górach jest zajęciem dla szaleńców i egoistów. Pomyślmy chociażby o rodzicach takiej Wandy Rutkiewicz. Po drugie nadmierne ambicje reżyserów zapatrzonych we własny niepowtarzalny talent muszą doprowadzić do klęski. Na początku nic nie zapowiada nieszczęścia. Jadę do Monachium. Jak zwykle u Niemców, choć my też już równamy kroku, staranny dobór kostiumów. Mam ich mieć bardzo dużo i bardzo różne. W filmie jestem wybitnym fizykiem, pracującym w Genewie, a właściwie w olbrzymim, podziemnym centrum naukowym. Wybierają mi kostiumy, od garniturów do już czysto wysokogórskich ubrań na silne mrozy. Mój bohater w trakcie filmu opętany ideą odnalezienia zatopionej Atlantydy, zaczyna jej szukać, były takie teorie, na dachu świata. Nie podejmuję się opowiedzieć tej historii. Nie wyartykułował jej ani scenariusz, ani potem, mimo wysiłków Maucha i moich, sam film.

Mimo że na projekcjach poszczególne sceny wyglądały dobrze, po sklejeniu zrozumiał coś z tego chyba tylko sam reżyser i może jego bliska, bardzo sympatyczna zresztą, rodzina. Na początku było miło. Alpy, Obersdorf. Mieszkam w górskim schronisku, kilka pokoi i kuchnia. Widok na mamucią skocznię narciarską. Uczę się tekstu, gram po angielsku, bo tak mi łatwiej, niemiecki znam za słabo. Angielski rozumie i reżyser, i partnerzy, a i tak będę przecież podłożony po niemiecku. Przyjeżdża najpierw Rafał na tydzień, potem Zuzia. Rafał szczęśliwy, nareszcie ma warunki fruwania naprawdę na paralotni. Robi to w towarzystwie zawodowych instruktorów. Nie oglądam tego, wolę nawet nie myśleć. Instruktorzy go chwala. On w kółko opowiada o fruwaniu nad chmurami i wylądowaniu kilometr niżej, na umówionej łączce za kościołem, w miasteczku austriackim. Niebawem. Dużo czytam. Tym razem zabrałem ze sobą poza kolejnym Singerem, wspomnienia trzech pań: Monika Żeromska, Irena Krzywicka i Anna Iwaszkiewicz.

Głęboko myli się Tomek Jastrun, który potraktował te *memuary* z pobłażliwym lekceważeniem. Każda z tych kobiet tak różna, tak niezwykła, wrażliwa, inteligentna traktuje o dwudziestoleciu międzywojennym w niepowtarzalny, przenikliwy, przejmujący i tak inny sposób. Zgoda, męska spowiedź intelektualisty, czyli *Mój wiek* Aleksandra Watta, felietony i kroniki Antoniego Słonimskiego czy późniejsze dzienniki Lechonia, to w dziedzinie literatury faktu dzieła, które zaliczyć należy do fundamentalnych. Ale dla czytelnika, który tak jak ja uwielbia szalenie różną literaturę właśnie faktu, kontakt z takimi świadkami epoki jak te nadzwyczajne panie to przeżycie niezwykle. Podobnie, jak *To co najważniejsze* Oleńki Wattowej. Od razu dowiedziałem się o adres i wysłałem kartkę do pani Żeromskiej. Zadzwoiłem do Paryża, do Kazikowstwa Brandysów o telefon mojej byłej sąsiadki z Ives-sur-Ivette pod Paryżem, Ireny Krzywickiej. No i dał mi, ale chyba niedobry, bo się nie dodzwoniłem od razu. A potem machnąłem ręką, co się odwlecze to nie uciecze, powiedziałem sobie. Uciekło, uciekło. Ja wyjeżdżałem w Himalaje, a pani Irena wkrótce potem umarła. Byłoby jej na pewno miło słyszeć mnie zachwyconego. Anna Iwaszkiewicz, moja sąsiadka przez miedzę w Leśnej Podkowie, od lat już nie żyła. O tych książkach wolałbym więcej napisać. Ciągle polecam ich lekturę.

A ja muszę do Nepalu, do Katmandu. Obiecałem tę podróż Weronice. Podróż do stolicy szaleńców, wspinaczy, ale też i interesujących ją wierzeń i filozofii, o których już dużo wie.

Ja nie wiem, co będzie z tym filmem, ale wiem że chcę moim dwóm kobitkom pokazać to miejsce. Wsiadamy w samolot do Frankfurtu. Tam na lotnisku czeka już cała ekipa. Ja z partnerką gramy przy okazji prawdziwe wsiadanie do samolotu. Kamera pracuje jeszcze parę razy w czasie lotu. Kierunek: Himalaje.

Nienawidzę latać na trzeźwo samolotem. Już chyba o tym wspominałem. Czuję się jak obywatel byłego ZSRR, nic ode mnie nie zależy i nie mogę wylądować (to sam wymyśliłem, che, che). A tu przy rodzinie pić nie wypada. Męcę się więc do międzyładowania w Dubaju. Tam sobie strzelam w barze podwójną whisky, a Weronice podlizuję się od razu obiecaną już wcześniej kamerą wideo. Coś nakręci w tym Nepalu. No cóż, legendarne Katmandu, królewskie miasto, no bo króla tu nawet mają. Między Chinami a Indiami. Więc coś ni pies, ni wydra. Chin się pewnie boją jak wszyscy sąsiedzi Związunia. W Indiach, podobno jeszcze większa nędza, choć już trudno sobie wyobrazić. Całe miasto, jeśli opuszczamy nasz przyzwoity hotel, gdzie nieźle, choć monotennie karmią, jednak przygnębiające. Wszystko trąbi, krzyczy i kurzy, a także, niestety, przeraźliwie śmierdzi. Chodzi trochę świętych krów po ulicach. Hinduizm tu również koegzystuje z innymi religiami, głównie buddyzmem. Opowiadano mi, że krowa zaplątała się na pasie lądowania, na lotnisku, samolot ją palnął i zabił. Pilotowi groziła kara śmierci. Popenił samobójstwo sam. Wierzący hinduista. Boję się tych kultur, religii, ideologii. Choć w środku starej Europy, ze strachu przed bożkami dwóch wielkich narodów Stalinem i Hitlerem, waliły sobie w łeb z pistoletu lub zażywały cyjanku większe chojraki od pilota nepalskiego.

Jest środek jesieni. Tu ciepło, sucho. Zobaczmy, jak będzie w górach. Najpierw góry w Nepalu. Dziewczyny wysyłam już do Europy. A my w nieduży samolot, z kucharzem Austriakiem, który ma restaurację w Katmandu i żywić nas będzie na biwakach w górach. Lecimy między szczytami i lądujemy na półce skalnej wielkości boiska do piłki nożnej. Na szczęście pogoda o tej porze roku krystaliczna. Inaczej chyba takie loty niemożliwe. No a potem *rzeczy* osobiste w plecaki. Około 15 kg na kark i w drogę. Szerpowie i Szerpijki (Szerpice) niosą resztę bagaży. Namioty, śpiwory, materace, sprzęt – czyli kamery, lampy, żywność. Masę, masę kilogramów, około 40–50 kg na kark, i ciągle pod górę. Trzy dni i trzy noce. W dzień ciepło, nawet gorąco, w nocy już poniżej zera. Przydają się śpiwory i znakomite ubrania do wypraw wysokogórskich. Pierwszy nocleg jeszcze ho, ho. A im wyżej, tym ciężiej i zimniej. Szerpowie idą często boso, śpią na półeczkach skalnych, w jakichś jamach. Jedzą rodzaj podplomyków, a zasuwiają strasznie.

Mówię do reżysera, czy film jakkolwiek wart jest takiej męki tych ludzi, nie mówiąc i o naszym, również ogromnym, wysiłku. Dość zimno odpowiada mi, że zarabiają dziennie... 4 dolary! I to dla nich jest dużo, bo inaczej nie zarobiliby nic i nie kupiliby sobie butów na zimę.

Już mi się dosyć ten stosunek artysty do świata nie spodobał, ale idę dalej. Parę osób w drodze omdlewa z wysiłku. Ciągłe pod górę. Po cholere, myślę sobie, cóż to za sceny niezwykle mają być kręcone za taką cenę, pieniędzy i wysiłku. No, jeśli nie zrobisz arcydzieła, to warto by cię publicznie powiesić za jaja. Adresuję tę złotą myśl jeszcze w duchu, do reżysera. Lubię wysiłek, ba, niebezpieczeństwo, gdy to czemuś służy. Mogę leżeć goły na śniegu, ale przed kamerą, a tu jeszcze nic nie nakręciłem, a mam już dość. Przed snem w namiocie czytam sobie książeczkę, którą mi dała córka, *Prosiaczka* Benjamina Hoffa. Mądrą mam córkę, bo książeczka jest bardzo mądra i trafia do mnie, a nawet we mnie. I w kontekście tej filozofii widzę, ile mi brakuje do harmonii ze sobą i ze światem. Ale jak, kurwa, mogę być w harmonii, skoro z namiotu wychodzę złożony właśnie w harmonię czy scyzoryk i wyprostować się nie mogę. Korzonki. Bez bolesnych zastrzyków w dupę z witaminy B nie mógłbym dalej iść. Trudno podziwiać piękno natury i gór. Dochodzimy do jakiegoś jeziora, coś tam kręcimy. Uważam, że nie będzie to miało poza widokami, które zawsze są lepsze w filmach dokumentalnych, większego znaczenia. Wracamy partiami, dwoma helikopterami. Na właśnie owo lotnisko górskie i z powrotem do Katmandu. A potem samochodami, koszmarna jazda do granicy z Tybetem, czyli teraz z Chinami.

Tybet. Jazda w górę. Samo serce Himalajów. Niewiele mogę powiedzieć o Tybetańczykach. Nieszczęsny naród. Mordowany latami przez komunistyczne Chiny. Przy nas byli sami oficjalni tłumacze – ubecy. W namiocie i na zewnątrz z zapadnięciem nocy tak zimno, że wewnątrz bez rękawic czytać nie można, a na zewnątrz sikać, bo chyba zamarza w locie. No, myślę cały czas, będzie co wspominać. Nie będą to jednak miłe wspomnienia. A nie jestem rozpuszczony, mam za sobą w socjalistycznych warunkach pracy wiele bardzo ciężkich filmów. Tu, w górach, w tym filmie niemieckim, widzę jednak, że nie służy to niczemu. Gram z dziewczyną, która nic nie umie. Beznadziei nawet nie da się wyartykułować. Tam, w Europie miałem w tym filmie jeszcze jakichś partnerów, a tu tylko widoczki, żadnej akcji, żadnej myśli, żadnej reakcji międzyludzkiej. Zadaję reżyserowi pytanie: jeśli nie fotografuje między nami scen męsko–damskich, a jesteśmy sami w górach, śpimy w jednym namiocie, no to co się między nami tam zdarza w tym namiocie? Chrystian odpowiada mi, wyraźnie urażony moim prymitywizmem, że go to w ogóle nie interesuje. No to mnie, myślę sobie, bardzo interesuje, co będzie na premierze w Berlinie. Bo jeśli wysmaży on arcydzieło, to ja już się w ogóle na kinie nie znam. I pokornie powinienem grać, nie dyskutując, nawet w filmach artysty pod tytułem Żuławski Andrzej. Na szczęście byłem na premierze festiwalu w Berlinie. Nie jest ze mną tak źle. Oczywiście, film do dupy. Mimo takiego operatora i takiego aktora, co? I takich wysiłków. Były pieniądze, była szansa. Chłopak, mówię o Wagnerze, na pewno zdolny, może się podnieść. Musi jednak zrozumieć, że coś trzeba umieć. Albo opowiedzieć ciekawie historię, albo przyglądać się wnikliwie ludziom, albo mieć poczucie humoru, najlepiej wszystko razem. No, ale to mają chyba tylko Woddy Allen i Nikita Michalkow, no może jeszcze Krzysztof Kieślowski, może Jarmuch.

Grudzień 1993 – Sylwester u Preisnerów

No i znowu święta. Wigilia w Warszawie. Mama przecież coraz starsza. Na Sylwestra wybieramy się do Ewy i Zbyszka Preisnerów. Z tym Zbyszkiem to coś niebywałego, mało kto na świecie, a co dopiero w Polsce zrobił taką bombową, mówię o szybkości i zasięgu, karierę. Dzięki talentowi czystej wody. Trampoliną były oczywiście filmy Kieślowskiego – *Dekalog*, a potem *Podwójne życie Weroniki*. Ale Krzyś trafił na nie byle kogo. Zbyszek dał losowi, czy Panu Bogu, szansę. Tak jak w tym żydowskim dowcipie: Modli się Mosiek i pyta Boga, czemu u sąsiadów takie piękne zboże, a u niego nic nie wyrosło. Modli się i modli. Wreszcie Bóg zmęczony wychyla się z nieba i zbolalym głosem mówi: „Mosiek daj mi szansę, zasiej!” A może to było o loterii, to wtedy mówi: „Daj mi szansę, kup los!”

Zbyszek dał szansę. Zrobił w ciągu paru lat, ba, miesięcy naprawdę zasłużoną fortunę. Przed dwoma laty pomagałem mu założyć pierwsze konto w Paryżu. Tytułem zaliczki od jego agenta, na 2 tysiące dolarów. Teraz w wielkim sklepie płytowym przy Champs–Élysées co druga osoba słucha w „helmie” jego muzyki z *Weroniki*, a co trzecia kupuje. Tantiemy ogromne. Kolejka do jego płyt i kolejka reżyserów i producentów do jego twórczości. Na szczęście jest również przytomny. Jego praw pilnuje nie ZAIKS, ale najsilniejsza agencja Europy. Daj mu Boże! Trafiło poza tym na dobrego chłopaka. Lubi nieba uchylić innym. Oby się nie zmienił.

Wielkich artystów sukces chyba tak nie demoralizuje, jak lichy sukcesik tych durniów, pozał się Boże, polityków. No, ale z dwóch tysięcy przed dwoma laty wybudować teraz taką domenę, to jest siła talentu i przedsiębiorczości Zbysia. To na pewno także gust, pragmatyczność, oj, chyba się raczej mówi pragmatyzm, cierpliwość starej, galicyjskiej rodziny Preisnerów, myślę tu o Ewie.

Maszyce pod Krakowem, raczej nad Krakowem, bo są wyżej, trochę na północ. Rano na kacu po Sylwestrze, jak jest pogoda można z ganku wypatrywać Tatr. W czasie Sylwestra gdzieś w dole jarzy się Kraków, jak Paryż z Vallée de la Chevreuse albo jeszcze lepiej. Zbyszek się cieszy jak dziecko, bo bardzo dużym przecież jest, pokazując nam swoje włości w rewanżu za bardzo włościąnskie Sylwestry u nas, pod Kazimierzem. Jest nam dobrze razem i cieszymy się możliwościami, które w naszym kraju się otwierają. Przecież to nie tylko talent Zbyszka czy moje zachodnie filmy sprawiły, że poza pracą możemy się cieszyć jej materialnymi owocami. Coś się z tymi możliwościami w kraju zmieniło naprawdę. Kłaniam się panom Mazowieckiemu i Balcerowiczowi, no to wcześniej Wałęsie, a jeszcze wcześniej KOR–owi. No, jak już, to zdrowie Gorbaczowa! To nie były, proszę Państwa, takie toasty, piszę to po paru latach z lekkim opóźnieniem, ale mam tzw. perspektywę. W końcu Urban resztę swojego życia spędzi jak sprawiedliwie wzbogacony kapitalista, dzięki ludziom i ideom, które tak barwnie zwalczał, gdy był, jak mu się to wydawało, u władzy.

Ciekawostka, ze znakomitej aparatury w dworze Preisnerów wydobywa się muzyka Seweryna Krajewskiego i jego „Czerwonych Gitar”. Cały czas. To kocha najbardziej *succesfull* kompozytor naszych lat. Drogi Sewku, ja też. I całuję Cię w samo serce.

Wejście w 1994 rok na lekkiej bani

Chciałem wejść tak z sercem w ten 94, rok ale coś mi się odbija. Coś jak poetę mnie przymusza, żeby chwilę jeszcze zająć się wspomnianym zaledwie Jerzym Urbanem. Chciał nie chciał, nie można wzgardliwie spuścić tego fenomenu z wodą albo z wódą. A wódki „Urban” w sklepach pełno – mówię to z zazdrością, bo wódki „Daniel” w sklepach nie uświadczysz. Oczywiście, najłatwiej byłoby się posłużyć efektownym przykładem. *Pamiętnik szubrawca* – sztuka rosyjska pod tym tytułem była grana w Teatrze Współczesnym, w reżyserii Towstonogowa, z genialnym Tadzikiem Łomnickim w latach 60. Urban na pewno to widział.

Dobra sztuka uczy, mógł wyciągnąć wnioski, jak tu się wybić. W niedługim przedstawieniu Tadeusz wślizgując się w łaski rozmaitych potentatów, zmieniał się koniunkturalnie fizycznie. To było zresztą nadzwyczajne, chyba jeszcze lepsze niż Arturo Ui. Urban, jak wiadomo, fizycznie zmienić się nie może. Kurwa, on się w ogóle nawet nie starzeje. Postanowił się dostosować lepiej niż kameleon. On się nie zmienił, to niebywałe. Porażkę przekuł w sukces. Jako polityk kiepski, krótkowzroczny, przegrał, a okazał się najbardziej przytomnym gościem demokracji rynkowej, którą to demokrację jako rzecznik dość błazeńsko zwalczał. Megalomańsko powiem, że pod pseudonimami zwalczał również mnie. Jakimże to zagrożeniem dla systemu totalnego był dość zdolny, dość bogaty, a w związku z tym dość niezależnie myślący aktor? Potworne zagrożenie, naprawdę! No i co? Pytam, jak człowiek inteligentny w latach 80. mógł uwierzyć i bronić teorii głupiej i zbrodniczej? Jeszcze można zrozumieć tych u władzy z etatu, ale na własną prośbę? Głupi, choć inteligentny jest ten pan Urban, głupio też pod pseudonimem pederasty Nasierowskiego wykpiwał w „Nie” i mnie. I bardzo głupio wystąpił przeciwko bandycie, który uderzył generała Jaruzelskiego. Nie to, że głupio mówił, mówił bardzo dobrze, ale sam fakt, że to on wystąpił był kompletnie chybiony. A to już polityk powinien był wiedzieć. Jako obrońcy prawa winni przeciwko łobuzowi wystąpić w telewizji tacy prawnicy, jak: Olszowski, Kaczyński i, nie bójmy się wielkich słów, Tadeusz Mazowiecki. Ale oni, niestety, boją się elektoratu. A Kościół czego się boi? W tej sprawie Owa Instytucja wystąpić powinna z pozycji 5 przykazania.

Ja z tym 5 przykazaniem też bywam, przynajmniej w myślach, na bakier. Bo jak tu nie zaciskać pięści?! Chodzą tacy w wieku moich dzieci po ulicach, ogoleni, z pałkami i chcą bić. A kogo bić? A najlepiej Żydów i takich różnych innych. I co z tego wyniknie? Pamiętam raz, jak na ogłoszenie, że ci nieświadomi siebie faszyci chcą gdzieś tam demonstrować, zadzwoniłem do moich przyjaciół. A byli to Leszek Drogosz, Jerzy Kulej, Przemek Saleta, Zbyszek Pietrzykowski, czołowi polscy dżudocy, aha, Władek Komar. Chciałem im powiedzieć, chodźmy w pierwszym szeregu, jak kiedyś przedchorągiewni pod Grunwaldem. Tym razem nie na Niemca, tylko spuścić lanie tym zasańcom. I taki obraz marzyłem, i się obudziłem, bo to był mój sen. Co to się staremu pierdole marzy...

Pisząc to, popijam sobie białe wino „Sofia”. Bardzo lubię to bułgarskie wino i kombinuję, jakby tu zakończyć ten króciutki rozdział o panu Urbanie. A może tak, muzyka na melodię *piripitkum, piripitkum, ożenił się chłop z kobitką*.

*Urbanie, Urbanie
w tym smutnym Lechistanie
myślałeś Pan, że równo
lecimy wszyscy w gównu.*

*Ale się okazało,
że gówna było mało,
robimy teraz równo
już własne tylko gównu.
Hej hop!*

No to w tym stylu Sylwestrowym zakończyłem rozdziałik, butelkę „Sofii”, a nawet drugą też. Zarzekałem się, że jeśli pisanie, to tylko na trzeźwo, i w tym wypadku nie dałem rady. Chyba wyszło w miarę głupio i grafomańsko. I tak ma zostać. Jak ma być prawdziwie, to musi być czasami głupio i grafomańsko. A bo co?

Cholera, chyba o czymś bardzo ważnym w moim życiu nie zdążyłem napisać. Kuba ma już 2 lata, znaczy Antek rok. Rok temu chyba wstydzilem się o tym napisać, że jestem... a może nie wstydzilem, tylko się po prostu zagapiłem... że jestem już dziadkiem. Kuba urodził się w świętego Walentego, a Antek jedenaście miesięcy później. Ale mi się pospieszyli. Rafał jakoś się wyrabia, może jako ojciec jest nawet bardziej dokładny, niż ja w jego wieku. A mieszkanie w tej demokracji kapitalistycznej musiał im ojciec kupić. Żeby tylko im było dobrze. O Boże, idę spać.

„Cziut” pomiedliennieje, koni..”

No to wchodzę w ten roczek, gdzie ostatni raz będzie mi „eści”. Za rok już będzie pierwsze „esiat”. Fizycznie nie bardzo to jeszcze czuję, może tylko, gdy lekko przesadzę, to kace mają na pewno większą wymowę niż przed laty. No i makijaż nie likwiduje trudów nocy. Ale wystarczy kilka dni higieny, zdrowego ruchu i wszystko zdumiewająco szybko wraca do normy. Może to mnie czyni trochę bezkarnym w traktowaniu własnego organizmu. Ale zaczynają się już, tak, tak, refleksje. Że czas galopuje coraz szybciej, że zostaje go coraz mniej. Niby na co? Ano na życie właśnie. Nie uważam bowiem, żebym koniecznie miał po sobie zostawić coś wiekopomnego, skąd. Albo nawet ważnego. Najważniejsze, co zostawię to dzieci przecież. Jak w tym powiedzonku: mężczyzna w życiu powinien wybudować jeden dom, zrobić jedno dziecko i zasadzić chociażby jedno drzewo. Chyba to słuszna kolejność, zresztą. Otóż, nie tylko wykonałem ten program minimum na życie, ale przebiłem go co najmniej trzykrotnie. I chcę się jeszcze jak najdłużej tym cieszyć. Za życia zaznałem i zaznaję tyle przejawów sympatii, ba, miłości ludzkiej, i to w wielu krajach, że nie potrzeba mi, jak poecie, pisarzowi, malarzowi czy muzykowi, długotrwałej pamięci po śmierci. Aktorów się długo nie pamięta. Z bardzo nielicznymi wyjątkami. Pamięć po śmierci zamieniłbym dzisiaj na spowolnienie czasu. Bo biegnie do tej cholernej mety coraz szybciej. W życiu pięciolatka rok to szmat czasu – jedna piąta życia. U pięćdziesięciolatka, a więc za chwilę u mnie – to jedna pięćdziesiąta, 2 procent, prawie mgnienie. Za mgnienie już będę „esiat”. A więc, ściągając wodze koniom mojego rydwanu, śpiewam z Wysockim *cziut' pomiedliennieje, koni*. A on przecież był sporo młodszy, gdy **to** poczuł.

Rok 1994

Po prostu cały czas własny teatr prywatny i Listy *miłosne* z Basią Wrzesińską po całej Polsce i nie tylko. Stany Zjednoczone, Kanada. A w lecie parę tygodni głębokiej satysfakcji artystycznej z moim ukochanym krakowskim reżyserem od klasyki Krzysztofem Nazarem. Tym razem Słowacki – Sen srebrny *Salomei*. Gram w bardzo śmiałej charakteryzacji – Regimentarza. Dlaczego śmiałej? Pomysł charakteryzacji był mój. Obciąłem włosy *à la* portret trumienny polskiego szlachcica, wygolona głowa i tylko czub na górze, i tak przyszedłem na pierwszą próbę. Koledzy, krakowscy aktorzy, jęknęli, bo zrozumieli, że Nazar natychmiast każe im się podobnie wygolić, a oni przecież co wieczór grali przedstawienia, czasami również współczesne. Ale wygolili się, Radziwiłowicz i inni też musieli. Wyglądali wspaniale. A gdy wchodziliśmy do kawiarni, czasami na jakąś kawę, czy też – nie powiem – wódeczkę, to po fryzurach można było poznać. Dymiło nam się z czubów i można było poznać, że to ci od Nazara. Bardzo lubię tę pracę, bardzo lubię tę rolę, mimo że były jakieś tam zgrzyty produkcyjne. Ale już o tym pisać nie będę.

Jesień

Zdarzyło się w Polsce dosyć dużo, a między innymi nastąpił zamach na generała Jaruzelskiego. Po prostu szalenięć, bandzior zwykły, bo inaczej tego nie można nazwać, łobuz, uderzył go cegłą czy kamieniem w trakcie podpisywania jego książki we Wrocławiu.

Do Wojciecha Jaruzelskiego, list nie wysłany. 26 października 94.

Panie Generale,

Wróciłem parę dni temu z trasy, jak to się mówi, po Stanach i Kanadzie, były to „Listy miłosne” z Barbarą Wrzesińską. Dowiedziałem się o tym haniebnym incydencie i piszę do Pana. Nie jest to list miłosny, mimo że wynika z potrzeby mego serca i sumienia. No, niech padną... wielkie słowa. Piszę jak Polak do Polaka. Był Pan znaczącym politykiem w tej części świata, nie tylko samej Polski. Pana decyzje mogły wpływać na kierunki dziejów, nie tylko naszego kraju. Nie zazdroszczę Panu losu, który Pan wyciągnął lub do którego Pan zmierzał. Wiem, że jest pan człowiekiem głęboko myślącym i czującym. Wiem również, grałem przecież tyle Szekspira, że polityka głęboko deprawuje. Dziś też mamy tego przykłady. Prawdą jest, że Polska zaciskała przeciwko Panu pięści, ja też, wie Pan o tym. Ale te pięści nigdy nie były wyprowadzone lewym czy prawym prostym, sierpowym czy hakiem w kierunku Pana głowy. Może tacy jesteśmy, a może cieszy się Pan przedziwnym szacunkiem tego narodu. W „normalnych”, jak to się mówi, krajach byłby pan obiektem aktów zemsty, nienawiści, może nie mógłby pan wyjść na ulicę, ale nie tutaj. A propos – nienawiść według religii katolickiej jest największym grzechem. Jeżeli na 40 milionów Polaków znalazł się tylko jeden dumny i zadowolony z siebie kretyn, to może Pan być dumny z narodu, którego był Pan, niektórzy powiedzą – z ramienia Moskwy – przywódcą. Był Pan przywódcą i podejmował Pan decyzje, których nie daj Boże, nigdy nie chciałbym podejmować. Życzę Panu powrotu do zdrowia. Pozdrawiam serdecznie Pana ukochane kobiety, żonę i córkę. To najbardziej w Panu rozumiem. Przepraszam za zbyt poufaly ton listu. Komedianta do męża stanu.

Daniel Olbrychski

P.S.

A tutaj wierszyk Wojciecha Młynarskiego. Wierszyk kołęda. Przywiózł go w grudniu 82 roku do mojego domu pod Paryżem, dedykował go mnie. Zrozumiałem, że wiersz ten będzie pięknym zakończeniem recitalu poezji polskiej. Wykonywałem go dla polskiej emigracji w wielu krajach, w stanie wojennym i potem. Był tam Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Miłosz, Bryll i właśnie ta kołęda Wojtka.

Pana urzędnicy w konsulatach, przepraszam, mówili mi, że robię antypolską robotę. „Niech się rojami podli ludzie pienią, nie będę z nimi”. Słowacki. Serdecznie pozdrawiam.

Niech pan przeczyta.

*Już się przybliżyła ta noc grudniowa,
by wielką radość ogłosić wszędy,
serca i myśli już przygotować,
czas do kolędy.*

*Pozbyć się smutku dnia codziennego,
myśli, co kłębią się coraz czarniej
w 82. bez tego
z kolędą marnie.*

*A ty się Jezu o to nie zżymaj,
lecz gdy zapłonie jasno choinka,
pozwól mi spojrzeć na nią oczyma
mojego synka.*

*A gdy powrócę do lat dojrzałych,
bo się cud taki szybko odmienia,
daj mi Jezuniu z twych rączek małych
dar przebaczenia.*

*Tak do kolędy dziś mnie przygotuj,
a będą ze mnie pociechę mieli
w anielskim chórze, pod gwiazdką złotą
Twoi Anieli.*

*Bym poczuł pośród wspólnego śpiewu
ten cud nad cudy, co dziś się ziści
z duszą i sercem wolnym od gniewu
i nienawiści.*

25.10.94 telegram wysłany

*Panie Generale,
Uprzejmie lecz stanowczo żądam natychmiastowego powrotu do zdrowia.*

Pułkownik Andrzej Kmicic

*Panie Wojciechu,
Życzę rychłego powrotu do zdrowia, pozdrawiam serdecznie.*

Daniel Olbrychski, szeregowy rezerwy

Gwiazdka i święta jak zwykle rodzinnie. Najpierw z mamą i z ciocią, z Krzysztofem i całą moją rodziną. Potem Zakopane, w domku pod tytułem „Brzydula” naprzeciwko „Halamy”, ul. Piłsudskiego, niedaleko skoczni, u naszych przyjaciół, którzy ten domek *zawsze* do naszej dyspozycji oddają. Sylwester u Preisnerów pod Krakowem. Bardzo znowu było miło i pięknie.

Właściwie z czego to ja żyłem? Piszę o tym później, ale *Listy miłosne* to były również poważne zarobki, a przy okazji pomysł *Chwastów polskich* i na kasecie, i w książce naprawdę usprawiedliwia późniejsze określenie, z czego to Daniel żyje i od czego ma, i ile, pieniędzy – jak powiedział Janek Englert.

Rok zaczynam również rodzinnie. Urodziny Weroniki, już czternaste. A potem jedziemy razem do Nowego Jorku. Weronika pozna Wiktora, który parę dni po niej kończy swoje 6 lat.

Polecieliśmy sami, we dwoje. I było cudownie. Ja przez cały tydzień nie wypilem nawet piwa. Córka bardzo tego nie lubi. Niewiele paliłem. W samolocie nad Atlantykiem *wręcz* wcale. Córka tego nie znosi. Mieszkaliśmy w jednym z apartamentów Witka Markowicza, na Manhattanie. Wiktor, ten mój, w dole miasta, dość daleko, więc kontakt nie był prosty. Zwłaszcza, że zaraz po urodzinach się rozchorował. Już w ogóle żeśmy go nie widzieli. Poznali się z Weroniką, miło, spontanicznie, wzajemnie obdarowali. Ja patrzyłem na to trochę wzruszony, trochę zakłopotany. Wiem, że niczego sztucznie się nie przyspieszy. Weronika uwielbia Nowy Jork. Może liczyć, że ma tutaj kogoś bliskiego, jak cholera podobnego do mnie. Niech to dojrzewa i owocuje. Może już niedługo – jego przyjazdem do Polski. Bilety powrotne mamy na niedzielę, 5 lutego.

Cały Manhattan nasz. Łazimy po restauracyjkach, kinach – dwa razy dziennie, sklepach. Mała kobietka zachwyca się paroma rzeczami. Ach, te buty! Ale gdy widzi, że sięgam po kartę kredytową, odciąga mnie szybko:

– Nie, nie, to za drogie.

Nie wiem, czy już jest świadoma, że jeszcze bardziej skłania mnie do rozpieszczania jej. Jeszcze muzeum, oczywiście wizyta w szkole Zuzi Głowackiej, córki Ewy i Janusza, przyjaciółki z wakacji w Juracie. Niepokoję się coraz bardziej wiadomościami z Warszawy. Dzwonię co dzień do Mamy. Mieszkająca z nią i opiekująca się od lat jej siostra Irena informuje mnie, że zachorowała. To nic groźnego, mówi, lekarz przychodzi. Nie, na pewno nie muszę przyspieszać przylotu. Sama Klima by nie chciała. Ale coś nie daje mi jej do słuchawki. A to śpi, a to jest w łazience. W piątek, trzeciego, podejmuję decyzję, lecimy natychmiast. Dzięki uprzejmości LOT-u, znowu pierwsza klasa. Weronika śpi wygodnie. Przypatruję się jej. Jaka ona podobna do mojej Mamy, do jej zdjęć z młodości, z dzieciństwa. Nawet teraz, to samo czoło, nos, zarys brwi... Lecimy na wschód.

Noc z piątku na sobotę. Boję się jutra. Przecież życie Mamy od wielu lat wisiało na włosku. Gdy była w moim wieku lekarze wróżyli jej zaledwie parę lat. Zapalenie wsierdza, z przepracowania dla nas, jeszcze tam w szkole, w Drohiczyńce. A potem ciężka wada serca. I dostała od Boga jeszcze całe życie. Musiała na nie chuchać, ale żyła. Była szczęśliwa. Zaczęła wtedy dopiero naprawdę pisać dla dzieci i młodzieży. Ile wygrała konkursów! Zupełnie nieźle zarabiała. Jej synowie dorastali, coś osiągnęli. Brat – wybitny, młody fizyk. Byliśmy jej dumą. Chociaż ze mnie dumna, nie była nigdy bezkrytyczna. Brat wcześniej zachorował, nie mógł normalnie pracować, mimo że jeszcze długo próbował. Znalazła rodzaj szczęścia w czuwaniu nad nim. Ot, takie powtórne macierzyństwo, jak z dzieckiem. On znalazł rodzaj pociechy w Bogu i Kościele. Jest naprawdę głęboko wierzący. Można mu tego zazdrościć. A Mama w początku lat 70., gdy miała już ponad sześćdziesiątkę, powiedziała mi rzecz przepiękną.

Wracaliśmy samochodem z dwutygodniowego pobytu w Paryżu, pisałem o tym w *Aniotech...*, ale jeszcze przypomnę. To był mój prezent dla niej, jej pierwsza zagranica, wymarzony Paryż. Wraca z synem uśmiechnięta i mówi:

– Wiesz Daniel, uważałam, że wszystko, co piękne w życiu, mam za sobą, myślałam, że będę żyła krótko po szpitalu. A teraz po tych dniach w Paryżu z tobą wydaje mi się, że to było najpiękniejsze w moim życiu. Już się niczego nie boję, bo zawsze może być coś pięknego przed nami.

No i było. Rodzili jej się wnukowie. *Zawsze* jej mieszkanko było dla nich otwarte. Od wielu lat mieszkała z nią pogodna, wspaniała siostra Irena. Opiekowała się nią. Starsza trochę, ale dużo sprawniejsza. Miała cudowną opiekę i miłość. Ojciec nasz tam nie mieszkał. Wolał mieszkać sam. Ale do swojej śmierci bywał z okazji wszystkich świąt. Doczekała wreszcie rzeczy niewiarygodnej; swoich lekarzy szpitalnych z lat 50. dawno przeżyła i mogła jeszcze rysować bajeczki prawnukom. Wszystko było pięknie. Czego się boję, gdy samolot zbliża się do lądowania na Okęciu? Nie samego, jak zwykle, lądowania. Boję się, że nieodwracalne się stanie lub już się stało. Boję się jak dziecko – pełnego sieroctwa. Boję się, że moja dziewczynka, która właśnie się budzi, może stanąć już wkrótce po raz pierwszy wobec najbardziej normalnego na świecie dramatu, odejścia kogoś bliskiego. Z lotniska, przez Wilanów, zostawiam walizki, biorę samochód, na Saską Kępe. Nawet nie dzwonię z domu. Chcę ją jak najszybciej zobaczyć, żywą.

Moja Matka dotrwała. Doczekała się mnie z Nowego Jorku. Doczekała się wszystkich, którzy ją kochali.

Ils sont venus.

Ils sont tous là.

Venus du Sud de l'Italie.

Ils sont uenus pour dire

adieu la Mamma – jak śpiewa Aznavour.

Czy wiedziała o tym? Nie potwierdziła tego wyraźnym znakiem. To już było dla niej za trudne. Jak za trudne na ludzkie siły było przedłużanie jej życia. Odnoszę wrażenie, że czuła, że jestem, że jest Krzyś, siostra, Rafał, Weronika, Zuzia, nawet Monika. Chyba czuła, że trzymam ją do końca za rękę. Bo w ostatniej chwili jeszcze uważnie i dość przytomnie spojrzała mi w oczy i usnęła. Na *zawsze*. A ja, zamykając jej oczy, jak robiłem to parokrotnie w filmach swoim filmowym bliskim, płakałem jak dziecko. I teraz płaczę. I nie obchodzi mnie, Drogi Czytelniku, że Cię znudziły być może te ostatnie stroniczki, że są niestosowne w anegdotycznym czasie spotkania ze znanym aktorem. To była jak dotąd, obok śmierci mojego Ojca, najcięższa chwila mego życia. A opisałem ją dla Niej i dla siebie.

Opowiadają ludzie, którym amputowano na przykład nogę, że długo po amputacji jeszcze fizycznie ją czują. Tak jest u mnie z obecnością Matki. Łapię się nieraz, że chcę do Niej zadzwonić na Saską Kępe. Ot, takie zaćmienie chwilowe, ale bardzo konkretne, umysłu. Chwilkę potem dzwonię do kochanej ciotki Irki, jak się czuje, czy czegoś nie trzeba, i odwiedzam ją jak potrafię, ciągle za rzadko, uważam. W mieszkanku mojej Mamy, gdzie wszystko jest, jak było. I Ona też jest wszędzie, gdzie jestem. Nie tylko teraz, gdy o niej piszę.

Księdzu Kazikowi Orzechowskiemu i wszystkim obecnym na mszy i pogrzebie Klementyny Sołonowicz–Olbrychskiej gorąco dziękuję. I Tobie, Krysiu, za tę opiekę w ostatnich dniach Jej życia i też po Jej śmierci.

Kuba i Antek. 1995

Kuba sobie wybrał dobry dzień na urodziny, dzień świętego Walentego. Ułatwi mu to na pewno w przyszłości podrywanie panienek na „jubilatą w święto zakochanych”. Chociaż, sędzę, po tatusiu i dziadorze powinien się i tak wyrabiać genetycznie. W tak zwanym, jak mawiał Wiech, międzyczasie, syn z synową i wnukami zamieszkali w obszernym mieszkaniu na moim osiedlu. No i sobie mieszkają. Antek w styczniu skończył dwa lata. Kuba 14 lutego trzy. Może to i lepiej, że tak szybko. Lepiej się będą chować we dwóch. Tylko jak sobie Rafał z tym da radę finansowo. Muzyka, film, to takie niepewne. Ja jak byłem w jego wieku wszystko było tańsze. Ale też do czasu mojego zachodniego boomu z trudem wiązałem koniec z końcem, grając po parę polskich filmów rocznie. No, ale potem zachodni boom był i, nawet mimo podchodzenia pod wiek „trolejbusowy”, trwa. Dla Czytelnika, który w latach 60. nie miał „nastu” lat wyjaśniam, że trolejbusy jeżdżące wówczas ulicami Warszawy miały numery od 51 do 56. No, więc co ma robić kochający Ojciec, Teść i Dziadek, piszę to przez duże litery, bo kto mi okaże szacunek, jak nie ja sam. Kupuje onże to mieszkanko. *Rodzinka nie cieszy, nie bawi gdy jest, piri, piri, bum, pim, pa, pam*. Nie mogę napisać więcej, bo powyżej iluś tam taktów musiałbym płacić tantiemy Przyborze. *Lecz kiedy jej ni ma, samootnyś jak pies, piri, piri, bum*, to piszę po cichu, może się Przybora Jeremi nie zorientuje.

A od kogo onże to mieszkanko kupuje? A od niejakiego Andrzeja P. Ten, wyglądający na pocziwego idiotę, z lekka jak dotąd ze mną zaprzyjaźniony, wcale, okazuje się, idiotą nie jest. To ja, jak zwykle, w stosunku do swoich znajomych i przyjaciół w sprawach finansowych jestem idiotą. W umowie kupno–sprzedaż, którą podpisuje przyszły właściciel Rafał, jest punkt stwierdzający, że to mieszkanie nie jest zadłużone w niczym wobec Spółdzielni. P. podpisuje, że nie jest. Księgowa Spółdzielni nawet to potwierdza. Potem okazuje się, że potwierdziła P.–ego czyste konto w sprawie materiałów budowlanych, a ja nie zapytałem o kredyt. Nie zapytałem, bo nie wiedziałem, że coś takiego w spółdzielni budowlanej istnieje. P. oczywiście wiedział i wiedział, że sprzedane mi mieszkanie jest obciążone kredytem, i że ten kredyt będzie rósł, bo on nie będzie go płacił. Woli być oszustem niż takim naiwniakiem jak ja. I ma rację. Bo wie, że tzw. polska sprawiedliwość stanie po stronie ewidentnego oszusta, jeśli jego adwokat będzie bezczelny, a mój śpioszek. A tak właśnie było. To P. atakował, a mój bronił Rafała z rodziną przed eksmisją. Proszę zrozumieć, oszust wziął wszystkie ogromne pieniądze na długo przed oddaniem mieszkania, nie zapłacił swojego kredytu, który już bardzo urósł. Za moje pieniądze zdążył sobie kupić samochód, wykończyć willę. A polskie prawo poważnie zastanawia się, jak i kiedy eksmitować Rafała z małymi dziećmi z kupionego przez niego mieszkania. To prawda, że adwokat mój był w tej sprawie dupą prawie taką samą jak ja. Ale we Francji, Szwajcarii itp. krajach nie potrzebowałbym nawet adwokata, sama umowa i jej niedopełnienie przez P.–ego spowodowałyby wkroczenie komornika na naszą korzyść. Oj, mamusku, o mój biedny kraju!

W końcu może bym i wygrał, zmieniając oczywiście adwokata. Ale musieliśmy pójść w polubowne. Rafał z Agatą niestety się rozstali. Trzeba było mieszkanie sprzedać, żeby kupić dwa mniejsze. Więc zamiast do upadłego tłumaczyć polskiej Temidzie, że prawo jest właśnie

po to, żeby chronić ludzi normalnych, naiwnych, a nawet głupich, przed oszustami, musieliśmy się poddać. Zapłaciliśmy pokaźny bardzo już kredyt P.–ego, zarejestrowałem Rafała w spółdzielni i szybko znaleźliśmy kupców.

Nie wiem, jak Agacie i Rafałowi, ale mnie było bardzo smutno. Pamiętam, jak na jeziorach, przed laty przedstawiał mi Agatkę. Była taka ładna i miła. Pamiętam ich ślub kościelny, wesele na 150 osób, niedawne chrzciny „mercedesów”, tak ktoś w Kazimierzu nazwał moje wnuki. Ech, Boziu, Boziu! No, nie udało się. Ale mnie też w pierwszym związku z matką Rafała.

Nie pożyczajcie pieniędzy przyjaciołom

Straciecie ich. Przy większych sumach będą was nienawidzić. Im większa, tym bardziej. No bo zwrot coraz bardziej niemożliwy. Więc coraz bardziej was unikają, coraz bardziej nie cierpią. Tak, tak. Przysięgam. W takim stresie, bądź niewygodzie, bo coś ich tam czasem uwiera, zaczyna się nie lubić. Nienawidzić samego siebie można rzadko i bardzo krótko. No, przecież jak będę miał/miała, to oddam. Oni chyba w to wierzą. A tu latka leca, miesiączki płyną. Ryzykujemy więc jednak raz na rok upomnieć się, zadzwonić do kogoś, kto przecież kiedyś dzwonił do nas codziennie. Czasami nawet jakby zawstydzeni, delikatnie, czasami lekko zniecierpliwieni. Przecież te pieniądze nam też są potrzebne i naszym bliskim. Nigdy, Boże chroń, zbyt hardo, no bo nasi przyjaciele są to, ba, ubożsi od nas bliźni. Jak będą mieli kiedyś, to coś tam oddadzą. Otóż nie! Ci przyjaciele, ci bliźni, ci bracia i siostry w Chrystusie Panu, wcale nie myślą, żeby coś nam oddać. Bo czasami by zadzwonili, przeprosili, poprosili o prolongatę. Oni, proszę Drogiego Czytelnika, podświadomie czy świadomie, życzą nam, aby nas nagły szlag trafił. No bo wtedy ich już nie będzie dręczyć nikt i nic, ani my, ani – czasami – sumienie.

A oto kilka przypowieści, kilka z wielu, w jakich wychodziłem, jak w opowieści o P., na idiotę, choć za każdym razem wydawało mi się, że teraz i z tą osobą to już na pewno niemożliwe.

Przypowieść pierwsza. Panna od koni

Oj, przyjaźniliśmy się, przyjaźnili bardzo. Serdecznie i długo. Żadnej nielojalności, ogromna uczciwość, wspólna pasja – konie. Postanowiła ze mną i z jakimś biznesmenem zrobić interes. On kupuje młode konie, ona je podjeżdża i wiezie do Skandynawii, na sprzedaż. Wiezie, więc mój wkład to kupno samochodu terenowego, toyoty, żeby ciągnął przyczepę z końmi. Kupiłem. Biznesmen kupił konie. Panienska wsiadła i pojechała. Miała wrócić szybko po następny transport. Musiała chyba zauważyć w Szwecji, że rynek się coś załamał i że się nie opłaca. Więc nie wraca. Minał miesiąc, minął drugi. Żadnej wieści. Nie ma amazonki, ani mojego samochodu. Okazało się, że chciała przedłużyć swój pobyt jako ujeżdżaczka w szwedzkich stadninach. Mój piękny samochód jej się przydawał. Wróciła w końcu bez niego. Zdachowała go, kompletnie skasowała. Powiedziałem, Bóg cię ostrzegł, że nie mogłaś bez mojej zgody zostawać. Kazałbym ci wrócić i wypadku, w którym mało nie zginęłaś, by nie było. Oddała mi 2/3 wartości toyoty, bo tak ją ubezpieczyła. To już bardzo wiele lat. Kiedyś dzwoniła do nas co dzień, potem jeżeli raz na rok nie dzwoniłem ja, kontaktu nie było. Coś mi tam przez lata, ratami małymi oddawała, ale oczywiście nie wszystko. Zgodziliśmy się wreszcie, że jest mi winna jeszcze symboliczną równowartość 1 tysiąca dolarów. Podpisała to. Uff. Lepiej odzyskać coś niż nic. I może znowu być przyjaciółmi. I co? Minały kolejne 2–3 lata, spotkaliśmy się dwa razy, przypadkowo, na zawodach. Nie nawiązywała do tematu. A ja nie rozumiem tych ludzi.

Przypowieść druga. Pewna aktorka

Kiedyś bardzo mi bliska. Coś tam kupowała, chyba mieszkanie. Potrzebowała pewnej sumy w złotówkach, ale natychmiast. Ponieważ była wtedy jakaś stała inflacja, obiecała mi oddać – powiedziałem, kiedy będziesz mogła – równowartość sumy w dolarach. To przecież jasne. Poszedłem do banku, powstałem godzinę w kolejce. Już z tego powodu w tym banku pieniędzy nie trzymam. Żeby aktorka się nie fatygowała, stanąłem również w kolejce w kantorze. Wymieniłem na złotówki. To był mój błąd. Następnego dnia wręczyłem. Aktorka „kiedy będziesz mogła” pojęła tak obszernie, że z nią też straciłem kontakt na dwa lata. Szczerze żałowałem. Cierpliwie czekałem, choćby na telefon. Bardzo ją przecież lubiłem i wydawało mi się, że ona mnie też. Przy tym wiem, że nieźle zarabiała. Można mnie było

prosić o przedłużenie o następny rok, na przykład. Choć każde długi płaci się podobno przed kolejnym Sylwestrem. Nie obciążałem jej, oczywiście, żadnymi odsetkami, które w złotówkach, po dwóch latach, zrobiłyby sumę prawie podwójną. Tak wtedy było. I tej sumy w złotówkach, bez żadnych oczywiście odsetek, w pewnym momencie od niej zażądałem. Była oburzona.

– Miła moja. Gdybym wziął sumę w złotówkach taką, jaką kiedyś ci wręczyłem, to by było tak, jakbym ci przez nieuwagę wsunął do torebki poważny banknot dolarowy. Wiem, że nic nie rozumiesz z tego, co piszę, bo gdybyś rozumiała, przeprosiłabyś mnie jeszcze dzisiaj za sposób, w jaki oddałaś mi dług.

A komentarz jej był taki, jakby mi rzuciła te banknoty w twarz. I słusznie. Moja wina. Znów byłem idiotą. Powinienem jej dać w dolarach i wziąć pokwitowanie. Może byśmy się dalej przyjaźnili. A przynajmniej nie straciłbym paru kwadransów w kantorze.

Przypowieść trzecia. Najbardziej niebywała

Chcieć nieruchomość puścić przyjaciółom w tak zwane dożywocie i stracić ją na zawsze, przyjaciół jednak trochę też.

Przypowieść ta jest tak skomplikowana i niebywała, że muszę ją skrócić i uprościć. Sens będzie ten sam. Morał także. Moja głupota zaś spowodowała, że znający w szczegółach tę historię Wojtek Pszoniak w chwilach uniesień tytułuje mnie arystokratycznie – Daniel *von kutas* Olbrychski. Gdzieś tam w lasach na Mazowszu pewna gmina wydzierżawiła mi była w latach 70. obszerną działkę. A właściwie dwie połączone działki, wieczyście, tzn. na 99 lat. I bardzo dobrze, myślałem, więcej nie trzeba. Postawiłem tam przeniesiony z rozbiórki fiński domek. Moi przyjaciele, bardzo bliscy wtedy, zwierzili mi się, że marzyliby mieszkać w lesie. Na miłej wieczorynce u nich w Warszawie, jak pijemy – bywa że bardziej bliźnich kochamy, powiedziałem ze łzami wzruszenia, zapraszam, stawiajcie domek obok mnie, miejsca dużo! Wkrótce jako dzierżawca załatwiłem zgodę na postawienie na mojej dzierżawie drugiego fińskiego domku. Było bardzo miło. Radości, uciechy i wdzięczności nie było końca. Atoli, jak przepięknie mawia Waldorff, nadarzyła się okazja wykupienia mojej działki od właściciela, nawet nie od gminy ale od przedwojennej spółdzielni, która gdzieś się tam w aktach odnalazła. Niezbyt drogo, nawet jak na owe czasy. Moi przyjaciele też o tym wiedzą. Coś im markotno. Mówię: Nie bójcie się, mam prawo pierwokupu. A jak ja kupuję, to nikt was stąd nie wyrzuci. Możecie mieszkać, dokąd chcecie, choćby nawet do śmierci. O kurwa, widzę, że dopiero teraz

posmutnieli. Okazuje się, że też by chcieli być właścicielami notarialnymi tej części działki, gdzie stoi ich dom. Że mają córkę i chcą żeby po nich dziedziczyła. Mówię im – mam syna i córkę i po waszym i moim najdłuższym na pewno życiu, moje dzieci waszej córki też nie wyrzucą. Nie widzę już żadnej przyjaźni i wdzięczności. Jest tylko zawzięta chęć posiadania ziemi, chęć własności. Były łzy. A jakże. I taki nacisk moralno–niemoralny.

No cóż, kupić wobec prawa mogłem tylko ja, faktyczny dzierżawca. Zwrócili mi wtedy za połowę swojej działki. Więcej nie mieli. Drugą połowę kupiłem dla nich ja. Dług miał być zwracany w ratach przez 20 lat, mniej więcej równowartość dwóch butelek whisky rocznie. Tymczasem wartość zapłaconej dla mych sąsiadów ziemi wzrosła do 800 takich butelek. Ale ja i oni wiedzieliśmy wtedy, że robię z tej ziemi prezent, i to zmieniło nasze stosunki. Nigdy już nie zachowywali się wobec mnie jak kiedyś. Może takiego prezentu ludzie udźwignąć nie mogą, a może mają wyrzuty sumienia, że był to zabieg wymuszony. Że dla świętego spokoju...

Potem byłem długo we Francji. Podatki wysyłali z moich pieniędzy teściowie. Potem znowu wróciłem. Pomieszkujemy od paru lat w pięknym, wybudowanym na miejscu starej „Finki” domu. Sąsiedztwo moich przyjaciół wcale mi nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. *Zawsze* można liczyć na jakąś pomoc. A takie sąsiedztwo to poza tym lepiej niż alarm na złodzieja. Ale gdy płaciłem kolejny rok podatek za teren, zdałem sobie sprawę, że płacę i za mój teren, i za odgrodzony teren sąsiadów. W gminie potwierdzono mi, że płacą oni tylko za swój dom. W administracji gminy nie wiedzieli o naszym akcie notarialnym. Sąsiedzi nie zgłosili tego. 20 lat nie zauważyli, że ja płacę do dziś za podarowaną im ziemię?! To już duża suma z odsetkami. Nie umiem im tego powiedzieć. Może przeczytają tę książkę.

Mógłbym kontynuować z podobnymi przypowieściami. Takich, że ktoś pożyczał 100–200 dolarów i zniknął z mego życia, było masę. Albo chociażby ostatnia afera z koniakiem Henessy. Jak mnie wrobił mój bliski znajomy w nie chcianą przeze mnie reklamę – to jeden z ostatnich przykładów. Liczę na sprawiedliwość prawną i boską, że tym razem to nie ja będę stratny. Ale fajnego, wydawałoby się, kumpla znowu straciłem.

To dlatego może z latami się gorzknieje. Chyba nie wolno się temu poddawać. Na pewno nie wolno.

Daniel von kutas Olbrychski

Pierwsza pięćdziesiątka

Opowiadał mi kiedyś Adam Hanuszkiewicz, że niegdyś opowiadał mu był Stanisław Dygat, któremu ktoś tam onegdaj powiedział: „Stasiu, jak skończysz 50 lat, to zobaczysz”. „No i skończyłem, mówi Dygat do Hanuszkiewicza, i nic nie widzę”. Wigilia moich urodzin to urodziny Rafała, który w 95. kończy 24. Postanowiliśmy je spędzić, bodajże pierwszy raz, razem. Skład gości bardzo skromny, męski wyłącznie. Kilku jego kolegów, kilku moich. Malajkat, Machalica. Także męska część ekipy telewizji rosyjskiej, która przyjechała kręcić o mnie godzinny film dokumentalny. Żaden z polskich kanałów TV na taki pomysł nie wpadł. Miejsce akcji – mój świeżo postawiony, jeszcze nie umeblowany domek podwarszawski. Więc stoły to pudełka kartonowe, zastawa plastikowa, jednorazowa, sałatki, przekąski. Na koniec torty rybne z mintaja i łososia, ciepła chińszczyzna, szampany i wódka. Wszystko to oczywiście przygotowuje i przywozi nissanem patrolem Kryśka Demska, mój impresario, a raczej Krystian Demski, bo namalowała sobie wąsy, jako że to męski wieczór. Do północy pijemy zdrowie synka, po północy tatusia, czyli moje. Bardzo nam z Rafałem dobrze, w ogóle mi tu dobrze. Jakieś kilkadziesiąt metrów obok świecą się okienka „Finki” sąsiadów, o których przed chwilą wspomniałem. I też z ich obecnością obok jest dobrze.

Zamarzyć o Jandzie

Często pyta się aktorów, no bo o co można nas pytać, co by chcieli zagrać, u jakiego reżysera, z jaką partnerką chcieliby zagrać itp. bzdury. I z całą powagą, poważne pisma. To już wolę kolorowe pisemka kobiece. Tu się przynajmniej nie udaje. I u fryzjera mogę z żywym zainteresowaniem przeczytać w „Pani Domu”, że mój młodszy kolega X znalazł damski ideał w niejkiej Z. Pisemko u fryzjera jest sprzed dwóch tygodni. Cykl druku jeszcze bardziej niebezpiecznie to wyznanie dezaktualizuje. Czytelnicy „Pani Domu” nie wiedzą, a ja wiem, że kolega X jakieś dwa tygodnie temu wyprowadził się od Z. i jest właśnie z panną Bożenką w Zakopanem. Ale żeby za tym nadażyć potrzebna jest „Wyborcza”, „Rzeczpospolita” i nawet nie wstydźmy się przeczytać „Dziennik Polski”. Czyli po prostu ze względu na błyskawiczny cykl druku – właśnie dzienniki. A tam znowu bez sensu zadają nam te nikogo nie interesujące pytania. Jeśli znajdzie się miejsce na wywiad w dziale kultury oczywiście. Ale to jest moja książka i ja sam sobie tu te pytania zadać mogę. Na razie tylko to trzecie, z jaką partnerką jeszcze chciałbym... Potrzebne mi jest to dramaturgicznie do dalszej części wspomnień.

Zadawano mi to pytanie wiele razy w różnych językach. Zagrałem już z tyloma wspaniałymi dziewczuchami w kraju i za granicą, bliższą i dalszą od Japonii po Brazylię, od Afryki – Andy McDowell, po Norwegię – Liv Ullmann. Czego jeszcze chcieć?! W tyłu różnych językach odpowiadałem, czasami przez tłumaczy, że są dwie artystki mojego pokolenia, choć trochę młodsze, o których mi się marzy: Meryl Streep i Kryśka Janda. Obie debiutowały u Wajdy. Tak, tak. Meryl w teatrze w New Haven, byłem na premierze, więc się znamy. Tym niemniej to, że z nią nie zagrałem, i pewnie już nie zagram, choć kto wie, kto wie, jeszcze rozumiem. Ale żeby przez kilkanaście lat, od narodzin Krysi w kinie nikt nam w filmie polskim niczego razem nie zaproponował! Nie wiem, czy to denerwowało również Jandę, ona myśli innymi kategoriami. Jest poza tym strasznie skupiona na sobie i na tym, co aktualnie robi. A robi tak dużo, przeważnie kilka rzeczy naraz, że nie ma tam miejsca na zastanawianie się, z kim by tu w ogóle chciało się zagrać. Tak, że gdy przyszła do mnie ze scenariuszem *Pestki*, oznaczało to, że nie realizowała może swoich marzeń, ale konkretnie widziała mnie jako swojego partnera w tym filmie. Od razu powiedziałem tak. Chociaż pamiętałem sprzed lat, że przez książkę Anki Kowalskiej nigdy do końca nie przebrnąłem. Może za kobieca dla mnie. Ale Kryśka w okresie wstępnym, przed kręceniem, przeprowadziła mnie za rękę, scena po scenie. Tak, że gdy stanąłem przed kamerą, to już chyba dużo rozumiałem. A to u mnie w filmie nie zawsze ma miejsce. Janda pracowała wspaniale. W roli reżysera bałem się, że będzie za gwałtowna, histeryczna, wibrująca zmianami nastrojów. W aktorstwie to są jej asy w talii. Ale z drugiej strony kamery przypatrywałem jej się prywatnie bardzo uważnie – pełen spokój, jakaś czułość, nie tylko dla aktorów, ale dla całej ekipy i piekielna świadomość tego, czego chce. Technika przechodzenia z Jandy reżysera w aktorkę, bohaterkę filmu, imponująca. Bardzo piękny dla mnie czas. Aha, Kryśka prosiła, żebym wyglądał pięknie, wysypiał się, nie nadużywał alkoholu. Przez cały okres zdjęć nie tknąłem nawet piwa.

Pestka była przyjęta na festiwalu w Gdyni dobrze. Krysia dostała nawet nagrodę za debiut. Nie był to film na Grand Prix, chyba był za skromny, za delikatny, za mało efektowny. Może. W zbyt wielu filmach, również złych, zagrałem, żeby nie umieć być obiektywnym. Film Jandy był według mnie głębszy, dojrzałszy i lepiej zrobiony od dwóch wyżej ocenionych na tym festiwalu. Niestety, nie było to takie trudne.

Tej wiosny 95 jeszcze raz stanąłem przed kamerą w *Panu Twardowskim* Krzysztofa Gradowskiego. Było to bardzo trudne do skoordynowania z produkcją Krysi i nie zdecydowałbym się na to, ale młodego Twardowskiego zaproponowano Rafałowi.

Pułapka na mnie została dobrze zastawiona. Wczesną wiosną z Tomkiem Biernawskim, przyjacielem od wieków i wspaniałym jeźdźcom, wsadziliśmy Rafała w siodło. Ja też wskoczyłem. Parę lat nie jeździłem. We Francji prawie wcale. I znowu zaskoczyłem. No może nie każdy dzień, ale cały tydzień bez konia to tydzień stracony. Najprzyjemniejsze były przygotowania. Praca, niestety, trochę mniej. Rezultat nieszczęśliwy. Tu już nie byłem tak święty jak u Krysi. Grałem przeważnie starca, nawet nie najgorzej. Rafał też nieźle sobie radził. Zostaliśmy, łagodnie mówiąc, wprowadzeni w błąd, które sceny kto gra. Ze szkoda dla Rafała i filmu zresztą. No, nieważne. Zabawne, że reżyser niewiele zrozumiał z niepełnego, powiedzmy, sukcesu swego filmu. Spotkaliśmy się w 96. przy jakiejś okazji. I on do mnie:

- Czy pamiętasz scenę, w której byłeś trzeźwy? – W jego dziele oczywiście.
- Odwróciłbym problem – powiedziałem – w filmie, a widzę to tylko ja, mój niepewny wzrok – raz. Natomiast niepewną rękę reżysera całe 90 minut – wszyscy.

Pipeta, czyli Pipi

Lato, Mazury, okolice Kazimierza z Pipi, fantastyczną anglo-arabką, którą wdzierżawiam na cały miesiąc od Włodka ze stajni „Wiarus” na Żoliborzu. Nadzwyczajna kobyła. Chodzi na myśl. Miałem w domu obok dwóch kułbak kowbojskich, w tym jedna w prezencie od ministra kinematografii, coś bardzo dziwnego. Zuzia kupiła mi przed laty na krakowskim wolumenie coś w rodzaju leciutkiego siodła, które nie przypominało niczego. Samo siedlisko, w bardzo dobrym zresztą stanie, bez pułsisk, bez popręgu, no, całkiem gołe. Leżało to u mnie kilkanaście lat jako dekoracja. Ale znowu spotkałem po latach Tomka, a Tomek wszystko na ten temat wie. Od razu, pykając fajeczkę, objaśnia:

– Wzór taki a taki, przełom XIX–XX wieku, na wyposażeniu kawalerii amerykańskiej, dostosowane do konia i jeźdźca na 24 godziny bez zsiadania. W każdym terenie. Najlepsze chyba, co w historii hippiki wymyślono. Amerykanie przysłali to w prezencie tworzącym się polskim legionom, właśnie przed I wojną światową. Danek – ciągnie Biernawski – daję to do mojego rymarza, za pięć dni masz pułsiska, strzemiona, popręg. Pod siedlisko kładziesz tylko złożony we czworo koc, kolana czują prawie bezpośrednio mięśnie konia. Nie ma nic lepszego.

Rzeczywiście miał rację. Jeździłem już chyba we wszystkich rodzajach siodeł. Tego nie zamieniłbym za żadne. Pipi też. Nie można pod tym konia odparzyć.

*Pędź latawce wiatronogi,
góry z drogi, lasy z drogi!*

Fruniemy przez lasy mazurskie. Czasami stadko saren obok, czasami dziki. Okolice Kazimierza dopiero teraz naprawdę poznaję, bo pieszo to nie to, i za wolno. A na koniec jazdy, wąwozem Plebanką, na rynek, na piwo do Pawła. Pipi uwiązana na łączce, między dużym a małym rynkiem. Pilnuje sympatyczny menel, za piwo właśnie. Po co pracować, życie jest piękne. Tylko po tej pięćdziesiątce, zaczyna się myśleć troszeczkę, ale już, że to strasznie szybko gna, i że to bliżej niż dalej. Może to właśnie miał na myśli ten od Dygata – zobaczysz, zobaczysz.

List nie wysłany

Gdzieś tak wiosną właśnie 95 roku przeczytałem książkę pani Marii Bojarskiej *Król Lear nie żyje*. I napisałem, nie wysłany również do niej, list.

Droga Pani Mario,

Już prawie kończę Pani piękną książkę. Pani książkę o Tadziku. O Pani, o czasie, o Polsce, o nas. Prawie kończę, już świta. Czytałem całą noc i to chyba jest najlepszym dla tej książki komplementem. Odkryła się Pani bardzo szczerze, głęboko i pięknie. I najpiękniejsze są te fragmenty o Was, o sztuce, bo możemy się w Was wpatrzeć i zasłuchać. Gdy się zaś pisze o faktach i innych ludziach, trzeba już przyjąć zasadę Raszomona ze słynnego filmu Kurosawy. To znaczy, że wersji i ocen różnych faktów i ludzi może być wiele. Pani książka jest również bólem. I to, uważam, jest w niej najpiękniejsze. A propos bólu, właśnie, nie podoba mi się trochę u Pani, że odsłaniając się tak szczerze, chce Pani często sprawić ból innym. Publicznie. Zajmę się tu tylko sobą, bo tylko do tego mam prawo. Tadeusza poznałem bodajże w 65. Byłem dumny z poznania Mistrza i przyjaźni, jaką natychmiast mi ofiarował. Bardzo szybko w jakimś barze na Starówce zaproponował mi przejście na ty. Brzmiało to tak, młody wówczas aktor takich rzeczy nie zapomina: „Ty pieprzony Oliwierku, teraz możesz mi mówić nawet chuju” – z tym swoim niepowtarzalnym śmiechem.

Jak się Pani domyśla, nigdy nawet w żartach z tego nie skorzystałem. Na stronie 236 Pani książki napisała Pani o mnie tak: „Partnerzy bywają różni. Bardzo różni [...] Z całkowitym brakiem poczucia humoru wspominał, jak ambitny Daniel Olbrychski, nie mogąc znieść popularności pocziwego pana Michała, przedstawił go jakimś przybyszom na plan „Potopu” jako bohatera serialu... „Czterej pancerni i pies”. Taki niewinny, koleżeński żarcik: «On grał psa!»»,.

No, a teraz moja wersja w „Raszomonie”. Doskonale ją pamiętam, bo za bardzo wycierpiałem wtedy, a teraz mi to Pani przypomina. Siedzimy sobie we czwórce: Tadeusz, Pieczka, Gołas i ja. Restauracja w Kijowie. Popijamy. Jest bardzo miło. Aha, zazdrość o popularność to na pewno Pani sformułowanie, nie Tadeusza. Niestety, nie dowiemy się od Niego. Od „Popiołów” dostawałem w Teatrze Narodowym około setki listów miesięcznie z samego Związunia, więc może dlatego z 999 wad, które mam, tej akurat brakowało. Kelnerka podchodzi, widzi Pieczkę, Golasa (akurat pokazywali tam ich serial) i mnie, prosi o autografy. Tadzika pyta; „Wy toż aktor?”. Tadzik stężał. Może po latach już by tak nie było, ale wtedy tak. Kelnerka pewnie akurat przygód Michała nie oglądała. Pić nam się już nie chce. Wychodzimy. Wchodzimy po leśnice, czyli po schodach. Sprzątaczkę miło nas zaczepiają, „O, cztery pancerni”. Franek i Wiesiek przechodzą, więc pyta mnie–jako Janka, oczywiście: „Gdzie wasza sobaczka?” Ja, gładząc Tadeusza, bo „sobaczka” to bardzo pieszczotliwe wyrażenie, podczas gdy „pies” może w obu językach brzmieć pejoratywnie, mówię: „On wielkij aktor, może grać wszystko, nawet sobaczku”.

Uwaga, byłem najmłodszy, a więc najtrzeźwiejszy. I tu ten dźwięk jego słynnego głosu, od którego szklanki pękają: „Powinieneś się wstydzić, że cię matka urodziła”. Wiesiek zamarł, a mnie mało serce nie pękło. Myśleliśmy, że to żart. Ale nie. Książka Pani to potwierdza. Zresztą przez długi okres kręcenia traktował mnie bardzo chłodno.

Takie stosunki prywatne mogły zaszkodzić filmowi. Mimo jego i, przepraszam, również mojej techniki. Należę też do aktorów oddających się do końca, więc nie było mi łatwo. Darował mi, mam nadzieję, w jego pojęciu śmiertelny grzech, po pierwszej milej bibce w apartamencie na Białorusi. Prosił, żebym towarzystwu po rosyjsku recytował Jesienina i śpiewał Wysockiego. Robilem to, oczywiście, za głośno. Wpadł portier z awanturą. Tadzik tak ryknął w obronie, jak wtedy krzyczał, swego przyjaciela i największego aktora, takie dźwięki wydobył, że mato żyrandol nie spadł. Znając Rosję, myślałem, że nas wystrzelają. Ale towarzyszący nam białoruski asystent podskoczył do portiera i coś mu w ucho naszeptał. Ten stanął na baczność przed Tadeuszem, prawie zasalutował i mamrocząc: „No tylko niemnożko cisze”, wyszedł z komnaty. Była to jedna z nielicznych protekcji wysokiej komunistycznej władzy, z jakiej skorzystałem. Za to bardzo zabawna. A nie, jeszcze parę lat wcześniej sam Tadzik wyciągnął mi prawo jazdy, zabrane słusznie za jazdę w stanie wskazującym na spożycie. Dlaczego tak szczegółowo piszę? Bo chcę, żeby się Pani uśmiechnęła. Dla mnie są to bardzo miłe, zabawne, a teraz wzruszające wspomnienia. Rozgadałem się, ale jadę, bo dalej będzie trochę poważniej, ale nie dramatycznie.

To już było po 76. roku. Poszedłem do szkoły zdaje się na przedstawienie dyplomowe. W antrakcie, Tadeusz miły, lecz troszkę zatroskany wziął mnie do gabinetu. Rozumiałem powód troski. Podpisałem właśnie z około 120 intelektualistami list do Sejmu protestujący po prostu przeciwko procesom i biciu robotników. Tadeusz poprosił, żebym nie przychodził więcej na teren szkoły. Przysięgam, nie kłamię. „Tadziu, co ty mówisz na Boga!”. „Danielątko, wierz mi, naprawdę nie znasz się na polityce. Twoja obecność demoralizuje mi tu młodzież.”. Zrobiło mi się smutno. Tak, tak, z powodu, że się nie znam na polityce.

Opowiadałem to czasami jakimś znajomym. Im też się robiło smutno, ale bez przesady, bo w naszym środowisku wszyscyśmy Pani męża podziwiali i naprawdę kochali. I teraz, gdy chodzę na grób moich rodziców, zawsze przechodzę obok dziwnie pięknego miejsca spoczynku Tadeusza i nigdy nie zapominam o kwiatach. Ciągle myślę, że tyle pięknych rzeczy dane było mi przeżyć, zawodowo i nie tylko, obok jednego z największych aktorów świata.

Tego listu nigdy bym nie opublikował, gdyby w swojej książce nie skrzywdziła Pani, poza mną, Holoubka, Zanussiego i Stuhra.

Pozdrawiam. Daniel Olbrychski

Cóż tam panie w polityce?

Z przykrością coś trzeba odpowiedzieć. Rok 95 w pełni i jestem świeżutkim 50-latkim. Ale jak patrzę na taki kącik ze zdjęciami we „Wprost”, gdzie podany jest wiek wymądrzających się akurat polityków, widzę, że coraz więcej cytowanych tam orłów jest młodszych ode mnie. Nie znaczy, że ci starsi mówią coś mądrzejszego. Jeżeli – to wyjątek potwierdza regułę. Ale nie o tym chciałem. Stwierdzam tylko z lekkim zdziwieniem, że gdyby mnie ktoś mianował teraz generałem, to wcale bym nie był z tych najmłodszych. Hm, ciekawe. Daniel Olbrychski lat 50. Trzeba się będzie przyzwyczaić, nie ma wyjścia. Wiem też, i to mnie lekko wkurza, że skok w siódmy krzyżyk, będzie subiektywnie jeszcze szybszy niż ten z początków piątego w szósty. Tak to już jest. Jedyna pociecha, że u wszystkich. Żeby było trochę weselej, z radością stwierdzam, że bardzo mało było w tych zapiskach o polityce i o naszych dzielnych, poświęcających się dla nas politykach, z panem prezydentem, oczywiście, na czele. Czy było to świadome? I tak, i nie. *Homo sapiens*, którym mimo wykonywanej profesji jednak jestem, zanim napisze dwa zdania, troszkę się zastanowi. Otóż, wydaje mi się, że nasze, przepraszam, za mało adekwatne użycie słowa, elity polityczne, niezbyt zasługują na takie halo wokół nich w mass mediach. Demoralizuje ich to jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe. Oczywiście, na całym świecie ważne jest i sprawiedliwe wiedzieć, co powiedział prezydent i jaką decyzję podjął premier. Ale to koniec. U nas w wyścigu do stołków, a jeszcze bardziej do kamer telewizyjnych, bierze udział prawie setka ścigantów, z których połowa to chroniczni, a połowa rotacyjni. Z kacykami lokalnymi w prasie regionalnej uzbierałaby się spora „naboja” na masowy maraton. Zapewniam szanownego Czytelnika i z prawa, i z lewa, a zwłaszcza suchej nitki na tej książeczce nie zostawiającego przyszłego jej krytyka, że 90% tych gwiazd i gwiazdeczek nie zakwalifikowałoby się do ćwierćfinałów w wyborach do merostw, gmin, miasteczek, dzielnic i miast takiej na przykład Francji. Za dużo pychy, za mało kompetencji. I kompletny brak programu. Chyba że na złość. Jak on tak – z partii X, to ja akurat w partii Z – odwrotnie. Można spuścić wodę, ale, cholera, to już parę lat nie splywa. Wydawało się, że z komuną zemrze nam kabaret polityczny. Otóż nie. Odrodził się jeszcze piękniejszy i bogatszy. To już nie jedna tylko płaszczyzna – my i oni. Kabaretowy artysta, ksiądz prałat, może walić jak w bęben w postkomunę, a nawet w obecności prezydenta, korzystając ze złej akustyki, oczywiście, ośmieszać i pomniejszać własny naród wobec świata. Cywilizowany świat, w przeciwieństwie do Wałęsy, usłyszał antysemitkę rodem z bolszewii *anno Domini 68*, wystąpienie księdza Jankowskiego u świętej Brygidy. Z drugiej strony, inna kukielka, Jerzy Urban i *jewo komanda*, przywołują księdzu prałatowi, i nie tylko, i biorą kolejną kasę. Przywołują zresztą głównie tym, dzięki którym tę kasę biorą. Tak że jest na co patrzeć. A żeby wszystko to jakoś ogarnąć, podsumować i dla własnego zdrowia obśmiać, radzę regularnie kupować „Wprost”. Nie tam, żebym zaraz polecał profil, tak zwany. Tam po prostu co tydzień pisze rzecznik prasowy Obywatela Szaraka. Jeśli ten Szarak choć trochę myśli, Stanisław Tym będzie wyrazicielem jego dążeń i aspiracji, lub po prostu pomoże mu obśmiać ewidentne zło i głupotę. Tak z prawa, jak z lewa. Głupotę w kolorach czerwonym, różowym, czarnym i wręcz

purpurowym. Mając takiego rzecznika, nie muszę piórem, mową i uczynkiem zajmować się aktywnie naszymi liderami i z Sejmu, i z ambony. Mogę tylko cytować Stasia, ale po co? Dla jego felietonów kupujcie „Wprost”, a może naczelny mnie coś odpali, za nie kryptoreklamę.

O Jezu! „Radio Maryja” atakuje!

Skoro już *jestem w temacie*, który świadomie i odruchowo zaniedbałem w tych wspomnieniach, jeszcze jedna historyjka. Jadę sobie z Paryża do Warszawy samochodem. To musiało być dobrych parę lat temu, bo jadę jeszcze zielonym mercedesem benz, którego mi dość dawno ukradli.

Ukradli mi go zresztą słusznie, bo po pierwsze mercedes, a ulice miast rosyjskich mają prawo zacząć kulturalnie, europejsko wyglądać, więc od czegoś trzeba zacząć.

Po drugie, na wyposażeniu miał on chyba wszystko, co wtedy Niemiec mógł wymyślić. Ot, taki drobiazg na przykład co to nazywa się *fürmatic*, napęd na cztery koła. Ale tylko wtedy, gdy mi coś zagraża. Poślizg nieoczekiwany głównie. Wtedy ten samochód, zanim zdążę pomyśleć, sam sobie włącza napęd na przednią oś i wyciąga mnie dosłownie z opresji. Boję się, że jego nowy właściciel nawet nie wie, co posiada. Ale kiedyś cywilizacja musi i tam trafić, czego przecież im *życzę*, a złożyłem, choć nie dobrowolnie, na ten cel poważną ofiarę. Otóż ten mercedes miał również radio, które w trakcie przemieszczania się na wschód wybierało sobie najlepiej słyszalne lokalne stacje. *Zawsze* bardzo atrakcyjne. Jadę sobie, jadę. Z francuskiego, radio przechodzi na niemiecki. Nawet gdybym nie czytał napisów, wiem, gdzie jestem. Granice, jak się człowiek zamyśli, może przegapić. Aż tu raptem w połowie Niemiec czysty polski język. Niczego nie dotykałem, niczego nie przedstawiałem w odbiorniku. Myślę sobie – Wolna Europa. Monachium nie tak daleko. Wsłuchuję się w treść, trochę bełkotliwa. Jakaś ostro religijna, ale tak jakby z religii ktoś szydził. W pierwszej chwili myślę sobie –jakaś piracka, komunistyczna stacja kpi z katolicyzmu i próbuje obrazić moje tzw. uczucia. Ale to się kupy nie trzyma. Poza tym, kto i w jakim celu wykląda takie ogromne środki, żeby próbować odrobinę nawet myślącym ludziom ośmieszyć ich religię.

Pamiętam, jaką wrzawę podniósł kler w związku z przedstawieniem *Big Zbig*, gdzie w ramach parodii różnych festiwali piosenek, leciutko sparodiowano festiwal piosenki religijnej. Przecież to, co słyszę w nieskazitelnym odbiorze przez kilkaset kilometrów w sensie parodii jest taką siekierą, że aż się rumienię. Oczywiście znam już nadawcę. Co jakiś czas przesłodzony do wyrzygania głos przedstawia się: „Radio Maryja”. Dzisiaj już wiem znacznie więcej. Radio to znalazło sobie w moim kraju wcale liczną mniejszość narodową. Mówię o czerwono-białych szarych komórkach. U większości Polaków liczba tych szarych jest zbliżona do średniej europejskiej. To, że ta mniejszość, z wielbicielem „Radia Maryja”, ex postem Jurkiem np. na czele, próbuje obrażać uczucia nawet średnio inteligentnych katolików, to jeszcze nic takiego. Można tego radia nie słuchać. To, że sama nazwa wadzi się z drugim przykazaniem Dekalogu, to problem szefa tego radia i jego stosunków z Autorem Dekalogu. Ale przechodzenie z dewocji w jawne życie społeczne i polityczne, posługując się językiem nienawiści, pomówień, jawnych kłamstw, przestaje być problemem zbłąkanego i dalekiego od ewangelii kapłana. Sądzę, że zaczyna już być łamane prawo. Jako obywatel chcący żyć w państwie praworządnym niniejszym protestuję. I to by było na tyle o sprawach, mimo wszystko dla mnie drugorzędnych.

Aktor pod pałeczką dyrygenta

Jeszcze trochę a zapomniałbym opowiedzieć Państwu o wielkiej przygodzie artystycznej i ludzkiej, w swoim rodzaju dla aktora wyjątkowej, którą przeżyłem w tym dziwnym słodko-gorzkim roku mojego półwiecza. Parę lat temu dyrygent Szymon Kawalla wysłał do mnie list i partyturę utworu Schönberga *Ocalony z Warszawy*. Schönberg skomponował kilka dzieł muzycznych, do których sam napisał tekst. Nie, tego nie można nazwać melorecytacją, czyli aktorskim mówieniem z muzyką w tle. Już raczej w sensie dyscypliny muzycznej jest to bardziej zbliżone do arii, choć to też nie to. Sam twórca, podobno powiedział kiedyś, że ideałem wykonawcy byłby aktor znający perfektnie nuty. Nie wymaga tego chociażby *Pasja* Pendereckiego, w której miałem zaszczyt dwukrotnie brać udział jako narrator pod batutą samego Mistrza. Zaraz, zaraz, wróć. Kawalla najpierw przysłał mi liścik z zaproszeniem do występu w Krakowie i nagraniu tego utworu. Przekonywał mnie, że skoro umiem tyle rzeczy tak trudnych, jak jazda konna, boks, to przeczytanie po nutach w języku angielskim z orkiestrą utworu Schönberga będzie dla mnie pestką. Wyzwanie, z pełną próżnością, przyjąłem. Parę dni potem miałem w ręku partyturę. Nogi mi się ugięły. Nie to, że zupełnie nie znam nut. Niestety, trochę znam. Jakbym nie znał w ogóle, to byłbym w beztrudnej sytuacji Liv Ullmann, która w Warszawie, zresztą w rocznicę wybuchu wojny, przeczytała ze wzruszeniem dramatyczny tekst Schönberga, a Leopold Bernstein prowadził orkiestrę swoim śladem. Zadaniem Livuni było zdążyć skończyć tuż przed wejściem ogromnego chóru. I to jej się z pomocą boską i wielkiego dyrygenta, udało. Nie miało to oczywiście nic wspólnego z Schönbergiem. Ale rocznica... Bernstein... Liv Ullmann... – tylko muzycy chichotali. Więc znam ja trochę te nuty, bo w końcu uczyłem się kiedyś parę lat na skrzypcach, na tyle by mieć świadomość, że to za trudne dla mnie. Żelazna dyscyplina, piekielnie trudnej nawet dla muzyków muzyki, a głos narratora to najważniejszy instrument utworu. Tam każda sylaba ma odpowiednią, ścisłą wartość rytmiczną i wysokość na pięciolinii. Pauzy nie mają nic wspólnego ze swobodą interpretacji monologu Szekspira, lecz są podporządkowane matematycznej co do ułamka precyzji pałeczki dyrygenta i stanowi integralną część ogromnej orkiestry symfonicznej. Do jakiego stopnia, tego po otwarciu partytury jeszcze nie wiedziałem. Wiedziałem, że nie dam rady. Dzwonię do pana Szymona i mówię pokornie, że to za trudne dla mnie. On na to, że przepadło. Afisze się drukują. Ja mówię, że złamię nogę naprawdę i będę miał zaświadczenie lekarskie. Słodko mi odpowiada, że wwiozą mnie na wózku w gipsie. Przez dwa tygodnie, przez zawilości partytury przeprowadzał mnie, po parę godzin dziennie, Wojtek Borkowski, kompozytor i pianista. Na parę dni przed koncertem mękę zaczęła zastępować coraz większa swoboda i przyjemność. Koncert się odbył. Nagranie też. Kompromitacji, myślę, nie było. Wiedziałem, że chciałbym jeszcze raz to zaatakować. Po dłuższym przygotowaniu. Parę lat minęło. Z początkiem tego roku dostaję list z Holandii, z Amsterdamu. Firmowy papier listu zdradza nadawcę. Słynny kwartet Schönberg Ensemble. Gratulują mi nagrania kompaktu *Ocalonego*, skąd go mieli, cholera? Chyba od Baški Sukowej, która często z nimi pracuje, z innym dziełem tego typu *Pierrot Lunaire*. Proponują mi nagranie „mojego” utworu dla holenderskiej, i nie tylko, telewizji. Ich pierwszy skrzypek i

dyrektor Henk Guittart chce mnie odwiedzić w Warszawie. Mówi, że choć ze znanych mu współcześnie wykonań, ze śpiewakami operowymi włącznie, moje jest podobno najlepsze, to jeszcze mogę je poprawić. O kurwa! Już nie panikuję. Bardzo mi miło, chciałem to jeszcze gdzieś wykonać. A tu trafiam na największych specjalistów od Schönberga na świecie. Parę dni potem Henk Guittart jest w Warszawie. Dość młody, z podbródkiem charakterystycznie dla skrzypka otartym z lewej strony. Czekam z pianistą w domu. Wojtek Borkowski zajęty, więc Kryśka znajduje mi swego znajomego, świetnego muzyka, Wojtka Głucha. Ten też nie może. Poleca mi swego syna, Maćka. Pianista i młody dyrygent. Chyba bardzo dobrze. No i zaczęło się. Parę dni w trójkę, z Henkiem, potem Maciek już wie wszystko. Będzie wyciskał ze mnie poty, zmierzając do wyznaczonego ideału. Trwało to kilka tygodni, dwie godziny dziennie.

Poleciałem. Nagrałem. Nie patrzyłem już w nuty. Raz tylko, w niesłychanie skomplikowanym momencie, na dyrygenta. Tę muzykę miałem już w sobie. Piłem spokojnie kawę w bufecie, dyrygent ćwiczył jeszcze orkiestrę i chór. Po nagraniu i emisji dostałem uroczyste zaproszenie do udziału w *Ocalonym z Warszawy* do sali Contcertgebouw na wielkim królewskim festiwalu amsterdamskim, w czerwcu.

Znowu tydzień treningu z Maćkiem. Nie ma żartów. Najstynniejsza sala koncertowa Europy. Dwa i pół tysiąca miejsc. Dyrygent Jensen jest jednym z najstynniejszych w tej branży. Lecimy z Zuzią do Amsterdamu. Ja spokojniutki jak bokser dobrze przygotowany do walki. Ona się trzęsie, zwłaszcza gdy zobaczyła salę. Jensen jest Łotyszem i dyrektorem filharmonii w Oslo. Na stałe mieszka teraz w Petersburgu. Rozmawiamy po rosyjsku. Pierwszy skrzypek orkiestry amsterdamskiej jest Rosjaninem. Wśród muzyków odkrywam paru Polaków. Krótka próba z pianistą i z Jensenem. Nie ma żadnych uwag. Proponuje uproszczenie, dosłownie jednego taktu. Orkiestra inna niż ta z nagrań, chór ten sam, jeszcze powiększony. Witają się ze mną jak starzy znajomi. Jest jeden problem, jak się przebić głosem w tak wielkiej sali, przy ogromnej fali dźwiękowej orkiestry, za mną. Są oczywiście wiszące wysoko mikrofony, ale one zbierają wszystko, i mnie, i setkę instrumentów. Na znalezienie właściwych proporcji Jensen poświęcił godzinę. Trzy koncerty. Sobota – 16.00 i 20.00, niedziela tylko 16.00. Prawie bez tremy, sama przyjemność. Genialny ten Schönberg. Tak rozmieścił na pięciolinii sylaby tej opowieści człowieka uratowanego z Getta Warszawskiego, że gdy się je po nutach wykona, słychać w angielskim tekście akcent żydowski. Nic nie trzeba grać. Nadzwyczajne.

A propos akcentu. Przypomniał mi się jeden z największych artystów XX wieku, Polak pochodzenia żydowskiego, Artur Rubinstein, którego miałem zaszczyt i szczęście poznać w ostatnich latach jego życia. Nie żeby mówił z jakimś akcentem, broń Boże. Nasi dzielni księża z „Radio Maryja” i ze świętej Brygidy z naśladowcami walczący o czystość i prawdziwość polskości, mogliby długo i bezskutecznie brać lekcje u pana Artura, jak po polsku mówić należy. Opowiadał mi Rubinstein właśnie swą piękną polszczyzną, że koncertował był przed wojną w Łodzi.

– Pod koniec długiego utworu na fortepian z orkiestrą, myślałem tylko o jednym – powiedział – że naprzeciwko Filharmonii, w małej restauracyjce czekają na mnie przyjaciele z zimną wódeczką i śledzikiem. Wprowadziło mnie to w tak radosne podniecenie i rozluźnienie, iż czułem, że dawno tak dobrze kody tego koncertu nie zagrałem.

Na moim trzecim, ostatnim koncercie coś takiego pod koniec poczułem i ja. Czekali na mnie w pobliskiej włoskiej restauracji przyjaciele z zimnym, białym winem. Jensen powiedział mi, że ten ostatni koncert był najlepszy. No proszę.

Mój benefis, cholera!

Na początku nic nie zapowiadało nieszczęścia. Skończyło się też pięknie. I w teatrze Rampa, gdzie się to odbyło i po paru miesiącach w telewizji, gdzie po zmontowaniu dwuczęściowy program został wyemitowany, i chyba dobrze oglądany i przyjęty. Ale środek, proszę Państwa, to znaczy doprowadzenie do realizacji i sama realizacja – myślałem, że umrę. Nigdy więcej! Setnych urodzin już z Telewizją Polską ani ze współnikami–producentami, nie urządzę.

Och, kochani współnicy!

Agnieszka Osiecka spędzała Sylwestra 96/97 w Zakopanem. Gdy po dwunastej przyszło do życzeń, obok niej znalazł się młody biznesmen.

– Czego mogę panu *życzyć*? – zagadnęła go Agnieszka. – Za moich czasów to życzyło się spełnienia w miłości, na przykład.

– Niech mi pani życzy – pochylił się do ucha poetki młody człowiek – abym się pozbył współnika.

Ja się z tym benefisem nie narzucałem. Już dość dawno proponowała mi to szefowa „Dwójki”, Nina Terentiew. Ale ona robi to z Krzyśkiem Jasińskim w Krakowie. A ja, mimo że to miasto kocham i podobają mi się benefisy robione przez Ninę i Krzysztofa, czułem, że ze mną to może się nie udać, bo ja nie stamtąd i najważniejsi ludzie mojego życia też nie. Więc złożyłem ofertę „Jedynce”, na ręce ówczesnego dyrektora, Macieja Pawlickiego. Przedtem zapewniłem sobie udział zgranej pary: reżysera Andrzeja Kotkowskiego i prowadzącego Maćka Orłosa. I to był chyba najlepszy pomysł. O samym rezultacie w „Kobiecie i Życiu”, najlepiej, bo krótko i dowcipnie napisała Zuzia. Zacytuję ją za chwilę.

Opowiem, jak o mało do tego nie doszło. Dyrektor Pawlicki sprawiał wrażenie, że owszem pomysł mu się podoba. Zaakceptował z grubsza scenariusz i z grubsza koszty. Moja firma, czyli ja, wyłożyła pierwsze pieniądze, bo trzeba było szybko nakręcić kilka „uciekających obiektów”, tak to się mówi w kinie, gdy na przykład zbliża się pora deszczowa, a trzeba nakręcić kilka scen w słońcu. Z gotowym materiałem na kasetach, ubożsi na razie o jakieś 100 milionów, chcemy doprowadzić do podpisania umowy i uruchomić środki finansowe Telewizji, za które zobowiązujemy się zrobić atrakcyjny dwugodzinny program z udziałem gwiazd polskich i zagranicznych. I tu się zaczęło. Nie można w Telewizji, przynajmniej tak było za tzw. „pampersów”, zebrać jednego dnia trzech ludzi, których równoczesne podpisy nadają sprawie bieg. Zawsze któregoś nie ma. W moim przypadku stale jeden z nich był na jakimś zagranicznym festiwalu. Na korytarzach tej pieprzonej instytucji koczowali od rana z Kryską, a potem i ze mną, w tych samych sprawach prywatni producenci, bez których Telewizja publiczna dawno by już sobie rady nie dała. Czaili się na tych bęcwałów od podpisów. Ktoś mi dał cynk, że pan Pawlicki wybiera się za morze na kolejny festiwal. Wiedziałem, że gdy wróci, to już będzie za późno. Pieniądze moje zmarnowane, wysiłek i czas ludzi też. Zostanie mi tylko przeproszać zaproszonych z daleka wybitnych przyjaciół. Nie zważając na protesty sekretarki, po prostu wtargnęliśmy do gabinetu jakiegoś ważnego od finansów. Nawet nie pamiętam, jak się nazywał. Nazywał się, bo już go nie ma.

Pamiętam, że brzydtko się wtedy na mój temat wyraził. Nie miałem czasu podjąć po swojemu dyskusji, bo by mi Pawlicki dosłownie uleciał. Argumentów na zbojkotowanie programu nie miał, więc musiał ze mną pognać do „Maciusia Wędrawniczka”, który właśnie zapinał nesesor podróżny, totalnie zdziwiony, że musi złożyć autograf teraz albo nigdy. Taką nonszalancję widziałem z bliska i myślałem, że śnię. Ten z ekonomicznego działu jeszcze raz coś wyraził na temat zachowania się takich jak ja „gwiazdorów”, jak gdyby mi robił łaskę, że złożył urzędasowski podpis w celu uruchomienia środków na dawno zaakceptowany do realizacji program.

Z czego żyje Telewizja publiczna?

Wyciąganie tych środków, to oddzielny temat. W umowie są precyzyjne daty, w których Telewizja jest zobowiązana dokonywać przelewów na konto firmy produkującej dla niej program. Inaczej produkcja stanie. Koszta wzrosną, a wszystko to, poza bezsenssem, obciąża dodatkowo podatnika i abonenta. A teraz zagadka. Na czym Telewizja publiczna najbardziej zarabia? Sądząc z tego, że bywają takie pory dnia, w których na pół godziny reklam przypada tyleż czasu nędznego programu, kusi wskazać na reklamy właśnie. Mam wątpliwości, choć nie umiem ich naukowo udowodnić. Wiem tylko, że wyrwanie tej instytucji pieniędzy w obowiązującym terminie, jest po prostu niemożliwe. Wszyscy pracownicy i współpracownicy Telewizji publicznej, a to tysiące ludzi i miliardy złotych, są płaćni z opóźnieniem. Często opóźnienie to sięga wielu miesięcy. Telewizja karnych odsetek nie płaci. Te odsetki bogacą właśnie ją, kosztem tysięcy oszukiwanych ludzi. Są to zyski miliardowe. Wierzę, że ktoś kiedyś udowodni, że ten przestępczy proceder może przynosić więcej dochodu niż nawet reklamy. Przeszedłem to wszystko. Najgorsze, że nie miałem często z czego płacić ludziom. Na szczęście przyjmował mnie wtedy prezes Walendziak. On, w przeciwieństwie do młodych podwładnych, był zawsze w pracy, interweniował. I pieniądze, ciężko wzdychając i skrzypiąc, jakoś się przemieszczały na konto naszej firmy. Mogliśmy kontynuować pracę.

Drugim nieszczęściem, no, może raczej kłopotem, był współudział produkcyjny pewnej, wydawałoby się poważnej, firmy. Początkowo miała ona wejść z pieniędzmi. I do tego właściwie była mi tylko potrzebna. Telewizja, jak na taki program, dała przecież bardzo mało. Wszystkie gwiazdy wystąpiły, na szczęście, za symboliczne stawki lub gratis. Pieniądzy współproducent nam nie wniósł. Z powodu niemowlęcych umiejętności zawodowych dyrektorzy produkcji tej firmy narazili mnie na wymierne straty finansowe. A przez niezorganizowanie kilku najprostszych rzeczy o mato nie rozwalili programu, przyprawiając mnie w ostatnich godzinach niemal o zawał. Oj, mówiły mi jaskółki, że najgorsze są spółki. Nic to, ja żyję, a program się udał. I to chcę pamiętać. Oddaję głos Zuzi.

Zuzanna Łapicka–Olbrychska

URODZINY DANIELA

Od dawna myśleliśmy o tym Jubileuszu – ja z obawą, Daniel z niecierpliwością.

Moja obawa wynikała głównie ze znajomości naszego środowiska – kto wytrzyma parogodziną laurkę na cześć Daniela? A pokazując nawet pobieżnie jego dorobek, trudno powstrzymać się od pochwał.

Kraje, które idealnie nadają się do takich uroczystości to Rosja i Ameryka. Tam, wprost z podziwu godną naiwnością, nazywają artystów geniuszami. Nasz wrodzony sceptycyzm i ironiczny stosunek do sukcesu nie pozwalają nam wielbić naszych artystów bezkrytycznie.

Daniel nadzwyczajnie fetowany czy to w Los Angeles, na ceremonii rozdawania Oscarów, czy w Moskwie, na Filmowych Festiwalach nie mógł zrozumieć, że jedynie w Polsce nikt nie nosi go na rękach, a nawet wręcz lekceważąco odnosi się do jego tzw. kariery.

Od paru lat pojawiła się co prawda tradycja tzw. benefisów. Urządzał je Krzysztof Jasiński z krakowskiego Teatru Stu, razem z Niną Terentiew z telewizyjnej Dwójki. Zaproponowali oni także benefis Danielowi. Ale co wspólnego ma Daniel z Krakowem, poza miłością do tego miasta? Wszystkich jego gości trzeba by było zawieźć do Krakowa specjalnie na ten wieczór.

A goście byli tu najważniejsi, bo jak Daniel często powtarza, na jego życie zawodowe i prywatne mieli wpływ przede wszystkim ludzie, których spotkał w życiu.

Jubileuszowy wieczór Daniela mógł nosić tytuł „Ci, których kochałem”.

No i stało się – wszyscy ci, których Daniel kochał, zjawili się w Teatrze Rampa w piątek, 13 października (Daniel wierzy w szczęśliwą trzynastkę!).

Reżyserią wieczoru zajął się Andrzej Kotkowski, który od pewnego czasu tworzy tandem z Maciejem Orłosiem (*vide* telewizyjne „Oko w Oko”). Powierzenie przygotowania Jubileuszu tej parze było strzałem w dziesiątkę. Orłoś, jako aktor drugiego planu, jak sam siebie nazywa, a od paru lat dziennikarz telewizyjny, poprowadził wieczór z istic angielskim poczuciem humoru. „Podkładając się” publiczności jako aktor epizodysta, robił z Daniela – gwiazdy niezasłużenie skromną osobę, co budziło śmiech i ogólną życzliwość.

Życzliwość partnerek filmowych, reżyserów, rodziny, przyjaciół, którzy specjalnie przyjechali na ten wieczór z daleka. Mówię tu o **Nikicie Michałkowie**, który przyjechał na urodziny z żoną Tanią (córka, gwiazda jego ostatniego filmu, 9-letnia Nadia, przeziębiona, została w Moskwie). Przywieźli piękny prezent – kryształ w drewnianej szkatułce z łacińską literą „L” na wierzchu, jak przystało na 50-tkę urodzin.

Myślę też o **Eli Czyżewskiej**, która wyszła na scenę prosto z samolotu, w amerykańskiej sukni wyszywanej cekinami. Po odśpiewaniu z Danielem pięknych piosenek z filmu *Małżeństwo z rozsądku* nie mogła powstrzymać się od narzekań na pomysł latania samolotem w piątek, 13. (z powodu mgły wylądowała w Gdańsku, stąd spóźnienie).

Myślę wreszcie o **Zbyszku Preisnerze**, naszym wybitnym kompozytorze muzyki filmowej, który przyjechał z planu amerykańskiego filmu z **Marlonem Brando**, kręconego w Australii, żeby razem z kapelą krakowską odśpiewać Danielowi przyśpiewki własnego pióra i muzyki.

Ta gotowość przyjaciół, którzy stawili się osobiście lub przysłali kasety wideo z życzeniami, tak jak **Misza Barysznikow**, **Marie Laforet**, **Claude Lelouch** czy **Bulat Okudźawa**, była naprawdę wzruszająca...

Wzruszającym momentem było też pojawienie się pani Eli, dziewczynki z filmu *Brzezina* Wajdy, kręconego przed 27 laty, dziś ekonomistki z Wrocławia.

Wzruszający był występ syna Daniela, Rafała, na tle fragmentu Kroniki Filmowej sprzed 22 lat, na którym Rafał karmiony kaszką, przez rodziców recytuje wierszyk.

Płakano, gdy **Magda Umer** śpiewała wiersz Poświatowskiej *Ja minę, ty miniesz...* na tle zdjęcia z *Jowity* Morgensterna, na którym widać Kalinę Jędrusik, Basię Kwiatkowską-Lass i Zbyszka Cybulskiego. Ale głównie śmiano się z ulicznych wywiadów robionych w Warszawie i rodzinnym miasteczku Daniela – Drohiczynie, śmiano się z montażu scen filmowych pokazujących fantastyczny dorobek Daniela, a jednocześnie paranoję jego zawodu.

Całość zakończyła **Edyta Górniak**, która cytując Marylin Monroe, zaśpiewała *Happy birthday, Mr Daniel...*

Przy swojskich dźwiękach kapeli krakowskiej „Niechaj gwiazda pomyślności nigdy nie zgaśnie” publiczność rozeszła się do foyer, gdzie została podjęta śledziami, *foie gras* i tortem od Bliklego, którego każdy kawałek nosił inny tytuł filmu, w którym Daniel grał główną rolę.

Przez następne dwa dni telefon dzwonił bez przerwy, co zmęczyło nawet naszą sekretarkę automatyczną, która po setnym telefonie bełkotała:

Po usłyszaniu sygnału, proszę złożyć gratulacje...

„KOBIETA I ŻYCIE”
nr 46/2315 18 listopada 1995

Mamy to już, chwała Bogu, za sobą. Wszyscy goście byli niezmiernie ważni. I ci na scenie, i ci na widowni. Nadzwyczajna kapela: Wojtek Karolak, Andrzej Dąbrowski, Jarek Śmietana, Andrzej Cudzich pod wodzą Piotрка Barona. Maryla Rodowicz zapewniła mnie w piosence, że *to se już nie wrati* i dała kapelusz. Z Leszkiem Drogoszem, czarodziejem ringu, zagraliśmy na skrzypcach, obaj!, *Żołnierz drogą maszerował*, fałszując tak, że nikt nie mógł podejrzewać, iż jakiś muzyk zawodowy podkłada nas z playbacku.

Sporo wiedziałem o scenariuszu, ale nie wszystko. Moja obecność na scenie była, oczywiście, trudna, ale ratowały mnie autentyczne niespodzianki, którym się po prostu poddawałem. Jak na przykład z tą dziewczynką, obecnie dojrzałą kobietą, z „Brzeziny”. Trwał wtedy ostry wyścig do najwyższego urzędu w państwie. Ośrodek Badania Opinii Publicznej przeprowadził swoimi metodami badania, dopuszczalny margines błędu 1%. Wynikało z tego, że gdybym wystartował, mógłbym liczyć na poparcie 12% uprawnionych do głosowania. Poza wielką dwójką, byłbym pierwszy. Jak generał Lebed' w Rosji. Bo my Słowianie *lubim* sielanki. Kapelusz od Maryli czasem zakładam. Kryształ od Nikity stoi na biurku, dotykam go w tej chwili. Szabla od Zbyszka Preisnera wisi nad moim łóżkiem. Wiersze Wojtki Młynarskiego, Agnieszki Osieckiej mam w sercu.

Agnieszka Osiecka

*Bądź jak wilk leśny zwinny i hardy.
Niech Ci serce dudni jak mustang,
A uśmiechu złote kokardy
Niechaj zdobią Twe oczy i usta.*

*Życie dla Ciebie to pestka,
A sztuka to cały świat.
Nikt Ci nie wierzy, że bierzesz to serio
Od wielu, wielu lat.*

*Konfitury jedz z mego spodka,
Bądź jak wieczór lipcowy na ganku.
Zdrów bądź niczym szprotka,
Hamlecie, Makbecie, Kochanku!*

Wojciech Młynarski

na melodię *Hello, Mary Lou* z transakcentacją

*Hello, Danielu,
I love you,
śpiewam ci w konwencji westernu.
Hello, Danielu,
że te pięć dych
może być najlepszą z ról Twoich.*

*Na kolegów bracie spójrz,
spoważnieli, Boże mój,
Perepeczko Wernyhoreę gra,
Ciebie czeka też król Lear,
lecz ćwierkają wróble ćwir,
że nie przyszła jeszcze chwila ta.*

*Hello, Danielu,
I love you,
śpiewam Ci w konwencji westernu,*

*Hello, Danielu,
Choć masz pięć dych,
w kozi róg pędzisz młodzików pstrych.*

*Będą kręcić „Ogniem i
mieczem” i przysięgam ci,
że gdybym spotkał Cię w Jurata „bicz”
pomyślałbym sobie – Ty*

*mógłbyś grać aż role trzy:
Dniestr, Bohuna i kozacką sicz.*

*Bo czas, Danielu,
urodzin Twych
nigdy w tył, zawsze w przód kieruj wzrok.
I graj, Danielu,
Twoje pięć dych,
rolę, co krótko trwa – tylko rok.*

*Wszyscy kochamy Cię, Danielu,
Nawet prezydentów siedemnastu.*

Zespół „Boys”

*Oh, Daniel, znają liczne panie
wszystkie Twoje manie,
nie próbuj ich kryć.*

*Oh, Daniel, kiedy Ty przestaniesz
w świata oceanie
złotą rybką być?*

*Weź i ostatecznie się ustatkuj,
przecież płyną lata
wciąż coraz prędzej.
Nie zatrzymasz ich.*

*Skrupulatnie płać swoje podatki,
żeby budżet zatkać,
trzeba pieniędzy.
Kto ma, jak nie Ty?*

*Oh, Daniel, kiedy Ty przestaniesz
w świata oceanie
złotą rybką być?*

*Danielu,
nie ma takich wielu,
żeby tak do celu
trafiać tak jak Ty.*

*Weź i ostatecznie się ustatkuj
saldo masz dodatnie,
cel priorytetowy,
innym szansę daj.*

*Skoro los Cię srogi zrobił dziadkiem,
choć to nie jest łatwe,
rolę twą nową
jak najlepiej graj.*

Zbigniew Preisner

słowa i muzyka

*Danielu, Danielu,
Z Krakowa przybylim,
Żeby w Twoje święto w Warszawce na dworze
Danielówki napilim.*

*Usiądź nam na tronie,
Chociaż nie w Krakowie.
Króluj nam, Danielu,
Króluj nam, Danielu,
Z koroną na głowie.*

*Przywieźlim Ci dary
i teraz wręczamy.
Przyjmij je, Danielu,
Przyjmij je, Danielu,
Bo Ciebie kochamy.*

*Dajemy też szablę,
Boś mocny w tej broni.
Wierzymy Ci, Danek,
Wierzymy Ci, Danek.
Że wiesz, co z nią zrobić.*

*I niech muzyka gra
Do rana białego.
Zatańczmy, wypijmy,
czas sobie umilmy
U boku Twojego.*

*Kiedy sto lat minie,
Jak cięciem szabelki,
Zbudujem Ci pomnik,
Zbudujem Ci pomnik,
Boś sławny i wielki.*

Dawide Dawide z łechta wami pomyli i czy wstąpię jechało i czy w tute

pomyli Dawide da nap li -

Dawide m
z pomyli
Galei

Rewizyta, czyli benefis Nikity Michalkowa

Dosłownie parę dni później wsiadłem w samolot z Beatą Tyszkiewicz i jej Karlem i poleciałem do Moskwy na podobne święto Nikity Michalkowa. Też jego 50–lecie. Jesteśmy ten sam rocznik. On osiem miesięcy młodszy. Proporcje były odpowiednie do proporcji terytoriów naszych państw. U mnie w miarę kameralnie, w Moskwie wielka sala kinowa hotelu „Rossija”, ta od festiwali filmowych. Prawie nasza Kongresowa. Na tej sali przed laty odbierałem nagrodę za *Brzezinę*. Poprzedniego dnia żegnaliśmy się, w tamtych czasach nikt nie wiedział na jak długo, z Nikitą w restauracji gruzińskiej „Aragwia”. Jedynej zresztą w całej Moskwie. Mocnośmy popili, byliśmy młodzi i zdrowi. 1971 rok. Wsiadłem w samolot i poleciałem do Warszawy. W nocy budzi mnie telefon. Dzwoni minister kinematografii Czesław Wiśniewski. Wzruszony i podniecony, na lekkiej bani, informuje mnie, że dostałem nagrodę. Natychmiast rano mam wsiadać w samolot i wracać do Moskwy, na odebranie jej. Wszystkie formalności załatwione. Upewniwszy się, że minister, acz leciutko wstawiony, nie robi mi w lipcu *prima aprilis*, zacząłem wyciągać z szafy smoking. Dalej relacjonował mi Nikitą. Siedzieli z bratem Andronem Konczałowskim, na tej właśnie sali, gdzieś wysoko w amfiteatrze i oklaskiwali, na lekkim kacu, kolejnych laureatów. *Za łutsze ispołnienie mužsko roli...* i pada moje nazwisko.

– *Ja uradowana* – mówi Nikitą – *tylko żal szto tiebia nietu. Przecieram oczy, no i jest Dańka na scenie, i w smokingu. Czy ja się upilem, czy znaleźli mu dublera, mówię do Androna. Przecież my go wcziera odprowadzili na lotnisko.*

Tak, w tamtych czasach lecieć do drugiego kraju i wrócić następnego dnia, było abstrakcją nie tylko dla Rosjan.

Przypomniałem sobie teraz, że *ex aequo* nagrodę dostał mój obecny partner w filmie Nikity *Cyrulik syberyjski* – Richard Harris, za Cromwella. I jak tu nie wierzyć w znaki na niebie i ziemi.

Znowu wracam do sali w hotelu „Rossija”, październik 95. Siedzę obok Beaty Tyszkiewicz, w rękę ściskam prezent dla Nikity. Jest to jedna z dwóch wspaniałych ostróg meksykańskich. XVIII wiek. Dostałem je w latach 70. od Kirka Douglasa w Hollywood. Nikita zaprasza mnie na scenę. Wręczam mu ostrogę, krótko opowiadając jej historię. Sprzączka przy rzemieniu wskazuje, że jest na but lewy. Mówię, że od strony serca. Oczywiście owacja pełnej sali. Nikita, króciutko dziękując, opowiada, jak w Warszawie, historyjkę własną na mój temat: *Plaża, poranek, cisza, pusto, piasek. Idzie bosy Daniel Olbrychski i tylko słyszeć brzęk ostróg, dyń, dyń, dyń.* Owacja na stojąco. Ten skurwiel umie panować nad widownią. Nie ukrywam, że chciałbym sprawdzić empirycznie, jak panuje nad planem filmowym. Po benefisie, pijąc i śpiewając jak zwykle Okudżawę, do rana, znowu sobie powtarzamy, *nada na koniec, parabotać wmiestie.*

Gwiazda filmowa dzisiaj w Polsce? – zabawne!

Boże Narodzenie 95 w domu pod Warszawą. Tam, gdzie jałowce, sosny, brzozy i dęby. Sylwester znowu u Ewy i Zbyszka Preisnerów. Walendziakowie, Turowiczowie, Wójcicki... W sumie dość kameralnie. Zmieniają się tylko sownie opłacane przez Zbyszka kapele ludowe. *Feeria* ogni sztucznych. Zuzia nawet nie chce obliczać, ile z dymem poszło. Ale wielkie utalentowane dziecko lubi sprawiać przyjacielom przyjemność i ma naprawdę za co. W porządku. Dobrze po północy wpadają Wanda Warska z Andrzejem Kurylewiczem. Śpiewom i muzyce nie ma końca. W roku 96 obiecują sobie i rodzinie pracować dużo mniej. Naprawdę już nie trzeba. Zagrałem w Polsce dwa filmy, które na pewno chciałem; z Piwowarskim i z Jandą. Odniosły one nawet jakiś sukces komercyjny, kilkaset tysięcy widzów, a to niestety, jest dziś sukces. Największe hity, jak *Psy*, osiągają 500–600 tysięcy. Za mojej młodości była to granica klęski. Prawie taką widownię miał mój *Hamlet* w Teatrze Narodowym. I na dodatek te filmy nigdzie się nie sprzedają za granicą. Więc nasze gwiazdy, wybitnie zdolne, nie są nawet znane w czeskim Cieszynie. Współczuję moim młodszym, często wspaniałym kolegom. Miałem więcej szczęścia. Filmy z moim udziałem obejrzały dziesiątki, jeśli nie setki milionów ludzi na całym świecie. Nie tylko te zachodnie jak *Blaszany bębenek* Schlöndorfa, *Jedni i drudzy* Leloucha, von Trotty, Kaufmana, hity telewizyjne. Nie, nie tylko. Właśnie przede wszystkim filmy polskie. Dzięki filmom Andrzeja Wajdy, do dnia dzisiejszego nie jestem anonimowym aktorem nawet w Japonii, Australii czy Brazylii. Hoffmanowy Sienkiewicz uczynił ze mnie, poprzez powtórki w telewizji, aktora rozpoznawalnego dziś jeszcze przez coraz młodsze pokolenia widzów na ulicach miast przynajmniej byłych demoludów. I to było piękne. Choć paszport, czyli moja wolna wola, czyli ja sam... wszystko to nie było moją własnością. Wszystko to było własnością ministerstw, filmu polskiego, w sumie ubecji. I tu się moi kochani, młodzi koledzy, zmieniło. Teoretycznie i naprawdę, możecie wszystko, wszystko od was zależy. Mnie już korci powiedzieć: stop! pracy. Ale z czego żyć?

Daniel ma od ch...a pieniędzy

Powiedział to Jan Englert, gdy ukazała się kasetka bardzo ostrej poezji erotycznej w moim wykonaniu, a w ślad za nią książeczka pod tym samym tytułem *Chwasty polskie*, ilustrowana nie mniej śmiało przez Franka Starowieyskiego.

Fredrę przed laty, jak napisałem we wstępie do *Chwastów...*, polecił mi Kazimierz Wyka. Szybko nauczyłem się na pamięć i bawiłem tym na bankietach towarzyskich bliższych i dalszych znajomych. Ktoś musiał mnie gdzieś nagrać. Przypuszczam, że w czasie *Potopu* ekipa dźwiękowców. No i rozpełzło się toto po Polsce lat 70. jak stonka ziemniaczana. Nie było środowiska, które by o tym przynajmniej nie słyszało. Jakość techniczna była okropna. Słyszałem kiedyś przegrane chyba setny raz kasety. Sprzedawały je również stacje benzynowe, po piracku, za przyzwoite pieniądze, mimo że tekstu było najwyżej na 20–25 minut. Ja oczywiście nic z tego nie miałem, poza sławą mołojeczką. I, bardzo rzadkimi jednak, listami oburzonych stróżów moralności. Pomyślałem sobie parę lat temu, że warto by zrobić to profesjonalnie. Znaleźć u naszych klasyków, od Jana z Czarnolasu począwszy, wszystko co na ten piękny temat napisano, dokonać wyboru i nagrać. Bardzo szybko ideę wprowadziłem w czyn. Zbieranie materiałów perwersyjnie zleciłem młodziutkim studentkom filologii. Oprawę muzyczną opracował i wykonał bardzo śmiesznie Piotr Baron. I ciekawa rzecz. Kasetka sprzedawała się bardzo źle. Liczyłem na dziesiątki, jeśli nie setki, sprzedanych egzemplarzy. Poezja piękna, śmieszna do łez. I naprawdę się przyłożyłem, to jedna z lepszych moich ról. Nie była hitem. Okazuje się, że sklepy z kasetami odwiedzają przede wszystkim nastolatki. A ich, widać, głównie interesuje muzyka młodzieżowa, a nie poezja. Nawet ta szczególna poezja, w której to mamy chyba mistrzostwo świata, bo sam Aleksander Puszkina był na tym polu mniej dowcipny i twórczy. Dobrze natomiast poszła książeczka. Ładnie wydana przez „BGW”, ze świetnymi ilustracjami Franka Starowieyskiego. Poszłaby jeszcze lepiej, gdyby Roman Górski był odważniejszy i w okresie przedświątecznym wydrukował znacznie więcej. A tak – w czasie największego popytu przez dwa przedświąteczne tygodnie, a potem okolice Nowego Roku, ludzie dopytujący się o *Chwasty* nie mogli ich kupić. Ale i tak nie ma co narzekać. Książeczka obok świetnych *Sensacji XX wieku* Wołoszańskiego została hitem roku. Miałem więcej szczęścia niż rozumu. Nie byłem przecież autorem, to był tylko pomysł. Na kasecie jeszcze mogło się liczyć moje kunsztowne mówienie, ośmio- lub trzynastozgłoskowcem, w kwiecistym języku polskim tylko dla dorosłych. Książeczka natomiast była wyłącznie śmiałym i bardzo rentownym pomysłem. Proszę wybaczyć, do tylu rzeczy w życiu dopłacałem, na tylu sprawach i ludziach się przejechałem, że w końcu niech Janek Englert ma rację: *Daniel ma od ch...a pieniędzy*.

Same kłęski

Kiedyś – legenda, jeszcze za życia, środowiska aktorskiego – Zdzisiek Maklakiewicz, powiedział mi rzecz bardzo głęboką.

– Danek – mówi do mnie w saloniku aktorskim przy scenie Narodowego – ja cię bardzo lubię, w ogóle jesteś fajny, zdolny i wszyscy cię lubimy, ale wiesz, jeszcze bardziej byśmy cię polubili, gdybyś przyszedł smutny i naciskany przez nas, w końcu się przyznał albo wymyślił. „Chłopaki, zgubiłem dziś złoty zegarek”. O, jak byśmy cię dopiero polubili, jak byśmy cię pocieszali. Za same sukcesy lubić nie można.

Dawno to było. Sprawiałem wrażenie dziecka szczęścia. Choć teraz też można by mnie zatytułować szczęśliwy dziadunio, albo lepiej dziador, jak mnie nazywają wnuki. Otóż, idąc za radą świętej pamięci Zdzisia, melduję wam, Kochani, że wódka „Daniel”, która mi miała zapewnić spokojny byt bez pracy, kompletnie nie poszła. I można tu analizować, gdzie był popełniony błąd. Czy w mało widocznej zza lady etykietce, artystycznej bardzo, Franka Starowieyskiego, czy w ospałości i niechęci jakby do wspólnego promowania produktu przez Polmos w Żyrardowie. Cholera wie! Nie poszła i już. Ciekawe, że nie poszła również wódka Pazury i Lubaszenki „Pół żartem, pół serio”. Ani dobrze promowana przez Marka Kondrata wódka „Ideal”. Coś musi za tym stać. Dlaczego raptem trzy Polmosy przestały walczyć o rynek? Ja chyba się domyślam dlaczego. Nie mam jednak dowodów i nie chce mi się ich szukać. Niech zostanie tak, jak mi radził Maklakiewicz. Przegrałem tu. O, chwileczkę! Ponieważ na waszej sympatii zależy mi ogromnie, muszę wyznać, że dwa konie, które dzierżawiłem na Służewcu w 94., po paru wstępnych sukcesach doznały – oba! – kontuzji i trzeba je było wycofać. Dużo nie dołożyłem, ale oczywiście nic nie zarobiłem. Ot co. No to już można mnie chyba trochę polubić.

Jeszcze raz u Leloucha, tylko po co?!

Znowu Lelouch. Nie wiem, co mu się stało. Może za sprawą mojego benefisu, do którego dał się nakręcić na wideo, coś mu się na mój temat przypomniało. Kiedyś w trakcie *Jednych i drugich* – filmu, który kręciłem z nim w roku 1980, po jakiejś mojej scenie, zdaje się, że dyrygowałem wtedy Pierwszą Symfonię Brahmsa, zapytał mnie, ile zrobiłem filmów z Andrzejem Wajdą?

– Osiem – odpowiedziałem. Był rok 1980 i chyba tyle było.

– Pobiję ten rekord – powiedział Claude.

No, 16 lat stracił. Mało ma już czasu. Ale coś go tknęło. Catherine, moja agentka paryska, dzwoni, że Lelouch potrzebuje mnie natychmiast, luty 96, w Paryżu wraz z Zuzią. Mamy być bratem przyrodnim i bratową słowiańską głównego bohatera filmu Bernada Tapiego!!! Dwa przyloty na parę dni do Paryża i niebotyczna, jak na Leloucha stawka dla mnie. Zuzia odpowiednio 1/10 tego. Wreszcie zrozumiała, kto jest w domu ważny. Albo „czym kaczką wodę pije”, jak mówi Józef owicz. Film nazywa się bardzo lelouchowato – *Les hommes et les femmes, moded'emploi (Mężczyźni i kobiety, sposób użycia)*. Ponieważ wyrwało mi się kiedyś, że Claude należy do kilku reżyserów, u których mogę zagrać, nie czytając nawet scenariusza, pakujemy walizki na kilka dni i hejże, hola, hop, przygodo! Pieniądze też jak znalezione na ulicy. W klubie „13” mierzymy bardzo naukowo kostiumy. Już wiem, że obok Tapiego gra ostra francuska czołówka. Między innymi Anouk Aimée. Ciekawe, jak teraz wygląda.

Jesteśmy już na planie pod Paryżem. Nic nie rozumiem, o co w filmie chodzi. Niestety, w ostatnich filmach Claude'a nie rozumiałem wiele, wychodząc po seansie. Claude, jak zwykle, gdy się parę lat nie widzimy, ma całkiem nową żonę, Aleksandra Martinez, włoska tancerka i trochę aktorka. Bardzo miło, bo to moja partnerka z włoskiego filmu sprzed laty *Passi d'amore*, chyba był w polskiej telewizji, a może nie. Claude bierze mnie na bok i mówi:

– *Mon petit frère*, braciszku, po prostu stęskniłem się za tobą. Uderzenie serca w przyjaźni, *coup de foudre*, moja przyjaźń wyraża się najbardziej w pracy. Chciałem cię zobaczyć. A ja, jak wiesz najlepiej, najczulej oglądam świat przez moją kamerę. Wiec zamarzyłem, żebyś jeszcze raz przed nią stanął.

Nie powiem, nawet mnie wzruszył. O pracy trudno opowiadać. Wiedziałem, jakim to będzie strzępem na ekranie. Ciekawy natomiast był ten Tapi. Na planie zachowywał się jak czarujący łobuziak z liceum. Facet typu, co to czego się tknie, to mu wychodzi. Chyba że w kraju tak praworządnym jak Francja przekroczy pewną wobec prawa granicę. I wtedy obojętnie kim jest, ile ma na koncie, nie ma pomyłki. Teraz odsiaduje wyrok za jakieś machlojki, przekupstwa. Niewątpliwie, instynktownie bardzo zdolny aktorsko. Też mu się to w życiu przedtem przydało.

Drugi przyjazd to zdjęcia na Pére–Lachaise. Nie rozumiem, o co chodzi w filmie, więc przyglądam się ludziom. Anouk ciągle piękna. W filmie robi za jakąś wdowę. Wita się ze mną dość powściągliwie. Pamiętam takie zdarzenie. Przysiedliśmy na jakimś nagrobku.

Rozmawiamy z Caroline Cellier, główną aktorką filmu, która gra żonę Bernarda. Okazuje się, że przed laty byliśmy w jednej agencji aktorskiej u Filipa Grangera. Pytam, co u Filipa.

– O, umarł – odpowiada.

I raptem zauważamy we troje, że siedzimy na grobie właśnie rodziny Grangerów.

– *Oh, non* – poważnie wyjaśnia moja koleżanka – to zupełnie *inna familie*.

Spojrzeliliśmy na siebie z Zuzią. Kartezjański umysł francuskiej aktorki nie pojmuje, że właśnie Filip dał nam znak. Chyba pamięci.

Film obejrzeliliśmy, przy pustawej sali, rok później. Niewiele zrozumieliśmy. Jak zwykle ostatnio u Leloucha. Niezrozumiały był również strzęp mojej obecności na ekranie w połączeniu z oddzielną planszą czołówki. Głupi w tym wypadku przywilej tzw. gwiazdy.

"Polska to postaw czerwonego sukna..."

A u nas w kraju mamy nowego prezydenta, a jakże. Wałęsa przegrał na własną prośbę. Różnica głosów okazała się wręcz minimalna. Chyba zadecydowały debaty telewizyjne. Wałęsa je wyraźnie przegrał, zachowując się arogancko, głupio i niekompetentnie. Wręcz odwrotnie do Kwacha. Ten z kolei, z tym dyplomem... Po co mu to było? Ja, oczywiście, żadnego magistra nie mam.

Kiedyś absolutorium, czy jak to się tam nazywa, proponował mi ówczesny rektor PWST, wielki Łomnicki. Zapytałem:

Tadziu, a co w tym celu mam zrobić?

– A chociażby opisziesz, jak pracowałeś nad Panem Młodym w *Weselu* Wajdy. Obronę pracy masz już z głowy, bo rolę pięknie zagrałeś.

Przysięgam, mówił to poważnie. Takie są te magisteria. Pewnie wszędzie. Więc po co prezydent rozdrażnił, niechętną mu, a liczną, część społeczeństwa? Ale o niego się raczej nie martwię.

Gorzej z tym całym zapleczem. Też się o nich na razie nie martwię. Rozbestwiło się to, jak za dawnych, dobrych dla nich czasów. Plus wolny rynek, więc duże pieniądze. Martwię się raczej o nas, czyli zwykłych obywateli, czyli jak mówią niektórzy o Najjaśniejszą.

Przypomina mi się to, co mi powiedział – mnie, Kmicicowi, Bogusław Radziwiłł: *Polska to postaw czerwonego sukna...* A partner w koalicji nie w kij dmuchał, krzepko po chłopsku ciągnie to sukno w swoją stronę, nie licząc się, co podepcze po drodze. Nie tylko kulturę, telewizję publiczną, obronę narodową, ale i własne grządki. Bo prezes Pawlak i spółka tak troszczą się o interesy polskich rolników jak ja o związki zawodowe aktorów bułgarskich.

Lechu, słynny, zasłużony noblista, miał wszystkie karty w ręku. Mógł nas chropowato, ale mądrze, skutecznie i solidarnie prowadzić do cywilizowanego świata. Wolał instynktownie dzielić, by rządzić. To znaczy skłócać wszystkich ze wszystkimi, żeby nikt mu nie podskoczył. Jest to znana w historii metoda rozmaitych satrapów. Przed laty ośmieliłem się w Aniołach napisać, że chyba stracił swą charyzmę. Teraz wiem, że na pewno stracił. Gdzie te czasy, gdy biliśmy mu w domach brawo za debatę telewizyjną z Miodowiczem. Dużo przegrał, ale, niestety, my razem z nim. Te wybory wykazały jednak, że społeczeństwo nasze jakoś mimo wszystko dojrzewa. Niesamowity, przerażający fenomen Stana Tymińskiego sprzed pięciu lat już by się nie powtórzył. Poczulo to na własnej skórze kilku oszołomów, którzy wystartowali z nadzieją na głupotę Polaków, a osiągnęli ułamkowe rezultaty. Martwić może brak alternatywy dla rządzącej, prawie niepodzielnie teraz, koalicji. Niestety, nie jest nią rozbita, niemądra – często rodem z Ciemnogrodu – polska prawica.

Bardzo martwi mnie, że tak potencjałem ludzkim, jak programem najbardziej zbliżona do rozwiniętych demokracji Unia Wolności nie może do siebie przekonać znaczącej części obywateli. Ci ludzie umieli obalić komunizm, stworzyć Wałęsę, stworzyć podstawy demokracji i gospodarki rynkowej. Dzięki nim jesteśmy już stosunkowo daleko do przodu. A nie umieją, jak dotąd, dyskutować tego w skutecznej polityce. Docenieni znów będą, gdy społeczeństwo przekroczy kolejną granicę w drodze do normalności. Gdy na przykład

powstanie silna i rozsądna klasa średnia, ale czy bez znaczącego udziału Unii Wolności w pryncypialnych decyzjach to może szybko nastąpić? Wątpię. Zdaje mi się, że nawet Lech Wałęsa, wyraził podobną opinię.

Wykrakałem również w *Aniolach*, niestety, że rząd dusz straci Kościół. Demokracja zaszkodziła mu najbardziej. Jako instytucja nie może się odnaleźć. Nie nadaża. Co z tego, że wyznawcy, mówmy skrótem, takich księży jak Rydzyk czy Jankowski to jednak mniejszość narodowa. Rozróby na stadionach również robi mniejszość kibiców, ale to ich widać i słyszać. Oni nadają ton agresji. Za nich się większość musi wstydzić. I nie umiemy sobie, jak dotąd, z tym poradzić. A wielka instytucja, mająca jeszcze za sobą autorytet wielkiego papieża Polaka na Piotrowym tronie, nie umie sobie poradzić z nieodpowiedzialnymi, głoszącymi wbrew Ewangelii, a szkodzącymi Polsce, kapłanami. Ja mniej się tutaj zajmuję tzw. postkomunistami. Mniej mnie oni dotyczą i obchodzą. Gdy byli u władzy totalnej, wiedziałem, gdzie moje miejsce. Piszę o tym, co mnie boli. Teraz boli mnie to, co było mi zawsze bliskie.

Wyciszony rok

No więc mam to, co chciałem. Nie kręcę filmów, nie gram w teatrze, nie podróżuję. Może trochę. Nowy Jork, bo Weronika tak go lubi. A ja odwiedzam, jak zawsze, Wiktora. Jeździmy z nim na łyżwo-rolkach po Central Parku. Potem na ciastka zapraszam go do „siebie”, czyli do wspańskiego apartamentu Moniki i Witka Markowiczów. Jest on tuż przy Central Parku i cały dla nas, bo oni się jeszcze nie przeprowadzili z New Jersey.

Na jesieni będzie tam podejmowany mój Rafał z artystami filmu *Zaorskiego Szczęśliwego Nowego Jorku*. Na razie z Wiktorem wjeżdżamy windą prosto do mieszkania. Jest Weronika z Zuzią Głowacką. Wiktor zwiedza ogromne przestrzenie tego naprawdę *nadmetrażu*. Nie zdradza się, czy mu to imponuje, czy nie. Sam chce zaimponować swojej przyrodniej siostrze. Rzuca się na dywan i zaczyna ni stąd, ni swąd, robić... pompki, zerkając na Weronikę raz po raz, czy podziwia. Ona z trudem wstrzymuje śmiech, bo rano widziała mnie w tym samym miejscu, wykonującego to samo. Ta chęć popisywania się... *nie wyprzesz się go*, zdaje mi się mówić oczyma moja 15-letnia córka. Wracam nieco wcześniej do Polski. Weronika z matką jeszcze trochę zostają. Mam kilka koncertów, spotkań z publicznością. Lubię to od czasu, do czasu, zwłaszcza z kolejną generacją młodzieży. To nieprawda, co sądzą o tej młodzieży ludzie układający programy telewizyjne i wydający różne młodzieżowe magazyny, m.in. tzw. profesjonalny „Film”. To jest taka sama młodzież, jak przed 30 laty. Ten, kto jest głupi był i jest głupi. Kto wrażliwy, w każdym pokoleniu będzie wrażliwy. Ci, co mają skłonności przestępcze *zawsze* dadzą im kiedyś ujście. Tylko, że głupiego można czegoś nauczyć. We wrażliwym tę cechę jeszcze rozwinąć, a tym ostatnim nie dawać w filmikach gotowych recept na mordowanie. W Polsce w baseball się nie gra, kije w sportowych magazynach to przeważnie zresztą atrapy. Sprowadzane i sprzedawane są wyłącznie w jednym celu, do zabijania, tak jak w kinie. Długi jest łańcuch okoliczności splecionych z konkretnymi ludźmi, którego ostatnim ogniwem są dwaj 15-letni chłopcy, zabijający studenta kijami kupionymi w polskim sklepie w Krakowie. Młodzieży, często z prowincjonalnych miasteczek, mówię jak ćwierć wieku temu Norwida, Leśmiana, Tuwima, Wysockiego, Szymborską, w ciszy wręcz niesłychanej. Odpowiadam na ich mądre bardzo pytania. Również oczywiście bawię. Przeważnie dziękują mi na stojąco. Bardzo to miłe i chyba pożyteczne. Trochę też zarabiam, ale to już nie jest, na szczęście, konieczność, jak przed laty.

Wydaje mi się, że Władysław Pasikowski, tzw. specjalista od gustu małałatów, bardzo się majtnął w *Słodko-gorzkim*. Oglądałem jeszcze projekcję roboczą. Grał tam również Rafał. Bardzo dobrze zresztą i kompletnie inaczej niż w dwu poprzednich filmach. Inny człowiek. Znaczy, że już zaczyna komponować postacie. – I tak właśnie będę używał tego rzeczownika w liczbie mnogiej. Cóż to za okropność te „postaci”. Chyba że u Norwida.

Otóż w montażu roboczym jeszcze nie było tylu piosenek, były te dwie które w akcji, zresztą logicznej, śpiewa Rafał, właśnie jego kompozycji. Jedna bodajże też w naturalnej scenie dyskoteki z Tomkiem Lipińskim. I było bardzo dobrze. Pan Władysław, może z głupim producentem, znam go i wiem co piszę, uznali, że młodzieży skupienia na akcji i liryce starczy na 10 minut i że trzeba jak w Teleexpresie co jakiś czas grzmotnąć teledysk. No i grzmotnęli.

Byłem na premierze z Weroniką i jej kolegami. Ledwie zaczynaliśmy się w coś wciągać, wzruszać, rozumieć – łup, walili po głowie, podlizujący się dyskotekowej młodzieży, twórcy. Pamiętam zdumienie młodzieży, z którą byłem w kinie. Za każdym razem pytali mnie oczyma, o co chodzi. Dlaczego reżyser nam przeszkadza? Takich bez sensu wejść klipowych naliczyłem z pięć. To razem sporo minut wyciętego, ważnego dla zrozumienia i przeżycia filmu, materiału. Nie powiedziałem tego na bankiecie Pasikowskiemu. Za mało się znamy, nie pytał mnie zresztą. Szczerze gratulowałem Rafałowi, i gry, i muzyki.

A poza tym, co w tym roku słodkiego lenistwa jeszcze? Ach, jeden dzień zdjęciowy u Bajona w jego filmie o wypadkach poznańskich 56. Jeden, ale w dobrym towarzystwie: Gajos, Kowalski, Nowicki, Radziwiłłowicz. Bardzo cenię Filipa, ale nasz wątek trochę zepsuł. Wyciął pierwsze nasze króciutkie wejście i delikatny domek z pięciu kart się rozsypał. Nie wiadomo było, o co chodzi, lub bardzo mgliście. Tym niemniej film poważny, ważny, dobrze zrobiony. Wzruszający wręcz.

Samobój w Gdyni

Festiwal w Gdyni to był skandal. Dobrze, że mnie tam nie było i nie chcę już tam bywać. To, że żurnaliści już nie wiedzą, jak zwrócić na siebie uwagę, a przestali czuć i rozumieć, to groźne dla kondycji filmu polskiego, ale idzie przeżyć. Jury się wymądrza i nie widzi powodu, żeby dać główną nagrodę, bo żaden film nie jest na miarę aspiracji i dalej takie brednie – to już nie są żarty. Miał rację Julek Machulski. Strzeliliście sobie, chłopcy i ty Ewuniu Wiśniewsko, samobója. A poza tym Julek słusznie zauważył, że w takim razie on, zwycięzca poprzedniego festiwalu, może też nie zasłużył. I tu również miał rację, bo trzy wyróżnione zaledwie filmy, Zanussiego *Cwał*, Krauzego *Gry uliczne* i właśnie Bajona, były, moim zdaniem, ważniejsze i lepiej zrobione od *Girl Guide*. Powiem więcej, choć to już bardzo subiektywna opinia, *Ucieczka z kina Wolność* ogłaszającego tegoroczny werdykt przewodniczącego jury, Wojtka Marczewskiego, to piękny film, tym niemniej *Cwał* podobał mi się bardziej. Aha! Nie mogę się tu powstrzymać i nie podać znowu za pozytywny przykład Francuzów. Gdy mieszkałem tam parę lat na stałe, cholernie mnie wkurwiali. Na każdy temat, na każdym kroku. Teraz z odległości i na tle naszego piekielka urastają mi do rangi wzoru do naśladowania. Przesadzam, jak zwykle, raz „fte”, raz „wefte”. Tym niemniej, na spokojnie zwróćmy uwagę na temat kina. Jest to jedyna kinematografia na świecie, która skutecznie, wobec własnej widowni, stawia czoło dystrybucji filmów amerykańskich. Oni, to znaczy prasa, środowisko, a za nimi publiczność, ogromnie szanują samych siebie. Mimo że arcydzieł na miarę naszego Wajdy i Kieślowskiego w ogóle tam nie uświadczysz. Bardzo są z siebie dumni. Film nie jest tam deficytowym towarem. Ich gwiazdy są dla nich ważniejsze od hollywoodzkich, a ich Cezary od Oscarów. Do głowy by tam nie przyszło, żeby nie dać głównego Cezara zwłaszcza gdyby mieli we własnej produkcji filmy rangi tych trzech naszych wspomnianych. A nie co roku im się to zdarza. Nie pozwoliliby na lekceważenie francuskiego kina ichni dystrybutorzy. Tym naprawdę zależy na rodzimej produkcji, wobec której nie musimy mieć nawet dzisiaj kompleksu. Więc kopnijcie się wszyscy krytycy, jurorzy i ty, polska dystrybucjo, w głowę!

Obywatel PRL-u czy Francuz?

Gdzieś pod koniec 96. wybraliśmy się już zupełnie prywatnie do Paryża. Trochę dla przyjemności, trochę z obowiązku. Mamy ciągle ważne karty pobytu stałego, odpowiednik amerykańskiej Green Card. Jesteśmy na statusie rezydentów. Nie wystąpiłem nigdy o paszport francuski, choć od dawna Polska akceptowała podwójne obywatelstwo, a Francja nie stwarzała żadnych problemów po pięciu latach uczciwej rezydencji, zwłaszcza z moimi francuskimi orderami. Nawet zacząłem zbierać kiedyś niezliczoną ilość potrzebnych do tego papierów, ale coś byłem za gnuśny i mi się dezaktualizowały. W momencie składania ich w prefekturze, takie metryki na przykład, nie mogą mieć daty wystawienia w Polsce wcześniejszej niż trzy bodajże miesiące. Wszystko to najlepiej wie Żeńka Priwiezieniec, ale i Wojtek Pszoniak z Basią jakoś się z tym uporali. Nie mówiąc o Andrzeju Sewerynie, ale on od razu założył francuską rodzinę. Ja widocznie nie byłem zmotywowany. W końcu własną gnuśność zacząłem sam sobie tłumaczyć, jak durny, względami ideowymi. A co to jest podwójne obywatelstwo? Ni pies, ni wydra. To niby kim jestem? I takie inne bzdury, oczywiście.

Paszport PRL-u nie ułatwiał mi życia. Wszędzie trzeba było występować o wizę. I jako rezydent francuski jeszcze każdorazowo o wizę powrotną do Francji stać w kolejce w prefekturze. Koszmar. Żeby wyjechać na przykład na dwa dni do Brukseli czy Genewy musiałem się namęczyć, nabiegać, naczekać około dwóch tygodni za każdym razem!

A lata biegły. Obywatelstwa francuskiego nie miałem, aż wybuchł rok 89 i wszystko się zmieniło. Bardzo szybko paszport Rzeczypospolitej zaczął upoważniać do przekraczania bez wiz wszystkich granic europejskich. Nie musiałem już być, dla tego praktycznego powodu, Francuzem. I chyba czuję się z tym lepiej. Choć przez lata niewątpliwie Francja była moim drugim domem. I przyjęła mnie w ciężkich czasach nadzwyczaj serdecznie i *généreusement*.

Rebonjour Paris!

Chodzimy sobie teraz uliczkami i bulwarami Paryża i jest zupełnie inaczej. Mieszkamy w „Siódemce”, czyli między Placem Inwalidów a Polami Marsowymi. Właśnie, przy Polach i przy Wieży Eiffia. Rive Gauche, czyli lewa strona Sekwany. Na prawą bliźutko. Do Champs–Elysées 15 minut piechotą. Teatr Marigny, gdzie grałem przed laty Rhetta Butlera w *Przeminęło z wiatrem*, jest właśnie na Polach. Szedłem tam zawsze pieszo, nawet trochę kluczyłem, krążyłem, żeby było dłużej. Przez Bulwar Saint–Germain, Place de la Concorde. Bo gadałem do siebie głośno cały mój francuski tekst tej ogromnej roli. Ot, taki codzienny trening artykulacji aktora grającego nie w swoim własnym języku. Dużo o tym mógłby powiedzieć Andrzej Seweryn.

A teraz jest inaczej. Nie muszę głośno gadać do siebie tekstu, w obcych językach. Nie muszę stać w kolejce z Arabami na prefekturze. Sprawy bytowo–administracyjne nie zaśmiecają mi tego pięknego miasta. Mój *conseiller fiscal*, czyli doradca finansowy, złożył już za mnie deklarację podatkową za ostatni rok. Choć właściwie tu już nie mieszkam, ale jednak film Leloucha i tantiemy z powtórek telewizyjnych. Ciekawe, doradca jest kilkakrotnie tańszy od polskich księgowych. Wiem, nie od dzisiaj, że w moim kraju panuje w tej chwili dyktatura księgowych. Zmieniające się co chwila przepisy podatkowe wymagają osobnej grupy specjalistów, którzy żyją zupełnie dobrze wyłącznie z nadążania za tymi, skutecznie hamującymi gospodarczy rozwój kraju, szaleńcami w Ministerstwie Finansów.

We Francji zmieniają się ministrowie, ba, rządy, ale nie przepisy podatkowe. Ich stabilność jest gwarancją stabilności gospodarki.

Teraz możemy cieszyć się Paryżem, w którym mieszkałem, ciężko pracując przez wiele lat. Cieszyć się jak zakochani w tym mieście, świetnie je znający, zamożni turyści. Trochę jak małżeństwo, które zakochało się w sobie na nowo po rozwodzie. Możemy iść na spacer, popłynąć *bateau mouche*, iść do kina, na zakupy, a nawet windą wjechać na szczyt wieży Eiffla, gdzie na pierwszej kondygnacji wyprawialiśmy *lunch* weselny przed prawie 20 laty. Możemy też pójść do teatru i to nam właśnie radzi nasz pośrednik handlu i wynajmu nieruchomości pan Herve. Przez jakiś czas zajmował się wynajmem naszego mieszkania przy ulicy Saint–Dominique. Ten przedstawiciel tzw. średniej klasy francuskiej, daj ją nam, Panie, w Polsce liczną i silną jak najszybciej, uważa, że pójście do teatru przynajmniej raz w miesiącu jest równie ważne jak dobry procent z dobrze sprzedanego apartamentu w „Siódemce”.

W teatrze Marigny, tam gdzie grałem *Przeminęło z wiatrem*, a przedtem Polański *Amadeusza*, a potem Belmondo *Cyrana de Bergerac*, Alain Delon i Francis Huster grają właśnie świetną sztukę Eryka Schmitta, *Wariacje enigmatyczne*. Catherine z największym trudem znajduje nam dwa bilety, mimo że sztuka jest już grana kilka miesięcy co wieczór, a teatr ma ponad tysiąc miejsc. Miło, że znajome sprzed lat bileterki pozdrawiają mnie. Siadamy. Piękna, bardzo realistyczna dekoracja. Zaczyna się przedstawienie. Huster widziałem już w teatrze parokrotnie. Bardzo dobry. Niespodzianką dla mnie, bardzo

przyjemną, jest Delon. Po raz drugi w ogóle na scenie. Pierwszy raz to było, jak wiem z programu, z Romy Schneider w reżyserii Viscontiego przed laty. Świetnie sobie radzi. To nie tylko osobowość, ale znakomita technika, nie tylko jak na aktora filmowego. Po przedstawieniu owacja na stojąco. Aktorzy wyraźnie szczęśliwi. Sztuki opowiadać nie będę. To by było bez sensu. Wiem, że mam ochotę zagrać to w Warszawie. Nawet wiem z kim.

Idziemy za kulisy. Huster wie, że jesteśmy na widowni. Chcę mu pogratulować. Wita się z nami i od razu krzyczy, jest bardzo egzaltowany:

- Musisz to zagrać w Polsce. Oczywiście rolę Delona.

Prowadzi mnie do garderoby Alaina, z którym prywatnie się nie znamy. Mówię do Zuzi:

- Pamiętasz, to była moja garderoba z *Przeminęło z wiatrem*, z widokiem na Łuk Triumfalny.

Ledwo wchodzimy Alain, po moich gratulacjach, mówi dokładnie to samo co Francis. Mam Abla, czyli właśnie jego rolę, grać w Warszawie.

- Przyjadę na premierę.

Nawet mi to wypisuje na programie. Następnego dnia jestem już w kontakcie z agentką autora i wracam z egzemplarzem sztuki do Polski. Żeby tylko w moim kraju ukształtowała się szybko ta klasa średnia, która jak mój pośrednik mieszkaniowy ma już trochę pieniędzy i w wolnym czasie spontanicznie lubi chodzić do teatru i kina.

Największa obecnie produkcja europejska, czyli Nikita Michalkow

Dosłownie w listopadzie 96. udzieliłem dużego wywiadu Januszowi Miliszkiwiczowi z magazynu „Auto Motor Sport”. O samochodach też tam było parę zdań. Ale przeprowadzający wywiad dziennikarz poruszył bardzo wiele tematów i wyszło dosyć prawdziwie, i interesująco. Cytuję jego pierwsze pytanie i moją odpowiedź, bo potrzebne mi to jest do dalszego wątku wspomnień. Cytuję z jego wstępem, bo jak każdy aktor, jestem ciągle trochę próżny i lubię, jak mnie publicznie chwala.

„Blaszany bębenek” Schlöndorffa, w którym w 1978 roku grał jedną z głównych ról, dostał Oscara i Grand Prix w Cannes. „Potop”, „Ziemia obiecana”, „Panny z Wilka”, w których kreował główne role, to arcydzieła światowego kina, uhonorowane nominacją do Oscara. Zagrał w kilkudziesięciu zachodnich filmach, u najlepszych zachodnich reżyserów. Zajął pierwsze miejsce w plebiscycie na Najlepszego Aktora Roku w Japonii. Grał role, o jakich marzą najwięksi artyści. Przez 10 lat był ulubieńcom publiczności w Teatrze Narodowym w Warszawie. Jego kreacje w polskich filmach budziły zażarte i długotrwałe, ogólnonarodowe spory. A dziś stroni od prasy, telewizji, odmawia grania. Dlaczego?

–Z czego pan żyje? Nie widać pana w teatrze, rzadko występuje pan w filmie. Czerpie pan z oszczędności?

– Ci, z którymi chciałbym pracować, nie proponują mi pracy. Fellini nie żyje, Bergman nie robi filmów, Kurosawa pewnie mnie nie pamięta. Nikita Michalkow, mój przyjaciel od 30 lat też nic mi jakoś nie zaproponował. Bardzo chciałbym z nim pracować, ale on być może boi się, że byśmy się strasznie pokłócili na tematy polityczne albo po prostu nie widzi mnie w swych planach.

[Auto Motor Sport, Nr 2, luty 97]

Magazyn ten ukazał się w lutym i wtedy już wiedziałem, że jeden z najwybitniejszych reżyserów dzisiejszego kina i mój od lat przyjaciel zaprosił mnie do udziału w swoim filmie. Zadzwonił do mnie tuż przed Bożym Narodzeniem, przed Sylwestrem miałem już scenariusz w wersji rosyjskiej i angielskiej w domu. Tytuł zapowiadający lekkość i dowcip scenariusza. Znana opera Verdiego nosi tytuł *Cyrulik sewilski*. Nikita zatytułował swój film *Cyrulik syberyjski*. Po angielsku, bo główne role grają obok Rosjan i mnie, anglosascy aktorzy. Angielka, obecnie gwiazda amerykańskich produkcji Julia Ormond i wielki aktor angielski, przepraszam, wściekłyby się, irlandzki, Richard Harris. Moja rola, właściwie napisana przez Nikitę dla mnie, to zubożały arystokrata rosyjski, polskiego pochodzenia, Kopnowski. Większość scen mam z Julią i Richardem, więc będę grał głównie po angielsku.

Na razie Boże Narodzenie

W Podkowie, w domku, za stołem siostra mojej matki, Irena, Krzysztof, Lopiccy i nasza trójka. Przedtem z wnukami, Rafałem i Agatą u Moniki i Andrzeja Kopiczyńskiego. A jeszcze przedtem, jak zwykle, u Anny Marii Chrzanowskiej, córki mojego przyjaciela, reżysera Andrzeja Chrzanowskiego, w Konstancinie. To moja chrzestna córka. Zuzia ma nowy samochód na gwiazdkę. Śliczny, zielony opel corsa. Odbieraliśmy go w połowie grudnia, w Olsztynie, na stacji Opla u panny Beaty Bublewicz. Córka słynnego rajdowca, który zginął parę lat temu, prowadzi z niezwykłym profesjonalizmem i wdziękiem tę stację.

Pamiętam, jak przed laty wybawiła mnie z kłopotów z nissanem.

Jechaliśmy z *Listami miłosnymi* do Olsztyna. Przedstawienie miało być grane w Teatrze Jaracza o godzinie 17.00. Był bardzo silny mróz, a ropa w moim dieselku na pewno nie zimowa. Koło Płońska stanęliśmy, patrol nie chciał dalej jechać. Andrzeja –mistrza oświetlenia – posłaliśmy autostopem do Olsztyna. A my z nissanem, na platformie pomocy drogowej, podążaliśmy z wolna za nim. Dotarliśmy do teatru za pięć siedemnasta. Wszystko było gotowe. Jeszcze raz się udało. Zadzwoiłem do panny Beaty do domu. Była to sobota wieczorem. Poderwała swoich pracowników, wzięli patrola na noc do warsztatu. Odchuchali go. Rano wymienili paliwo. Pojechaliśmy dalej. Teraz odebraliśmy opelka z szampanem na dachu, obwiązane śliczną kokardą.

Na Sylwestra jedziemy nim w Bieszczady, do pięknego ośrodka w sercu gór. Dwie autorki scenariusza *Metra*, siostry Miklaszewskie, Maryna i Agata. Maryna z mężem, architektem, Olkiem Chylakiem. Agata bez Sławka Idziaka. Nasz przyjaciel, Marcin Osowski, rajdowiec, malarz, architekt, z żoną Beatką, nie pamiętam jeszcze kto. Bieszczady zasypane cudnie śniegiem. Są oczywiście kuligi. Marcin daje mi lekcje poślizgów kontrolowanych po krętych, zaśnieżonych górskich drogach, samochodem z przednim napędem. Tylnym umiem to od dawna. Uczyli mnie w latach 70., tacy mistrzowie, jak Stasio Dalka, Robert Mucha i sam Sobiesław Zasada. Przednim właściwie nie jeździłem nawet prywatnie. A to jednak w poślizgach zupełnie inaczej. Lewa noga musi być nad lub na hamulcu, prawa cały czas na gazie. Przyczepność, kontrolowanie zrywa się hamulcem i gazem. A potem już tylko kontry kierownicą.

Na długim spacerze 1 stycznia mam w głowie wsteczną projekcję minionego roku. O czym tu nie wspomniałem? Śmierć Krzysztofa Kieślowskiego, którą poza najbliższymi mu ludźmi głębiej przeżyły środowiska filmowców na całym świecie niż w Polsce. Niestety. Co jeszcze? W 95. kupiłem prawa do wykonania monodramu według opowiadania Andrzeja Stasiuka *Opowieść jednej nocy* z tomu *Mury Hebronu*. Jestem zachwycony jego niezwykłym talentem, porównywalnym do Hłaski czy Stachury. I drapieżnością tej prozy. Przez wiele miesięcy próbowałem się przymierzyć do aktorskiej tego interpretacji. Nie dałem rady. Chyba to jest literatura, którą można tylko z wewnętrznym wstrząsem przeczytać.

Ze zobowiązań finansowych wobec utalentowanego pisarza wywiązałem się, oczywiście, przed końcem 96. No cóż. Pomogło mu to, mam nadzieję, wybudować cywilizowany domek właśnie w Bieszczadach. Przedtem mieszkał z żoną i córeczką bez elektryczności i kanalizacji.

Mój podziw dla jego talentu na coś się przydał. Niech te pieniądze traktuje jako nagrodę literacką ufundowaną przeze mnie. A może jeszcze coś razem zrobimy.

Co jeszcze miłego zawodowo spotkało mnie w minionym roku? Na pewno radość, jaką mi sprawił, powrócony z prezesury telewizji na artystów łono, Janusz Zaorski. Zafundował mi piękną rolę, w bardzo dobrej sztuce Harwooda *Odbita sława*, świetnie przetłumaczonej przez Michała Ronikiera. Pierwszy raz miałem przyjemność pracować kilka tygodni z Januszem Gajosem. Wspaniały artysta i kolega. Bardzo się w czasie tej pracy cieszyłem, że nie jestem na etacie w żadnym teatrze i nie robię kilku *rzeczy* naraz.

Do Teatru Rozmaitości, gdzie nagrywaliśmy to telewizyjne przedstawienie, jeździłem tej jesieni codziennie na rowerze. I przyjemniej, i szybciej. Grała też Krysia Janda, Artur Żmijewski i syn mojego Leartesa w *Hamlecie* Hanuszkiewicza przed laty, Grzegorz Damięcki. W dobrym towarzystwie zawsze miło.

Nobel dla pani Wisławy

Radości co niemiara. Wysłaliśmy z Zuzią telegram: „Pani nagroda przywraca wiarę w sprawiedliwość losu”. Nie wiem, czy w lawinie listów, telefonów i telegramów zwróciła uwagę na ten od nas. Parę lat temu miałem w dokumentalnym filmie Antoniego Krauze przeczytać z *off*”u jej wiersz o Baczyńskim *W biały dzień*. Wiem, że najlepiej wiersze recytują bardzo często sami ich autorzy. Wspaniale przekazują ich sens i formę. Aktorzy często przeinterpretowują, ozdabiając pustymi emocjami. Zadzwoiłem do pani Wisławy do Krakowa. Przedstawiłem się. Powiedziałem, o co chodzi i poprosiłem nieśmiało, aby mi przez telefon swój wiersz przeczytała. Poczulem ciepły uśmiech w słuchawce. Za chwilę poetka prościutko przekazała mi nieskazitelnie swój utwór. Postarałem się na nagraniu nic nie zepsuć. Zmieniłem w ostatniej linijce jedną powiedzmy *synkopę* –zawieszenie głosu, za jej zresztą zgodą. Parę tygodni potem, w styczniu 94 otrzymałem jej *collage* z wycinków prasowych ułożonych w zabawne poetyckie życzenia noworoczne. Ach, ten Nobel. Jak to przeszkadza. Sama laureatka miała z nim sporo kłopotów. My zaś, jej wielbiciele od tylu lat, mieliśmy swoją ukochaną poetkę, intymnie, tylko dla siebie. A teraz... w gazecie „Wyborczej” przeczytałem, cytuję z pamięci, następujące wiadomości: „*Lampka szampana i próbka poezji*”: *Posłowie PSL chcą zaprosić Szymborską na szampana do sali Kolumnowej w Sejmie, żeby uczcić Nobla. Proponują, żeby laureatka zaprezentowała próbkę swojej poezji*. Na pytanie dziennikarza, co na to poetka? – *Najpierw musimy to przegłosować. Jak głosowanie wypadnie pozytywnie, natychmiast ją powiadomimy*. No właśnie. Teraz musimy my, intymni czytelnicy, dzielić się Szymborską. Nawet z posłami PSL.

Oczywiście *collage* od pani Wisławy wisi u mnie na ścianie oprawiony w ramki. Ale oprawiłem go dopiero wtedy, kiedy dowiedziałem się, że dostała Nobla...

Przełom stycznia i lutego

Nie mogę jechać na urodziny Wiktora do Nowego Jorku. Muszę do Moskwy. Próby kostiumów i charakteryzacji do filmu Nikity. Umowę ze studiem Michałkowa, zawiera w moim imieniu Krystyna. Sprawdziła się w bojach z polskimi produkcjami, nie widzę więc powodu, żeby prowizje zgarniała, jak dotąd, w dolarowych kontraktach Catherine z „Armedia” w Paryżu czy Paula z Rzymu.

W Moskwie, w „Mosfilmie”, charakteryzatorka Larisa, lepi mi brodę i wąsy i zostawia moją 50–letnią mordę w spokoju.

Przyjeżdża Nikita Siergiejewicz, całuje mnie na dzień dobry. A zaraz potem ryczy:

– *No czto, wy sliszkom krasimy, sliszkom maładoj.*

I zaczyna pilnować, żeby Larisa zrobiła ze mnie zużytego przez życie i alkohol, no tak mniej więcej 60–cioparolatka, ze sztucznym, na dodatek, brzuszkiem. Nie mogłem się powstrzymać od uwagi, że ciągle jeszcze robiący w kategorii dojrzałych amantów Nikita, jest po prostu zazdrosny o moje powodzenie u rosyjskich kobiet i chce mnie trochę *unicztożyć*. Ale oczywiście ma on rację. I już się cieszę na zmierzenie się z ostrą, charakterystyczną rolą w jego filmie.

Weronika ma zimowe ferie w szkole. Musimy przywieźć jakieś meble i obrazy z Paryża. Przedtem festiwal filmów węgierskich w Budapeszcie. Otwiera film z moim udziałem. Więc jedziemy w trójkę nissanem patrolem. Do Paryża przez Budapeszt.

Pierwszy postój i nocleg w cudnym Krakowie. Na kolację wybieramy się do restauracji „Chimera”, tuż przy Rynku. Nie jest to sezon turystyczny. Restauracja puściutka. Przy długim stole siedzi jedna osoba, Krystyna Zachwatowicz. Po paru kwadransach pojawia się i Andrzej Wajda. Właściwie widać, że mieszkają teraz bardziej w Krakowie niż na warszawskim Żoliborzu. Z Andrzejem w ostatnich latach rzadko się widzimy. Niestety, nie pracowaliśmy razem już bardzo dawno, jeśli nie liczyć krótkiego spotkania przy *Kolumbie*.

A parę tygodni wcześniej 20–lecie premiery *Ziemi obiecanej* w Łodzi przypomniało nam wszystkim, do czego byliśmy zdolni, jak byliśmy młodzi. On za kamerą, my przed. My, to nie tylko Pszoniak, Seweryn i ja. Andrzej i Wojtek przyjechali zresztą specjalnie na to łódzkie święto z Paryża. Wszyscy występujący tam aktorzy w rolach drugoplanowych mogliby być kandydatami na Oscary w tej właśnie kategorii. Film nasz był przed laty nominowany do Oscara. Nie dostał go, przypuszczam, że dlatego, iż dopatrywano się w nim antysemitycznych wątków. No cóż, ten niezwykle inteligentny naród żydowski ma też swoich niegdyś Porebów i Filipskich, a obecnie Rydzików, Jankowskich, Cejrowskich. Wielki film nic się nie zestarzał, jeśli już, to jak dobre wino.

Mówimy z Andrzejem, że można by taką rocznicę zrobić również nominowanym kiedyś do Oscara *Pannom z Wilka*. Na przykład w moim Drohiczynie, gdzie też był kręcony. Wracając do hotelu w Przegorzałach taksówką, a właściwie prowadząc taksówkę, bo kierowca nie umiał po oblodzonej drodze podjechać, myślę sobie: – Z tym Andrzejem to dziwne. Fajnie wygląda. Widać, że jest szczęśliwy. Prywatnie, bardzo dobrze. Ale ja bym chciał, żebyśmy byli wszyscy szczęśliwi z jego twórczości. Niebywałą osobowość musi mieć ta

Zachwatowicz, która zastąpiła Andrzejowi krąg przyjaciół i wykuła Andrzejowi inny rodzaj szczęścia. On już może chodzić po Rynku krakowskim niemal w kapciach. Ja sam do czegoś takiego tęsknię. Ale jednego aktora można zastąpić drugim. Wajdę – trudniej. Poza tym, żeby ode mnie ze wsi wyjść na Rynek w Kazimierzu, muszę zdjąć kapcie, żeby dosiąść konia.

Nad pięknym, modrym Dunajem

Następnego dnia przez trzy granice, czeską, słowacką, węgierską jedziemy do Budapesztu. Oznakowanie w Czechach już europejskie. W Słowacji groza. Kompletnie nie wiadomo, jak jechać. Znak tranzytu i granicy czytamy na 6 kilometrów przed granicą. Ciągłe trzeba patrzeć na mapę lub dopytywać się spotkanych ludzi. Wreszcie Budapeszt. Organizatorzy lokują nas w starym, pięknym hotelu w śródmieściu. Na kolację idziemy piechotą do słynnej od lat restauracji „Matias”. Kiedyś dla Polaków był to szczyt atrakcji kulinarnych. Teraz, gdy już jeżdżą po całym świecie, gwiazda „Matiasa” wyraźnie przyblakła. Jedzenie ciężkie, atmosfera też. Lepiej już można zjeść na przykład w Warszawie i w Krakowie.

Następnego dnia od wczesnego rana nie kończące się wywiady na temat filmu *Ucieczka* w reżyserii Livii Gyarmathy. I co sądzę o tym lub o tamtym. Jest to męczące, bo wszystko mogłaby załatwić dobrze zorganizowana i prowadzona konferencja prasowa. Dziennikarze jednak, jeśli się już da, wolą *zawsze* intymny kontakt w cztery oczy. Tu się dają, bo nie mam nic innego do roboty. A próżność łechce miło fakt, że ciągle mnie tu znają, lubią i szanują. No więc wymądrzam się, ile wlezie. Wieczorem galowa premiera. Obok mnie w filmie występuje mój trochę młodszy polski kolega, Krzysztof Kolberger i dużo młodszy Artur Żmijewski i Darek Kurzelewski w głównych rolach.

Film opowiada o czasach terroru i zbrodni komunistów na Węgrzech we wczesnych latach 50. Na płaskim i niedużym terytorium Węgier, gdzie w ogóle trudno coś lub kogoś ukryć, wyznawcy przodującego systemu potrafili ukryć sporo obozów koncentracyjnych. Tak dobrze, że poza władzami nikt o nich nie wiedział. A najbliżsi nie mieli pojęcia, co stało się z zaginionymi, z dnia na dzień, tysiącami ludzi. Film ten, mimo że zrobiony i zagrany dobrze, nie wstrząsnął mną. Dużo podobnych widziałem, mimo że o komunistycznych zbrodniach ciągle się wie za mało.

Tu posłance Sierakowskiej Izabelli z SLD, trudno byłoby się wdać ze mną w dyskusję, kto wyrządził w naszym cudnym XX wieku więcej zbrodni, faszyci czy komuniści. Oczywiście, szanowna towarzyszeko, że komuniści. I wyrządzają je na oczach całego świata nadal, gdy tenże świat już dawno osądził faszyzm, a faszystowskich przywódców przykładnie i słusznie powiesił.

W filmie zabrakło mi jednak pogłębienia pewnej myśli uniwersalnej. Otóż, zawsze znajdują się w każdej rasie, cywilizacji i kulturze ludzie–bestie, zdolni, z całym przekonaniem, wręcz z ideowo–sadystycznym szczęściem, popełniać zbrodnie na innych. A inni to przeważająca większość wszystkich narodów. Tylko tej zbrodniczej mniejszości trzeba dać nie kontrolowaną demokratycznie władzę. Od *kapo* obozowego począwszy, a skończywszy na głowach państw.

To nie jest mój ulubiony dramaturg. Powiem może tak, Bertolt Brecht nie jest moim ulubionym dramaturgiem, głównie z powodu jego obłudy politycznej. Wiedział świetnie o zbrodniach komunistów, również w jego własnym kraju, gdzie osiadł dopieszczony przez

władze po II wojnie światowej. Bertolt Brecht nie miał odwagi porwać się piórem na czerwonych zbrodniarzy. *Kariere Artura Ui* kończy za to genialnie i uniwersalnie:

*Niech więc triumf przedwczesny do głów nie uderza,
płodne jest ciągle łono, co wydało zwierza.*

A nic nie zapowiadało nieszczęścia

Następnego dnia ruszamy dalej. Na Wiedeń, południe Niemiec i do Paryża. Pogoda piękna. Telefon nie dzwoni, bo go w samochodzie na szczęście nie mam. Zuzia i Weronika nie wiszą więc na nim kwadransami. Możemy wreszcie porozmawiać między sobą lub pomilczeć na jakiś ciekawy temat. Jest pięknie, nic nie zapowiada nieszczęścia. Z nieszczęściem to na pewno przesada, ale nie udało mi się uniknąć pewnych przykrości i kłopotów, które dopadły nas po drodze.

Najpierw na Węgrzech. Drobne, finansowe. Nie chciałem już kupować forintów, bo do granicy niedaleko. Muszę jednak zatankować. Pytam w recepcji hotelu, czy na stacjach przy autostradzie akceptują karty kredytowe, gdzie kurs wymiany na pieniądze lokalne jest stały i uczciwy. Oczywiście, zapewniają mnie. Zajeżdżam na pierwszą stację, bodajże Shella. Wyjmuję American Express, Visa. Niestety, nie. Nie zaopatrzyli się jeszcze w potrzebne do tego maszyny. Jest mi to nie na rękę. Mam w gotówce tylko banknoty studolarowe. Nie potrzeba mi tyle forintów na benzynę. A oni w dolarach nie mają mi z czego wydać. Mówią po angielsku, że to żaden kłopot, bo u nich kurs jest taki, że 100 dolarów to będzie mniej więcej pełny bak mojego nissana. Oniemiałem. Tak jak pewnie i Ty, Czytelniku, który się na cenie ropy i kursie dolara znasz. Czysty rozbój na pięknej drodze. Nie mam czasu i paliwa żeby wracać do Budapesztu. Policjanta nie zawołam, bo się nie dogadam. A poza tym choć Polak–Węgier dwa bratanki, to może tutaj tak wygląda wolny rynek i uwolnienie cen.

Jadę dalej do granicy austriackiej. Tam już pełny Zachód. Zasiedziały kapitalizm. A więc jakieś uczciwe, kontrolowane reguły gry. Policja graniczna i celnicy miło i króciutko mnie odprawiają. Z uśmiechem życzą mi, po angielsku, szerokiej drogi.

Przypomniałem sobie ich uśmiechy już po kwadransie. Musieli być w zмовie. Po 15 minutach spokojnej jazdy widzę, że policja drogowa zatrzymała na poboczu jakiegoś cudzoziemca, pewnie za szybkość, myślę sobie. I dalej jadę przepisowo, 120 km na godzinę. Chwilę potem wóz policyjny zrównuje się ze mną. Widzę przez szybę niezwykle radosne miny funkcjonariuszy.

– Patrz, jak się cieszą, na pewno z mandatu, który wlepili temu Węgowi – mówię do Zuzi. – Chyba są na jakimś procencie czy premii.

Policja wyprzedza mnie. Za chwilę każe mi zjechać na pobocze.

– Ki diabeł – głośno myślę sobie.

Okazuje się, że nie mam na szybie tzw. winietki upoważniającej mnie do przejazdu autostradą austriacką. Winietki takie są już w wielu krajach europejskich. Za każdym razem o konieczności wykupienia ich informuje kulturalnie policja graniczna bądź celnik. W Austrii, jeszcze w ubiegłym roku nie były konieczne. Wiedziałem o tym, bo przejeżdżałem tamtędy tranzytem. Próbuje tłumaczyć policjantowi, że winny jest jego kolega na granicy, który wbrew świetnie mu znanym przepisom pozwolił nam wjechać na autostradę austriacką. On wie o tym, ale jest tu po to, żeby w zмовie z granicznymi ścigać od takich jak ja po 100 dolarów. Tyle kosztował mandat. Zachowałem go. Może kiedyś austriacka ambasada zwróci mi pieniądze z ewidentnego rozboju ich policji. Tak powiedziałem swoim kobitkom, ale mimo

pieniackich skłonności, sam nie wierzyłem w to, że po jakimś czasie będę chciał się o coś wykłócać.

Nissan wybrał Karlsruhe

W połowie Niemiec zapada zmrok i raptem coś mi zaczynają słabnąć światła. Również na tablicy rozdzielczej. Przechodzi mnie mrowie, bo wiem, co się stało. Musiał wysiąść alternator, czyli elektrownia mojego nissana. Miał prawo po takim przebiegu, 180 tysięcy kilometrów. Wiem, że reflektory czerpią teraz prosto z akumulatora. Jazda nocą musi się skończyć jego wyładowaniem i rozkraczeniem się na autostradzie niemieckiej. Chcę dotrzeć za wszelką cenę do niedalekiej już Francji, gdzie mogę się porozumieć i czuję się jak w domu. Prawie mi się to udaje, ale tylko prawie. Gdzieś tuż pod Karlsruhe, 50 czy 70 km od granicy, przestaję widzieć nawierzchnię przed sobą i – co jeszcze bardziej przerażające – ogromne, jadące za mną po moim pasie TIR-y nie mogą widzieć mnie, chyba że w ostatniej chwili, gdy na hamowanie może być za późno. Skręcam w *Ausfahrt* z autostrady prowadzącej właśnie na przedmieścia Karlsruhe. Na szczęście jest z górki, bo silnik już gaśnie na dobre i toczę się na luzie. Dotoczyliśmy się do oświetlonej bocznej uliczki. Zostawiam dziewczyny w samochodzie i idę szukać jakiegoś ratunku, prawie w niego nie wierząc. Jest sobota, 0.00 w nocy. Pusto i bardzo podmiejsko. Wracam do samochodu. Początek nadziei. Zuzia złapała jakiegoś, cudem przejeżdżającego na tym pustkowiu, taksówkarza. Taksówkarz wie o czynnej całej dobie, nawet z soboty na niedzielę, ratunkowej stacji serwisowej.

Dalej już prościej. Przyjeżdża pomoc z tej stacji i transportują mi patrola na stanowisko. Oczywiście, alternator definitywnie *kaput*. Trzeba go wymienić w stacji autoryzowanej nissana, która, o dziwo, jest też niedaleko. Ale ta stacja będzie otwarta dopiero w poniedziałek. Zostawiamy samochód, któremu trzeba ładować przez noc akumulator. Bierzymy walizy i jedziemy do centrum, gdzie czeka na nas zamówiony przez telefon hotelik.

W niedzielę rano wsadzam dziewczyny w pociąg do Paryża. Sam muszę tu czekać jeszcze dobie. Więc przynajmniej niech się one nie męczą.

Wychodząc z dworca, dosłownie wpadam na wybitnego koleżkę niemieckiego. (Udo Same), znakomity odtwórca roli Schuberta, któremu partnerowałem w austriackim filmie o tym kompozytorze. Nie widzieliśmy się kopę lat. Jego obecność na dworcu, w nie tak dużym mieście niemieckim jest jakoś zrozumiała, wraca do Berlina z trasy koncertowej, wiersze i pieśni właśnie Schuberta. Ale on na mój widok oniemiał.

Po powrocie do hotelu próbuję skorzystać z cudownej podobno, tak się reklamują, możliwości mojej Gold American Express. Ma ona właściwości, poza oczywiście kredytowaniem mi wszelkich płatności, również ubezpieczenia samochodów w rodzaju Europa Assistance. To znaczy, że gdy coś mi się dzieje na trasie z autem i nie mogę dalej jechać, transportują mi je, opłacając hotel, a nawet dowożą do celu podróży. W folderach figuruje, że jak trzeba, to nawet helikopterem. Dzwonię pod numer ratunkowy do mojego centrum karty w Paryżu. I znowu kolejny kop od losu w tej podróży. Odpowiedzialna osoba informuje mnie, że owszem, ale tylko wtedy, gdybym miał wypadek. Opieka finansowo-usługowa nie obejmuje mnie w przypadku zepsucia się części pojazdu. Nic z tego nie rozumiem. Radzę natomiast wszystkim tak ubezpieczonym, żeby w podobnej sytuacji

spróbowali jeszcze zepchnąć swój samochód czołowo na drzewo, w celu niezbędnego pęknięcia chłodnicy, na przykład.

W poniedziałek o świcie gnam na stację. A potem znów z patrolem na platformie do autoryzowanego serwisu. Właściciel rozkłada ręce. Nie ma alternatora. Ściągnąć go może dopiero na następną dzień. Jęknąłem.

– Ale wiesz – mówi łamaną angielszczyzną – akumulator masz teraz naładowany, możesz spróbować dojechać. W dzień, gdy nie pada i nie musisz nawet używać wycieraczek, bateria nie zdechnie. Możesz dojechać do Paryża.

– To czemu mi tego na stacji nie powiedzieli? Przez noc mi naładowali i mogłem jechać wczoraj z rodziną.

– Każdy chce zarobić – uśmiecha się chytrze. – Następną dobą na stacji, następny transport. Zarobiła niemiecka stacja i niemiecki hotelarz za twoją drugą dobę. Zarobiłbym i ja też, gdybym miał alternator. A tak, to zyska francuski kolega.

Chciałem mu posłać wiaczkę w języku Goethego, bluźnić umiem w kilkunastu językach, ale cóż, był, jak umiał, szczery i w tej sytuacji dobrze poradził.

Wsiadłem i zapaliłem bez problemu. Dojechałem. Potem w Paryżu złamałem obietnicę daną Weronice. Po tylu stresach i uszczupieniu wydatnie mego konta walutowego, nadużyłem ulubionego białego wina. A na dodatek nowy alternator kosztował prawie tysiąc dolarów. Ciekawa, pouczająca wycieczka.

Do Moskwy, do Moskwy

Następna moja podróż to w kierunku marzeń *Trzech siostr* Czechowa. Do Moskwy, do Moskwy. Nie powiem, żeby samo miasto było celem moich marzeń. Ale teraz celem jest film z Nikitą Michałkowem, a tego naprawdę od dawna bardzo pragnąłem. Lot do Moskwy. Potem jazda do centrum przypomina mi kolejny raz, jak dużo tu przeżyłem.

To tu byłem pierwszy raz za granicą, 20-latek, z Beatą i Andrzejem, na prezentacji naszych *Popiołów*. A parę miesięcy potem moje pierwsze Cannes. Miałem w tej Moskwie *zawsze* wspaniałych przyjaciół. Ciągłe mnie tu gorąco przyjmujących, nawet do dzisiaj, rosyjskich widzów też. Miałem naprawdę szczęście, że do grona przyjaciół poza Nikitą, zaliczyć mogłem Bułata Okudźawę, Wołodię Wysockiego, Kieszę Smoktunowskiego i całą plejadę wspaniałych aktorek, aktorów i reżyserów, i to z różnych nieraz pokoleń. Krytyków filmowych, takich jak Mirona Czernienkę i Irinę Rubanową czy nieżyjącego już Kaplera. Ten ostatni przeprowadzał ze mną ze dwa czy trzy razy wywiady do swojego bardzo popularnego programu telewizyjnego.

Niezwykła postać. Gdy był młody, zakochała się w nim córka Stalina, Świetlana. Kochający tatuś zesłał za to Kaplera na parę lat łagra. Zrobił to z czułością pewną, bo przecież mógł zlikwidować. Jak w jednej z tych osobliwie satyrycznym stylem wysławiających Lenina przypowieści Zoszczenki „Jak dobrym był Włodzimierz Ilicz”: „Idzie sobie Lenin, idzie, za nim biegają dzieci i radośnie wołają: „Towarzyszu Lenin, towarzyszu Lenin”. Włodzimierz Ilicz przystanął, obejrzał się i powiedział: „Spierdalajcie dzieci”. A przecież mógł je rozstrzelać”.

Koniec cytatu.

Wiozą mnie teraz wytworną limuzyną ulicą Twerską. To historyczna nazwa, potem był Prospekt Gorkiego, no i z powrotem, jak to i u nas. Jadę i jadę, i śmiać mi się chce, że w latach 80. w ogóle nie mogłem tu przyjeżdżać. Nie można było nazwiska Wajdy i mojego wymieniać w mass mediach. Jako groźnych przeciwników systemu. Cha, cha, cha!

Tak się tym przejęła pewna szefowa polskiej kinematografii, że już w czasach Michaiła odmówiła włączenia mojej osoby w skład naszej delegacji na festiwal. Tłumaczyła mi biedaczka, że nie życzy sobie tego właśnie Moskwa. Śmiać mi się chciało, bo miałem w domu zaproszenie, jako gość honorowy, od przewodniczącego Związku Filmowców Radzieckich, Klimowa. A naszą szefową chciałem tylko przetestować. Zresztą pragnąłem, żeby było normalnie. Moje naturalne miejsce powinno być w polskiej delegacji, a nie jakiś tam honorowy.

Klimow już na sali festiwalowej, witając mnie przed publicznością, która oklaskiwała mnie na stojąco, powiedział coś mniej więcej takiego:

– Daniela parę lat nie witaliśmy tutaj, wszyscy wiemy, dlaczego. A ty widzisz, jak cię wita nasza publiczność. Co to znaczy? *Szto lubwi zapresztit nieizja*. Miłości nie można zakazać.

Rozglądam się przez okna. No, zmiany duże. Widać rozmach i pieniądze. Drogie magazyny, banki, pełne wystawy. Odnowione fasady starych, okazuje się pięknych, domów.

Kierowca mi objaśnia, że wnętrza są remontowane w imponującym stylu i że metr kwadratowy *tu stoi* i 3 tysiące dolarów.

– A kto je ma? – pytam.

– Jak to kto, *bandity*. A kto uczciwy może mieć? Pewnie dużo racji, myślę, ale okazuje się potem, że limuzyna amerykańska kupiona z drugiej ręki, piękna bardzo, jest jego własnością. A nie wygląda on na *banditę*. Zarabia nią jako mój dyspozycyjny kierowca, często 12 godzin z czekaniem, w produkcji Michałkowa.

Podjeżdżamy pod hotel. O kurwa! Monumentalna budowla w dość przyzwoitym, choć ponurym stylu. Wszystko można o niej powiedzieć, tylko nie to, że jest przytulna. Wnętrze, do którego dostajemy się przez portiernię z kontrolującymi policjantami, też czarowne nie jest. Dowiaduję się wkrótce, że to rodzaj hotelu rządowego. Zatrzymują się w nim delegacje rządowe najwyższego szczebla.

I w Moskwie, i w Moskwie

W czasie pięcioletniego mojego tam pobytu przeżyłem wizyty premierów: Japonii, Izraela, Indii, wraz ze sztabami i osobami towarzyszącymi. A pod koniec marca uroczysty zjazd wszystkich delegacji państw wchodzących w skład byłego Związku. I to był największy cyrk. Kordon sprawdzaczy przepustek hotelowych był już potrójny.

Obecnie widać, że zjeżdżają tam również biznesmeni, chcąc się czuć ważnie i w miarę bezpiecznie. Na parkingu hotelowym trudno wypatrzeć auto poniżej BMW. Nikita załatwił zakwaterowanie ekipy jakimiś swoimi ważnymi kanałami, jako najważniejszy oczywiście artysta tego kraju. Gmaszysko ogromne, więc zawsze wolne miejsca są. Ze zdumieniem szybko stwierdzam, że mieszkająca tu rosyjska część ekipy, asystenci, operatorzy i wielu aktorów to moskwić. Na ile usprawnia to pracę i codzienny transport na plan w tym ogromnym mieście, a na ile car Nikita lubi mieć dwór cały przy sobie, nie umiem sobie odpowiedzieć. Ekipa, tak jak produkcja, jest międzynarodowa. Poza Rosjanami najwięcej tu Francuzów. Przyjemną dla mnie niespodzianką było spotkanie Romana Szuszyńskiego, świetnego polskiego szwenkiera, który dzielnie i tu łódką szkołę operatorską rozślawiał.

W hotelu, *nomen omen*, pod nazwą „Prezydent” przypadł mi apartament, który mógł gościć prezydentów co najmniej Mongolii czy Kazachstanu. Parę obszernych pomieszczeń. Można by jeździć na rowerze. Pierwsze dni wolne. Spaceruję trochę po Moskwie. To jakieś 2–3 kilometry od Kremla, może nawet mniej. Po drodze ponure, szare gmaszysko, socjalistyczna architektura, jeszcze sprzed wojny. To cieszący się tragiczną sławą *Dom nad Maskwoj riekaj*. Luksusowe apartamenty. Mieszkała tu cała wierzuszka partyjna, wojskowa, również artystyczna, jak Aleksandrow, Dunajewski, przedwojennego Związku. Pod złotym okiem „gospodarza”, w sensie dosłownym. Dom świetnie widać z Kremla. Znaczna część lokatorów nie kończyła śmiercią naturalną.

W czasach czystek stalinowskich zajeżdżały tu nocami czarne auta. Siepacze NKWD wywlekali z mieszkań czasami całe rodziny dostojników. Niektórzy woleli skakać z okien. Lub palili sobie w łeb z pistoletu.

Na frontonie domu widnieją płaskorzeźby popiersi wielu z nich. Przeważnie napis głosi: „mieszkał w tym domu do 1937 lub 1938”. Jak na przykład marszałek Tuchaczewski. Ponure płyty cmentarne.

Okolice Kremla natomiast już zaczynają żyć. W nocy cudownie podświetlone złote kopuły licznych cerkwi i soborów. Moskwa szykuje się do obchodów 850-lecia. Widać to i widać duże pieniądze, niestety, nie zawsze wydawane z sensem.

W okolicach mojego hotelu stoi coś monstrualnego, potworny kamienny Guliwer na statku. Bardzo realistyczny. Wielkości kilkunastu pięter. Wyduśłem od przyjaciół, co to jest, bo się trochę wstydzili. Projekt tej rzeźby przedstawiał miał odkrywca Ameryki, Krzysztofa Kolumba i stanął do konkursu na tę rzeźbę w USA. Oczywiście nie wygrał. Ktoś z ważnych w Moskwie, może sam mer, uznał, że przyda się jak znalazł w rosyjskiej stolicy jako ni mniej, ni więcej tylko imperator Piotr Wielki. A co! Kostium i epoka trochę inna, ale to drobiazg. Robi wrażenie. I to jeszcze jakie. Oczywiście kupienie projektu kosztowało miliony dolarów.

Wzniesienie tego straszysła jeszcze więcej. No i straszy, a zasłonić trudno. Ale co tu będę wybrzydzał. Nie po to przyjechałem.

Przepraszam, że „gospodarz” piszę z małej litery. Chodzi o Stalina. Boję się Wysockiego. Kiedyś wioząc mnie i aktorów Teatru Narodowego do siebie, a mieszkał wtedy prawie pod Moskwą, pokazał rodzaj bunkra otoczonego drzewami.

– Tu *zdoch* Stalin – warknął.

– Tutaj, w dacy umarł Stalin – przetłumaczyłem łagodnie. Pisk opon. Wołodia zahamował.

- Tłumacz dokładnie – zaharczał – powiedziałem: *zdoch!*

„Gospodarz” było słowem prawie służbowym – Wysocki napisałby je z małej litery.

Mój kochany Nikita

Przyjechałem i realizuję pragnienie zawodowo–ludzkie, które towarzyszyło mi prawie 30 lat. Nikita też zresztą nieraz o tym myślał i mówił, ale się nie składało. Trudno, żeby mając taką plejadę wybitnych artystów rosyjskich, a w tej chwili potencjalnie również największych aktorów świata, myślał o swoim polskim koleźce, z którym zaprzyjaźnił się na festiwalu w Moskwie w 1969 roku.

Na festiwalu tym poznałem, bardzo zabawnie zresztą, innego wielkiego artystę rosyjskiego i zaowocowało to wieloletnią przyjaźnią, aż do jego śmierci. Nazywał się Włodzimierz Wysocki. Opisałem to w niedużej książeczce ładnych parę lat temu. Wtedy Nikita, młodszy ode mnie zaledwie o parę miesięcy, był traktowany przez nas trochę jak smarkacz. Przez nas, to znaczy na przykład przez Jurka Hoffmana, Beatę Tyszkiewicz, gruzińskiego reżysera Grigorija Danieliji, wreszcie przez swojego brata Androna Konczałowskiego–Michałkowa. Wszyscyśmy mieli już poważne dokonania. Nawet ja, jego rówieśnik, co najmniej 10 głównych, znanych również w Związku Radzieckim, ról. A on jako aktor, bodajże jeden znaczący, przemiły zresztą film właśnie Danieliji *Idu, szagaja po Moskwie*. Poza tym studiował we WGIKU reżyserię. No, nie całkiem dorosły. Ale dopuszczany był do naszego stolika w festiwalowym „priess barze” w hotelu „Rossija”. Jedyńm miejscu, *nota bene*, w tym ogromnym kraju, gdzie można było jeść i pić do białego rana, w towarzystwie na dodatek czasami Lolobrigidy, Mastroianniego czy Meliny Mercouri.

Dopuszczaliśmy go? No, nie, przesadzam. To on brał natychmiast wszystko w swoje ręce. Z energią i profesjonalizmem reżysera każdej sytuacji. Stawał się duszą i podmiotem towarzystwa, z kreatywnością już nie tylko lidera biesiadnego. To było dojrzałe, całkowicie świadome aktorstwo i kipiący już talent reżyserski. Oczywiście bywają reżyserzy towarzysko znacznie mniej ekspansywni. Chociażby nasi w części współbiesiadnicy, jak Danielija czy choćby brat Nikity, Andron. Sam Nikita zawsze się czuł dobrze w świetle jupiterów, choć potrafił, i to widać było od razu, być refleksyjny i głęboki po czechowowsku. Oczywiście nie sympatii zawiązała się między nami spontanicznie, natychmiast. Ja imponowałem mu trochę swoimi tak wczesnymi dokonaniem. Nie bez znaczenia był też fakt, co w ogóle w tym kraju ma znaczenie fundamentalne, że dotrzymałem mu w tempie spełniania *stakanów* w tę długą noc festiwalową z poniedziałku bodajże na piątek.

Na szczęście mój nowy przyjaciel znalazł czas na wyrwanie mnie z tego wiru uciech i swawoli i na zorganizowanie kameralnej projekcji. Pokazał mi swój czarno–biały godzinny film dyplomowy *Pierwszy dzień po wojnie*. Nie miałem wątpliwości, że poznałem artystę, który bardzo szybko stanie się jedną z najważniejszych postaci kina, nie tylko swojego kraju. Gdy to powiedziałem, w kręgu polskiej delegacji patrzono jeszcze z lekkim niedowierzaniem. Bardzo szybko się to zaczęło potwierdzać. Na przestrzeni tych paru dziesiątek lat spotykaliśmy się, jak na ludzi zajętych każdy swoimi dziełami, dosyć często. Oczywiście festiwale filmowe: Moskwa, Wenecja, Berlin, Cannes. Pewne zdarzenie z Cannes opisałem w Aniołach. Parokrotnie w Rzymie, raz w Cinecitta. On montował *Oczy czornyje*, ja nagrywałem z Andy McDowell i Michaeliem Yorkiem *Tajemnice Sahary*. I jeszcze raz, kiedy

kręciłem film Bologniniego z Liv Ullmann, a on przyjechał na seminaria ze sztuki aktorskiej dla chętnych, za pieniądze. Byłem na jednym. Świetnie to robił. Szkoła we WGIKU, Stanisławski w połączeniu z pełną świadomością formy. Przez tłumacza, chociaż włoski jest jedynym językiem obcym, jakim porozumiewa się Nikita dość swobodnie.

Zawsze były sute kolacje, jacyś bliżsi lub dalsi znajomi. Niechętnie wychodził naprzeciwko mojej potrzebie dyskusji politycznych, zmieniania świata komunistycznego w jego potwornie imperialistycznym kraju. On, „Wielkorus” nie dawał sobie psuć biesiad sporami ze mną. Poza tym syn autora słów do hymnu sowieckiego.

Dziecko establishmentu. Choć nie uczynił nic, aby się wyciągnąć na przykład z potwornie ciężkiej, w pełnym wymiarze czasowym, służby w marynarce wojennej na Kamczatce. Też nadzwyczajnie o tym umiał opowiadać. Poszerzyło mu to niewątpliwie krąg znajomości ludzi i wiedzę o życiu. Wszystko niezbędne w jego zawodzie.

Jego stosunek do ojca musiał być nieprosty. W *Porażonych słońcem* nie można się oprzeć wrażeniu, że on raczej nie osądza, a kocha tych ludzi i stara się zrozumieć nawet ten czas. Znam takie przypadki wśród osób z mojego pokolenia i w Polsce. Dzieci byłych urzędników państwowych, często wysokich sędziów, wojskowych, nastawione same już bardzo antykomunistycznie. Ale jednak ...

W pierwszych latach 80. widywaliśmy się rzadziej. Z wiadomych powodów nie byłem zapraszany do jego kraju. Poza spotkaniem na festiwalu w Cannes, nie szukał ze mną kontaktów w Paryżu, w przeciwieństwie na przykład do Bułata Okudźawy, czy Iriny Czurikowej. Czy była to ostrożność obywatela totalitarnego państwa, który mógł mieć przykrości za niewskazane kontakty? Nie sądzę. Nikita był zawsze sobą i godząc się mniej lub więcej z jego postawą, szanowałem związane z nim kryteria wartości. Szanowałem też jego wystąpienie na zjeździe *kinomatografistów* rosyjskich, już w czasie *pierestrojki*, biorące w obronę, atakowanego również przez niedawnych konformistów, Sergiusza Bondarczuka. A w okresie puczu Janajewa w 1991 roku, Michałkow stanął po stronie Jelcyna. Do tego stopnia, że był wśród zabarykadowanych obrońców „Białego Domu”, czyli Parlamentu, z kałasznikowem w rękach.

Jest w tej chwili jednym z bliskich przyjaciół Patriarchy Aleksieja i, odnoszę wrażenie, głęboko wierzącym i praktykującym mężczyzną. Z tego, co piszę, wynika w sposób oczywisty mój gorący, przyjacielski stosunek do Nikity. Tym bardziej osłupiałem nieco, widząc jego piękny dokumentalny film *Rozmowy co parę lat z dorastającą córką*. Wychodził z nich obraz wychowanej kompletnie przez sowiecką szkołę i prasę komunistyczną dziewczynki. Tak, jak gdyby rodzice i dostępna przecież w tym domu, nieoficjalna literatura, nie kształtowały tego dziecka oddzielnie. Ciekawe. Dziewuszka jest już dorosła. Rozmawiałem z nią trochę o różnych sprawach. Wszystko przyszło w swoim czasie. Czyli z *glasnością*. Ale mogło nie przyjść.

Budżet – 28 milionów dolarów!!!

Czytam dzienniki Stefana Kisielewskiego. Trudno mi się od nich oderwać. A tu trzeba też samemu popracować. I na planie filmu Nikity, i nad tą książeczką.

Pierwszy dzień zdjęciowy z moim udziałem. *Dworzec Białoruski*, jak tytuł znanego przed laty filmu. XIX-wieczna, dość ładna budowla, tynki w kolorach biało-zielonych, nie białoruskich, cha, cha!

Przypomina mi się nasz powrót z Teatrem Narodowym w 74. właśnie z tego dworca. Było po *Hamlecie*, *Beniowskim*, *Trzech siostrach*. No, triumf. Hanuszkiewicz lubi czasami przesadzać, gdy opowiada o sukcesach swoich przedstawień. Ale tu nie przesadzał. Odprowadzała nas cała kulturalna Moskwa.

Teraz dworzec wygląda inaczej. Przede wszystkim na obszernym placu, przed dworcem stoi taki konwój autobusów filmowych, specjalnych przyczep garderobowo-charakteryzatorskich, wreszcie kilku luksusowych campingów dla gwiazd, że czegoś podobnego w Europie nie widziałem. Chyba z tym budżetem 28 milionów dolarów to nie przesada.

Odnajduję w tym tłoku moją przyczepkę campingową. To tam, gdzie się mam przebierać, jeść, kupiać, wreszcie spać, gdy mam czas. W większości filmów na Zachodzie miałem takie przywileje, nie jest to aż takie drogie, a niewątpliwie niezwykle podnosi wydolność psychiczno-fizyczną głównych aktorów, którzy jak bokser muszą się skupić w optymalnych warunkach do zadania, czasami kilku w ciągu dnia, decydujących o losach filmu, ciosów.

A teraz widzę, że przesadziłem z nadmierną skromnością. Nie chcąc się strasznie wymądrzać przed produkcją rosyjską i samym Nikitą i nie znając prawdziwego budżetu filmu, zażądałem w kontrakcie umiarkowanych warunków komfortu na planie. Zapomniałem, lub nie przyszło mi do głowy, że na Zachodzie trwa już „wojna przyczepowa” między gwiazdami. O rozmiar, wyposażenie i cały komfort. Mnie, moja skromna, złożona z dwóch maleńkich pokoików z leżanką i toalety, całkowicie wystarczała. Ale wobec luksusowych apartamentów na kółkach Julii, Richarda Harrisa, a nawet – słusznie, bo gra główną rolę – Mieńszykowa, wyglądała dość skromnie. A to dziwiło, wręcz gorszyło, zaczął ekipę rosyjską, bo dla nich byłem najbardziej znanym i szacunku godnym artystą w tej drużynie. *A jechał to sęk!* Wiedziałem, że muszę się skupić na pracy, żeby w tym świetnym towarzystwie zagrać jak najlepiej, w nie swoich przecież językach, tę piątą chyba według scenariusza co do ważności i objętości, rolę. Jeśli chodzi o przyczepę, było mi nawet przykro, że Aleksiej Petrenko, wybitny aktor rosyjski, starszy ode mnie i grający większą rolę, ma przyczepę skromniejszą od mojej. *A job żesz waszu mat' i nasser mater!*

Jelcyn? Lebid'? Nie. NIKITA!

Charakteryzują mnie i ubierają. Wchodzę na same perony. Rzeczywiście, budżet się potwierdza. Nikita wykreował XIX-wieczną Rosję. Ta liczba statystów w niebywałych kostiumach. Konie, pojazdy, żołnierze. Prawdziwe albo zrobione pociągi XIX-wieczne. No, niebywałe.

Witam się z Harrisem. Wyrażam mu na wstępie podziw dla jednej z najwspanialszych ról, jaką widziałem w młodości.

Sportowe życie Andersena. Jest wysoki, przygarbiony, siwiuteńki jak gołąb. Przypominam mu, że ścisnąłem jego rękę już w Paryżu po festiwalu w Cannes w 66., gdy przedstawiał mi mnie Kirk Douglas. Nie pamięta tego. Strzela natomiast informacją, że w 1971 roku w Moskwie dostaliśmy wspólnie nagrodę za najlepsze role męskie. A to z kolei mnie uciekło z pamięci, że z nim akurat, bo na rozdaniu go nie było. No, to zaczęło się poważnie i z galanterią.

Dalej widać, że Nikita w poszukiwaniu perfekcji nie spieszy się. Korzystając z ogromnego budżetu, widocznym jest, że scenę z wielką liczbą statystów, przewidzianą na dwa dni zdjęciowe, chce kręcić w sześć. I tak będzie przez prawie cały czas. Niestety, nie z trzykrotnym przebicciem. Trzykrotnie więcej niż kontrakt nie zarobię, ale i tak sporo więcej. Mam kontrakt na określoną liczbę dni. Dałem, jak to w zwyczaju, nawet dwa dni rezerwy. Ale już trzeci, dodatkowy, musi być płacony oddzielnie. Naprawdę nie chcę się tu pochylać nad głębią scenariusza, maestrią Nikity czy moją pracą nad tą rolą. Zobaczą Państwo kiedyś ten film. Teraz byłoby to jak mówienie ze ślepym o kolorach.

Co do Nikity, to oczywiście jest świetnie przygotowany. Z aktorami pracuje perfekcyjnie, ale nie wymęcza. Równie dobrze powtarza ujęcie z powodu udoskonalenia naszej gry, jak i z niewyartykułowania jakiegoś detalu. Nie złości się, nie wybucha, często rozładowuje poczuciem humoru.

No, raz mu się zdarzyło, jeśli chodzi o mnie, w długim, skomplikowanym aktorsko i technicznie ujęciu, już w Pradze, później. Śledził to ujęcie na monitorze, zaakceptował. Przy przeglądzie zobaczyliśmy wszyscy dosłownie parosekundowy cień na moim prawym uchu. Zgasła jakaś mała lampka. Nie zauważył operator, nie zauważył szwenkier. To było za trudne w trakcie ujęcia. Mógł i powinien zauważyć to Michałkow na monitorze. No i właśnie. Zaczął się na mnie w związku z tym drzeć przy ekipie. Jak to, wybitny i doświadczony aktor mógł uchem nie wyczuć, że coś zgasło i nie przerwać ujęcia? Nie posłałem go *nachuj*, tylko gdy się wywrzeszczał, ostrzegłem, że teraz, jak coś mi się w świetle nie będzie podobało, to natychmiast przerwę i nie życzę sobie potem uwag ani jego, ani operatora. I choć nie ma on zdecydowanie poczucia humoru na swój temat, to w sumie było milutko.

Coś mi się nie chce...

Tak wybitny aktor, jakim jest Nikita, ma tendencje do pokazywania aktorom, jak zagrać. Lubi grać nasze wszystkie role, ale to raczej sugestywne przekazywanie intencji, niż sugestia do naśladowania. Na to jest za mądry.

Biegły te dni zdjęciowe, urozmaicone, a to czasami wyjściem do teatru – wzruszające spotkanie z Lublimowem na Tagance i jego spektakl o Włodzimierzu Wysockim, a to rocznicą śmierci Krzysztofa Kieślowskiego w Domu Literatów i w Polskim Instytucie.

Coraz bardziej uświadamiałem sobie, że muszę już mniej grać. Nawet ten reżyser, ten film, ci partnerzy, te pieniądze wreszcie, nie sprawiają mi tej radości co przed laty. Coraz bardziej chce mi się wrócić do hotelu i coś czytać, a nawet zapisywać te stroniczki. I chyba przysłowiowa już moja pasja do grania nie wróci. I nie ma w tym nic złego ani dziwnego. Zagrałem ponad 100 ról na całym świecie. Własnym głosem, duże role w sześciu językach! Jestem może nie tyle zmęczony, choć też, ile ciekawy czegoś innego. Czasami to jest spacer w samotności, czasem rozmowa z ciekawym człowiekiem, czasem deszcz za oknem, czasem książka.

Dzienniki Kisiela. Niebywały wyczyn. Pisane albumami i oddawane w jakiś niezwykle zaufany depozyt. Za to, co pisał w latach 60. i 70. mógł być nie tylko sekowany przez cenzurę i różne stosowne urzędy. To było jego udziałem i tak. Mógł być pozbawiony, oczywiście, wolności. Te zapiski wieloletnie są dla mnie przerażającym, aczkolwiek logicznym, mimo gorączkowości pisania, dowodem na „nieczłowieczeństwo” systemu komunistycznego. Podobnie jak opisy procesów, tortur, film *Przesłuchanie* czy skrytobójstwa komunistycznych siepaczy. „Nieczłowieczeństwo” w zakresie intelektualno—duchowym, na które Kisielewski, w imię często wyłącznie własnej godności, się przez wszystkie te strony i całe swoje życie nie zgadzał.

Nie jest on tam słodziutki. Nie jest nawet sprawiedliwy, poza oceną systemu, wobec niczego i nikogo. Może z podziwem i czule potraktował Adasia Michnika. I z najwyższym szacunkiem profesora Bartoszewskiego.

Taki był przecież i za życia. Nigdy nie wyważony, choć logiczny i przenikliwy. Ale uwaga! Mnie jego zajadłość wobec wielu naszych nie kwestionowanych autorytetów moralnych, głównie z kręgu „Tygodnika Powszechnego”, boli, ale nie zmniejsza szacunku do tych autorytetów. O to pokłóciłbym się z Kisielą. Niestety, to niemożliwe. Nie miałem też nieszczęścia stanąć na linii jego strzałów. Więc mnie w tych dziennikach nie trafiał nigdy. Ale co mu tam było spieranie się z jakimś komediantem. On się wadził z epoką.

27 lutego – szampan na Dworcu Białoruskim

Dworzec Białoruski, Julia, Richard, Alosza Petrenko, ale już pełno młodych aktorów, studentów, grających cały czas w tej historii. A wśród nich Oleg Mieńczykow. Nie mówię, że mam urodziny, bo po co przeszkadzać, zawracać głowę. Koniec zdjęć. Wieczór. Nikita znowu pokazuje swoją klasę i uwagę. Wjeżdża bukiet róż, kilka skrzynek szampana. Frunę wielokrotnie do góry, podzucany przez młodych kolegów. Michałkow krótko przemawia i wręcza mi niedużego niedźwiadka z brązu na cokoliku z jakiegoś sybirskiego kamienia. Figurka jego studia „Tri T”, *Towarzystwo*, *Tworczestwo*, *Trud*. Twierdzi, że dotąd taką statuetkę dostali tylko Patriarcha Aliksiej, wiolonczelista Rostropowicz i pianista Richter. Ja jestem podobno czwarty. Cholera go wie, może prawda.

Ruskaja dusza

Mijają dni zdjęciowe. Już widać, że będę ich miał więcej niż w kontrakcie. Ale to, czego się bałem, nie sprawdza się. Obawiałem się oczywiście złej organizacji. Takiej sowieckiej bezmożności. Otóż nie. Wszyscy niezwykle zawodowi. Od asystentów, poprzez kostiumologów, scenografów, francuskich dźwiękowców po dyżurnych planu. Chodzą jak w zegarku. Oczywiście Nikita ma do dyspozycji najlepszych ludzi swego kraju.

Odnawiam z przyjemnością znajomość z Witią, szefem kaskaderów od koni, z którym pracowałem przed paru laty koło Grodna w filmie francuskim. Teraz przyjechał z Petersburga, ze sporą liczbą dobrze ułożonych wierzchowców. Poza tym własne sanie i powozy. Widać, że wiedzie mu się dobrze. Ekipa pracuje naprawdę pięknie. Potwierdza to moją teorię, że w tym fachu, szeroko pojętym, ludzi kina, nie ma fuszerki. Nigdzie, nigdzie na świecie to po prostu niemożliwe. I nie było nawet u nas za socjalizmu. A teraz ludzie pracę cenią jeszcze bardziej. W rosyjskiej ekipie przez wiele tygodni nie widać nikogo nawet po piwku! No – raz ja, już w Pradze. Ale gram tu w końcu troszkę pijaczka.

Jedną tylko rzeczą zdenerwowali mnie w Moskwie Rosjanie. Gdy miałem kilka dni wolnych, raz nawet osiem, nikt z produkcji się nie odważył wysłać mnie do Warszawy. Siedziałem jak głupi w hotelu, zwodzony, że może jutro będę grał. Bali się swojego cara Nikitki. Mnie do głowy nie przyszło zwracać się do niego. Od tego wszędzie są asystenci i produkcja, której powinno zależeć, żeby nie płacić mi wysokich diet bez powodu, i drogiego apartamentu. Ale w każdym razie ta ekipa nie zasługiwała na anegdotkę, którą mi opowiadał o duszy rosyjskiej Michałkow, jeszcze onegdaj.

Mówi do mnie, chyba w Berlinie:

Wiesz, Daniel, dlaczego w Rosji nie może być żadnej demokratycznej gospodarki rynkowej, no, kapitalizmu? – I sam odpowiada. – Pytasz *ruskowo czielowieka*: „A chcesz dobrzej pojeść”? „No tak, jasne”, odpowiada. „A popić tak zdrowo”? „0,00, to jeszcze bardziej”. „No to przenieś ten kamień stąd do tamtąd.” „Aaa, to nie chcę”, po krótkim namyśle odpowiada Rosjanin.

oś w tym jest, że od wieków bohaterem ich baśni narodowych jest Iwanuszka–głuptak. Nic nie robi, nie myśli, a w końcu dostaje królowną za żonę, czy inną tam *żar pticę*. I ma wszystko.

Jeden z asystentów opowiedział mi coś jeszcze bardziej wstrząsającego. Krótkie zdanie wyjaśniające trafnie własnego jego narodu *bółodzieje* i dramat nie tylko ich własny.

– Wiesz, czemu my *bijom swoich*? *Żeby czużyje bajalis* – żeby się obcy bali. Tak, tak.

Marzec 1997. Agnieszka

No i dowiedziałem się, Zuzia zadzwoniła. Wypiłem chyba haustem szklankę wódki, jak Tyrmand, który w Nowym Jorku dowiedział się o śmierci Marka Hłaski. „Żeby się lepiej skupić na bólu” – napisał w swoim dzienniku. Że też ta cholerna choroba, gdy już złapie w szpony, to nie popuści. Tak, jak przed paru laty piękną i jeszcze młodszą Ewę Wende. A teraz Osiecka. Tyle wspomnień, tyle blasku. I mimo że była osobą tak pięknie, dużo i szczerze mówiącą do nas, tyle tajemniczości i bólu. Spełniała się w miłości i poezji. To były jej dwa pola. Agnieszka była bardzo polna. Choć czasem prawie, jak z Wiecha, i wielkowiejska. Wiech zresztą też gdzieś tam był poetą.

Pamiętam ją, odkąd byłem bardzo młodo–dorosły. Jej Listy *śpiewające* w telewizji i tam ja z Anią Prucnal, *Ja błonie* w Ateneum, gdzie wychodziłem sobie śpiewającą wówczas z Kajtkiem Kowalskim *Kochankowie z ulicy Kamiennej*, pierwszą żonę, Monikę.

Cała moja burzliwa historia z Marylą Rodowicz to oczywiście, a jakże, też Agnieszka. Mazury, Drohiczyn. Ba, Londyn. Nic mi nie ułatwiała po naszym z Rodowicz gwałtownym rozejściu. Wiedziała po sobie, że nie ma na to rady, tylko czas i szansa na następną miłość. O właśnie, w związku z Zuzią była chyba nas najbliższą i najcieplej. Zwłaszcza Zuzi, bo też moja żona obok Magdy Umer i Krysi Jandy bodajże najbardziej ją wyczuwała.

Na mnie Agusia patrzyła bardzo szczególnie. Dawała temu wyraz czasami w publikacjach, m.in. w *Aniołach*. I choć to jej spojrzenie czasami mnie onieśmielało, peszyło, a nawet irytowało, było moim wielkim bogactwem i szczęściem. Bo takie mądre, uważne i zabawne. Miałem szczęście ponad 30 lat poruszać się w niedalekich orbitach jej niezwykłego talentu i osobowości. I blasku bijącego od niej miałem cały czas świadomość. Przedstawiała mi z rosnącą dumą swoją piękniejącą, coraz mądrzejszą i lepiej grającą w tenisa, Agatę. Sama też miała świetny kontakt z moją Weroniką. Zrobiła jej jedno z piękniejszych zdjęć, u nas, w Kazimierzu. I poświęciła piosenkę o Weronikach, którą śpiewa Sewek Krajewski.

W *Aniołach* chciałem wydrukować napisany, acz nie wysłany do niej list. Taki list–wierszyk – trochę w rytmie walca. Ale gdzieś mi wtedy zaginął. Zresztą książka miała inną formę i może by nie pasował. Kończyło się trochę nawiązaniem do piosenki Okudźawy, *My swiazany, Agnieszka*. Piosenka Bułata miała taką strofkę:

*Kagda trubacz nad Krakowom
woznositsa z tmboju,
chwataju ja za sablu
z nadzieждуju w glazach.*

A teraz ja.

*Bulat, niegdyś w Krakowie
na wieżę z szablą się drapał.
Ja bym się nie załapał,*

*bo schody strome są,
wierzę, na wieży mieszkasz,
jesteś tam na niej sama.
Od słów Twoich, Agnieszka,
krutitsa gaława.*

I zakończyłem błagalnie.

*Ja proszę,
dam grosze,
na konie zaproszę,
choć wiem, że nie pierwszy,
napisz do mnie wierszyk.*

No i napisała na mój benefis, półtora roku temu. Wisi oprawiony i wpisany w piękny *collage* Hani Bakuły.

Moskwa, 17 marca, godzina 16.00

Znowu nie mam zdjęć. Postanawiam odwiedzić Wołodę Wysockiego. Cmentarz Wagańkowski. Kiedyś na 40 dzień po jego śmierci, tam pojechałem. To tradycja prawosławna, oni obchodzą 9 i 40 dzień po śmierci.

Na pogrzebie nie mogłem być. Kręciłem wtedy film z Lelouchem. Dziewiąty dzień obchodziłem z siostrami Mariny Vlady—Poliakow i z nią samą w Paryżu. Tania, czyli Odiie Yercois też już nie żyła. Był za to słynny wówczas emigracyjny malarz, Misza Szemiakin, na silnym kacu, czyli *spodchmielia*, jak mówią Rosjanie, więc w czasie mszy żałobnej w cerkwi, w centrum Paryża płakał tak głośno, że zagłuszał chóry gregoriańskie. Potem odbył się rodzaj stypy u Szemiakinów, koło Luwru. Pilnowaliśmy, żeby przy pustym miejscu na stole była ciągle jakaś zakąska i mrożona wódeczka, którą zmarły nigdy nie pogardzał. Umówiliśmy się z Mariną na 40. dzień w Moskwie. Szemiakin nie mógł tam pojechać z powodów oczywiście politycznych. Ja o mało też bym nie wyjechał, bo u nas wybuchła „Solidarność” i weszły w życie porozumienia sierpniowe. O tym jak w końcu na jedną noc mnie wypuszczono z kraju i wpuszczono do Moskwy, opowiadam szczegółowo w książce *Wspomnienia o Wysockim*.

Tu chcę szybko powrócić do Agnieszki, która zresztą przetłumaczyła mi jeszcze w latach 60. piosenkę. Na bankietach często ją śpiewałem, a nauczyła mnie jej kiedyś Wala Hoffman, kompletnie nie wiedząc, że to Wysocki.

*W tot wiecier ja nie pił,
nie piel, ja na niejo wsiu noc' gladiel,
kak smotriat dieti,
kak smotriat dieti.*

*No tot kto rańsze z nieju był,
skazał mnie, szto ja uchadił.
Skazał mnie, szto ja uchadił,
szto mnie nie swietit.*

A Agnieszka:

*Nie piłem nic przez całą noc.
Patrzyłem w nią jak sroka w kość.
Jak smarkacz jaki.
Jak smarkacz jaki.*

*Lecz ten co przedtem chodził z nią
chciał żeby nogi za pas wziął,
nie szukaj draki, nie szukaj draki.*

I tak jeszcze osiem strofek.

Otóż z mieszkania Wołodii na Małej Gruzjińskiej, jadę z Mariną na cmentarz. Otaczają go płonące ogniska. I tłumy nieprzebrane.

– Co się dzieje? – pytam.

– Zobacz, co tam płonie – pochlipuje Vlady, która już tam była przedtem.

Rany boskie, połamane gitary. Tak setki *gitarszczyków* tego wielkiego kraju żegnały najsłynniejszego z nich. Skrót.

Wracam do Warszawy. Idę do Klubu Aktora w Ujazdowskie. Siedzi Agnieszka. Jest parę innych osób, między innymi Maciek Karpiński. Opowiadam o płonących gitarach i mówię do mojej nadwornej poetessy:

– Napisz mi o tym wiersz.

Popatrzyła mi uważnie w oczy i powiedziała:

– A sam sobie napisz.

Znaczyło to spojrzenie: widziałeś, przeżyłeś to, możesz spróbować. Poszedłem do sali obok, wierszyk był gotów w kwadrans.

Wrzesień, 1980 rok

Na cmentarzu, na którym pochowany jest Włodzimierz Wysocki, płoną połamane gitary.

*Pod łomot złej gitary
Nasz łomot serca. Mnie
schryplej nadziei, wiary
krzyk struny nerwy rwie.*

*A ciągle nam niejasny
w błotnistej drodze ślad,
nasz świat wciąż duszny, ciasny,
nie tak mój brat, nie tak.*

*I z tobą w twej pogoni
własne szczerzymy kły,
my dumne wilki, konie
a wokół nas wciąż psy.*

*I sfora wciąż ujada,
rozproszyc pragnie nas.
My wilki różne stada
połączyć by się czas.*

*Dziś z naszej wilczej ziemi
własne szczerzymy kły,
my gitar nie złamiemy,
sklejcie gitary Wy.*

Wiersz ten nie został wydrukowany w miesięczniku „Radar”. Autocenzura redaktorów brzmiała: „Wzywa Rosjan do rewolucji”.

Teraz jestem w Moskwie, przy jego grobie, gdzie zawsze, po latach jeszcze, gromadzą się ludzie i zawsze świeże kwiaty. Kładę i ja swoje. Ludzie półgłosem szepczą, jak zwykle: „O wot, jego polski brat”. A ja daję kwiaty od jego polskiej siostry i dla jego polskiej siostry również. Gdzieś je już sobie podzielił. Z rozpędu poszedłem jeszcze z kwiatkiem do Jesienina, który pochowany jest bardzo blisko. Już się cieszę, że się połączeni moją intencją gdzieś tam spotkają. Ale sobie pogadają, hej!

Parę dni potem dowiedziałem się, że o godzinie 14.00 w Warszawie (w Moskwie 16.00) odbył się pogrzeb Agnieszki. Zaprosiła mnie. Ot, co!

Wracając do hotelu, mówiłem cicho, trochę do siebie, a trochę do prowadzącego samochód dyrektora Instytutu, Włodzimierza Jakubasa, ostatni wiersz Wołodii, do którego nie zdążył napisać melodii. Przetłumaczyliśmy go kiedyś razem właśnie z Agnieszką. Bodajże też w SPATiF-ie.

*Nade mną lód i w dole pod stopami.
Czy wzbić się mam, czy zejść mam do otchłani.
Rzecz jasna wzbić się. W nadziei trwać i trwać.
I tylko w świat podania za wizami ślać.*

*Już słyszeć lodów szcęk, noc mija jedna, druga,
ja przetrwam czysty prosty, choć przecie nie od pluga.
A ty się nie martw, wróć okrętów dawnych szlakiem,
spamiętam wszystko, wiersz widzę jak na dłoni.
Nie stary jestem, ot, czterdziestka z hakiem,
przez ciebie żyję i dobry Bóg mnie chroni.*

*Ja mam co grać, gdy wezwie Pan
i przyjdzie tam do grania.
I mam też z nim tych kilka spraw do obgadania.*

Ja chyba przetłumaczyłem większość linijek. Te ostatnie trzy jakoś mi nie szły. Bardzo trudno je przetłumaczyć dosłownie. Na pewno oddała ich sens po swojemu Agnieszka.

Wielkanoc

W Wielką Sobotę udało mi się, dosłownie w ostatniej chwili, skończyć moskiewskie zdjęcia i złapać samolot do Warszawy. Na planie, jeszcze w ostatnim ujęciu, na polecenie Nikity, zamiast udającej wódkę wody wiano mi do stakana „Stoliczną”. Była to, nie powiem, przyjemna niespodzianka. Zimno dokuczało i miło było, że prawosławny kolega pamięta o wcześniejszym u nas święcie Paschy. Ale cóż zrobić. Poprawiłem w samolocie, więc noc spędziłem w Warszawie, podczas gdy Zuzia z Weroniką już były w naszej chałupie pod, a właściwie nad, Kazimierzem bo w górę Wisły. Na szczęście od jakiegoś czasu jest już tam telefon, który choć klnę na niego w Warszawie, w takiej sytuacji się przydaje. Uspokajam, że przyjadę rano.

Jadę oczywiście swoim patrolem. On tam po tych wąwozach czuje się najlepiej. Minęło niecałe 10 lat, a czuję się, jakbym jechał do siebie, do domu. Znam jedną taką drogę bliską mi od dziecka. Oczywiście Drohiczyn. Ale tam, póki co, nie mam domu. No i żona z córką nie bardzo lubią. Ludność tam tak serdeczna, że wyjazd bez zdecydowanego na wszystko kierowcy, a może nawet i jego zmiennika, i wyrwanie mnie od kolejnego biesiadnego stołu, mogłyby się okazać przez dłuższy czas niemożliwe. Ot, takie miasteczko walecznych Asteriksów. 125 kilometrów na wschód od Warszawy.

Teraz jadę na południe, wzdłuż prawego brzegu Wisły. Przepiękna droga. Bardzo często tuż nad rzeką. Znam ją na pamięć. Wilga, a za chwilę Podlęż. Tu mój dziadek ze strony matki, Kazimierz Sołonowicz, syn powstańca styczniowego, przed I wojną mieszkał w obszernym, służbowym domu i administrował rozległymi majątkami Zamoyskich. W tym kościółku, do którego w Wielką Niedzielę obowiązkowo wpadam, chrzczona była moja matka i jej siostra Irena. Potem Maciejowice, gdzie Ruscy pobili i pojmali nam Naczelnika. Potem historycznie trochę lepiej. Dęblin. I przekraczam, tuż przy jego ujściu do Wisły, Wieprz. Stąd poszła ofensywa naszych zagonów kawalerii, która rozstrzygnęła o bitwie pod Warszawą w roku 20.

Potem jeszcze wijąca się droga nad Wisłą do Puław. I pełno bocianich gniazd. Już są te cudowne, dumne ptaszyska. Choć im współczuję, bo może jeszcze śniegiem sypnąć. Pałac Czartoryskich w Puławach. Wyniosło ich w wielkiej emigracji do Paryża w kolaskach, siodłach. Mnie dłuży się teraz nawet w samolocie do lotniska Charlesa de Gaulle'a, nie mówiąc o samochodzie, a oni jechali tam tygodniami i wrócić nie mogli.

Wreszcie ostatni odcinek i już Puławy, Kazimierz. Piękny dojazd w rodzaju bulwaru przybrzeżnego. Po lewej stronie spichlerze, w górze ruiny zamku. Po prawej lśniąca teraz i migocąca w słońcu Wisła. Jak ja nie lubię po każdym pobycie jechać w przeciwnym kierunku! Przejeżdżam przez rynek tego niezwykłego miasteczka. Chcę właścicielowi baru, a chrzestnemu mojego wnuka, Pawłowi, złożyć życzenia. Wszystko zamknięte. Ludzie w domach. To ja też.

Wąwozem, Plebanką i do chałupy. Tam ściśle grono przyjaciół. Trochę mniej niż na ostatnim dyngusie, gdy na ganku i w chałupie aż chlupotało.

Jak z Homera i księdza Kitowicza

Dyngusy to molojecka tradycja tego domu już od lat. Dzieci, których zawsze bywało tu sporo, stanowiły tylko bladziutkie tło do homeryckich zmagania nas – artystów i uczonych. Zmagania spod znaku Posejdona i szpitala psychiatrycznego. Zaczynało się, jak wszędzie mniemam, zawsze niewinnie. A to woda kolońska dla pań, a to chlup wodą z kieliszka, gdzie resztką wczorajszego wina, w koleżkę – i następowała eskalacja. Dalej w radosnych rewanzach dobywano oręza w postaci już kubków od zsiadłego i kufli do piwa, czasami około dwóch litrów pojemności. Kobiety, które po wieczery wczorajszej zmywały, chytrze pamiętając o rondlach, garnkach i kotłach wreszcie, robiły z nich na tyle skuteczny użytek, że potem w rzeczy samej, było już wszystko jedno. Ubrania i tak nadawały się w połowie do wyżęcia, ale tylko w połowie. Pamiętał o tym zawsze Zbyszek Preisner. Przecie to jak *Niedokończona Symfonia*. A od czego wiadra, gaśnice bhp i szlauch ogrodowy? I duże to, a genialne i zmyślne dziecko wprowadzało, ku radości dzieci, z latami młodzieży, tę ciężką artylerię w prawdziwy bój. Pisk, wrzask, już bez prośby o litość, bo nic by to nie dało, niósł się nad tym polem bitewnym.

Mięśnie brzucha dostawały skurczów od histerycznego i zdrowego śmiechu. Na tyle zdrowego, że mimo iż w chałupie było po kostki, na ganku jak po porze dżdżystej i ulewach, w strzechę bez skutku mogły bić pioruny, a nas wszystkich można byłoby przepuścić przez wyżymaczkę, nikt nigdy nie zachorował. A bywało czasami prawie mroźno. I nikt nie był tak przygotowany jak razu jednego przed laty operator Sławomir Idziak, który przezornie oblekł szczelny kombinezon impregnowany, w którym kręcił byt, stojąc głęboko w wodzie, scenę do *Krótkiego filmu o zabijaniu w Dekalogu* Kieślowskiego.

Piąte: Nie zabijaj! Jako gospodarz uważałem, żeby przykazania tego nie przekraczać. A strata zdrowia któregoś z gości tym by była właśnie. Pospiesznie wytarłszy dzieci i w suche je oblekłszy szatki, dawałem każdemu z przyjaciół solidną porcję okowity. Na tyle solidną, że ducha i zdrowia nie tracili. A wyjechać od nas tego dnia nie mogli. O co mi też chodziło. Jak w *Opisie obyczajów* księdza Kitowicza. Hej, ha!

Wielkanoc anno Domini 97 Nad Kazimierzem

Ach, łza mi się zakręciła, jakem to wspominał, no bo pewnie w tym roku nie do pomyslenia. Postarzeliliśmy się, fantazji mniej i nie wiadomo, kogo teraz weseli diabli przynieśli. Wchodzę. Już siedzą za stołem. Siostry Miklaszewskie z jednym mężem, laureat ostatniego gdyńskiego festiwalu Krzyś Krauze z żoną Małgosią i córką Sarą. Skromnie. O, jest oczywiście Zbysio Preisner. Słabość do tego miejsca wygrała w nim z Krakowem, a nawet z przyszlą ojczyzną, jak dowiedzieliśmy się z „Rzeczpospolitej”, Szwajcarią. W sumie skład skromny, z młodzieżą zaledwie 12 osób. Nic to wobec chociażby ubiegłych świąt. Tam, obok niemal kompletu dzisiejszego, jeszcze Piesiewiczowie, Bajonowie, Magda Umer z Andrzejem, Lebkowscy, profesorowe Koźniewskie z Grzegorzem „Dziarskim” – to ksywka, bo tak dziarsko podjeżdżał pod wawóz, że się zakopał.

Tradycją już się stało, iż wzywa się wtedy okolicznych rolników, którzy może nie tyle pracują na roli, ile czekają właśnie na tego rodzaju zdarzenia. Zbyszek Preisner za pomoc wyciąga takie nominały z portfela, że spokojnie mogą nie pracować nie tylko w święta.

Wymienić muszę, z przyjemnością nie tylko z nazwiska i tytułu, profesora Olka Chylaka, męża Maryny Miklaszewskiej. Uczony ten wykładowca na wydziale architektury, poza czarującym charakterem i zdolnościami muzyczno–biesiadowymi, odznacza się tak imponującym roztargnieniem, że profesor Paganell z *Dzieci kapitana Granta* Juliusza Verne'a to przy nim pestka. Trafił zresztą do klasyki. Opisał jego przypadki sam Tadeusz Konwicki. Ja mam zaszczyt dalej tę legendę lekko ubarwić.

Dowiadujemy się po jajeczku, co wykonał nasz Olek dnia poprzedniego. Pojechał on był po zakupy świąteczne do pobliskiego supersamu. Spieszyło mu się, więc choć to niedaleko, wziął wyjątkowo samochód. Zaparkował pod sklepem. Dokonał zakupów. I jak zwykle to robił, automatycznie – pieszo wrócił do domu. Tam stwierdził, że przed bramą nie ma samochodu. Wszedł na salony i zatelefonował na policję, meldując o kradzieży. Przygnębiony oznajmił o tym fakcie żonie, która właśnie wychodziła z łazienki. Marynie to nie pierwsza.

– Kochanie – powiedziała czule. – Gnaj pod supersam, bo się spóźnimy do Danielów. Przecież wyjechałeś samochodem. I on tam na pewno stoi.

Był toast za Olka, za „cudem” odnalezione auto i jeszcze parę innych.

Potem najmłodsze pokolenie – Zosia Chylakówna i Sara Krauze zaczęły molestować Zbyszka, ba, szarpać, jak wszystkie od lat w tym domu dzieci, by się z nimi w coś bawił. W chowanego, podchody. Zbyszkowi jakoś nie było do tych zabaw. Wziął dziewczynki na taras i słyszymy po chwili, że przepytuje je z tabliczki mnożenia. Dają sobie świetnie radę, zwłaszcza Sara, która chodzi do bardzo dobrej podobno, szkoły żydowskiej w Warszawie. Jej mama Małgosia Szurmiej jest córką dyrektora Teatru Żydowskiego. Ale ta szkoła może być nie tylko dla Żydów, więc ją polecam. Sara jest bardzo dowcipna.

W pewnym momencie woła:

- Zbyszek, Zbyszek, przepytaj mnie z dodawania.
 - Dobrze. No, to powiedz na początek, 80 plus 40.
 - Złoty, dwadzieścia – poważnie mówi Sara. Turlamy się. Zbyszek nie daje się przebić.
 - Powiedz mi Saruniu, ile jest 2 razy 2.
 - Ojej, nudny jesteś, wujek. Cztery.
 - Wcale nie. Trzy, sześćdziesiąt.
 - Jak to?
 - No, tak to. Dziesięć procent dla agenta – pointuje Preisner zachwycony.
- To prawda, z tych 10 procent agent naszego geniusza żyje w Paryżu baaardzo w porządku.

Mały Książę odleciał z kometą

Po obiedzie Zuzia z Weroniką wracają do Warszawy. Weronika ma jakieś swoje imprezy. Dłużej jak dobę z nami już nie wytrzyma, niestety. Ja zostaję. Jest przepięknie. Za oknami słońce jak intensywną wiosną. A czasami taka zamieć śnieżna, że prawie nic nie widać. Gdy się przejaśnia, widzę wysoko na niebie długą smugę ciągnącą się po odrzutowcu. Ścieżka Agnieszki, myślę. Mawiała, że jakby co, to zawsze taką ścieżką wróci.

Aha, aha, obiecanki cacanki Agusiu! Wsocki też tak obiecywał w tym ostatnim wierszu Marinie, cośmy go oboje przetłumaczyli.

*[...] A ty się nie martw
wrócę okrętów dawnych szlakiem [...]*

I co? To prawda, że wracacie. Tak jak On na przedstawieniu Lubimowa na przykład. Tak jak Ty, gdy Magda zaśpiewa: *Oczy tej małej jak dwa błękity, myśli tej małej białe zeszyty*. Albo Maryla, albo Seweryn. Ale to tak na niby. Tak nas tylko oszukujecie. A my się dajemy nabierać.

Znowu zawieja za oknem. Myślę o tych biednych, nabranych przez polski klimat bocianach, co to je wczoraj widziałem. A Agnieszka, Wołodia? Im łatwiej wracać, łatwiej pobudzać i rozbudzać się w nas. Ale innych powrotów jest tysiące. Tylko trzeba się zasłuchać. Zapatrzeć, nawet zamknawszy powieki. I oni, ci nasi, są wszędzie jak u Norwida: *W zeschniętym listku do szyby przyklejonym, w deszczu kropelce*.

Czy u Gałczyńskiego:

*Dopala się nafta w lampce.
Lamentuje nad uchem komar.
Może to ty, matko, na niebie
jesteś tymi gwiazdami kilkoma.
Albo na jeziorze żagle białym.
Albo falom brzegi pochyle.
Może twoje dłonie posypały
mój manuskrypt gwiazdzistym pyłem.*

Dyngus w żydowskim miasteczku

Dopijam ostatnią butelczynę wina, jaka została z wieczery. Budzę się około 10.00. Niedobitki biesiadników zaległy w pobliskim zajeździe. Ostrożnie wychodzę na ganek, bez żadnej pewności, czy nie będę w sekundę wyglądał jak w ulewę strach na wróble. Żywego ducha, tylko skowronek zacina swoje tremolo, gdzieś wysoko. Pospiesznie się pakuję. Zamykam chałupę, wraz z okiennicami. Wsiadam w patrola i wio z kopyta. Nie ujechałem 200 metrów, są przy studni, Marcin Osiowski nasz budowniczy—rajdowiec i Krzyś Krauze. Z wiadrami. Ledwie zdążyłem zamknąć drzwi od wewnątrz. Inaczej w samochodzie byłoby 40 litrów wody. Gonią mnie osobowymi. Ja znam skrót do rynku, wązozami. Tylko mój samochód tamtędy się przebiję. Uff. Zmyliłem pogonie. Przejeżdżam koło rynku – „Sodomia i Gomoria”! Czerwony samochód straży pożarnej leje równo wokół, ze wszystkich swoich dział, tfu, pomp. Tłum turystów–topielców z piskiem rozpierzcha się i masochistycznie powraca. Mokrzy ludzie, mokre kawiarenki, ociekają renesansowe elewacje.

Dowiedziałem się potem, że podobno Zbysio P., któremu już widać przyszła nuda egzystencji w Szwajcarii zajrzała głęboko w oczy, opłacił był dzielnych kazimierzowskich strażaków, by sobie pofolgowali. Dziwny kraj, dziwne miasteczko.

Pomiędzy mokrymi turystami dojrzałem wycieczkę młodzieży żydowskiej z Izraela. Zachwyceni chyba byli najbardziej. Takie wycieczki przyjeżdżają tu często. Młode, miłe, hałaśliwe. Pomiędzy rynkiem a zajazdem jest rodzaj szczególnej „Ściany Płaczu”. Mur spiętrzony z fragmentów nagrobków żydowskich – maceb. Cmentarza żydowskiego – kirkutu już tu nie ma. Nie ma też, poza turystami, Żydów. A tak do tego miasteczka pasowali. To było ich naturalne od wieków środowisko. Sprowadzeni, zaproszeni przez właśnie króla Kazimierza Wielkiego, tu ich obecność była najbardziej oczywista.

W miasteczku moich lat dziecinnych, Drohiczynie, było podobnie. Są trzy piękne kościoły i cerkiew prawosławna. Przed wojną była jeszcze synagoga. Te trzy religie żyły zgodnie. Zostały tylko dwie. Cmentarze żydowskie wchłonęła w siebie ziemia i chaszcze. Czasami wystaje z zieleni wierzchołek nagrobka. Nie ma nikogo, kto by się upomniał o nadbużańską „Ścianę Płaczu”. Jeśli się upomnę ja, nikt mnie nie zrozumie.

Mój piękny Drohiczyn jest, niestety, a może na szczęście, poza głównymi szlakami turystyki międzynarodowej. Taka ściana nie byłaby więc nawet atrakcją turystyczną. Ot, taki nikomu niepotrzebny gest. Dla spokoju sumienia. Trzeba zostawić te maceby ziemi, myślę.

Polska w parę dni

Zostało mi parę dni do wyjazdu na dalsze zdjęcia do Pragi. Rafał, wnuki, ciotka, brat, wszędzie jakiś problem, wszędzie coś trzeba pomóc. Nie tylko materialnie. To na szczęście nie jest najtrudniejsze, póki co i jak Bóg da. Oby nie było gorzej. Na razie wszyscy zdrowi.

Odrabiam zaległości prasowe, oglądam publicystykę telewizyjną. Co się dzieje w moim kraju, najlepiej jak zwykle syntetyzuje rzecznik obywatela Szaraka – Stasio Tym. Nie próbuję się z nim mierzyć. Trochę oddycham z pewną ulgą, że wyrok w sprawie Przemyska zapadł. I choć w praworządym kraju bez niezbitych dowodów nie można skazywać nikogo personalnie, zbrodnia została nazwana i zbrodniarze wskazani. Funkcjonariusze komisariatu przy Jezuickiej. Kto zadał śmiertelny cios temu dziecku, było nie do udowodnienia. Kto zadał śmiertelny cios polskiej praworządności – wiadomo. Najwyższe władze do strzeżenia tej praworządności powołane – MSW. Pod protektoratem najwyższych władz partii komunistycznej. Ktoś słusznie powiedział, że w każdej policji świata może zdarzyć się taki wypadek. Policjanci, bijąc, mogą zabić przypadkowo w czasie starć z tłumem demonstrantów bądź kibiców. Lub jak zwyrodnialcy pastwić się nad bezbronnym chłopcem. To miało miejsce na Starym Mieście. W całym cywilizowanym świecie władze robią wszystko, żeby odnaleźć, osądzić i ukarać zbrodniarza w mundurze. Nawet jeśli jest to wbrew ich interesom partyjnym. Ba, wiedzą dobrze, że zyskują tym wiarygodność. U nas stało się dokładnie odwrotnie. Władze zrobiły wszystko, aby opinię publiczną zakłamać, a proces zafałszować. I między innymi za to parę lat później płaciły taką cenę.

Gdzie pan był, panie Urbanie, kiedy trzeba było nie prawić dyrdymały dziennikarzom i nam, tylko przemówić do, nie mówię moralności, ale rozsądku pańskich mocodawców, a również kolegów. Jeśli szcycisz się pan swoim pragmatyzmem i przenikliwością, to sprawa Przemyska nie jest tego najlepszym przykładem.

Istnieje ewentualność, że ówczesny rzecznik już wtedy przewidywał upadek systemu i mówiąc sobie, im gorzej dla nich, tym lepiej, zmierzał wprost do apanaży wolnego rynku. Duży sukces Tygodnika „NIE” i wódki pod tym tytułem, mogłyby to sugerować, ale na pewno tak nie było. Urban nie był Wallenrodem. Był głęboko niemoralny. W politycznych dziejach świata też takie słowa istnieją. Moralność i niemoralność. A naród polski, jak zwykle, ma bardzo krótką pamięć.

I cóż posłanko Izabello z SLD? Czemu męczę tak właśnie panią Sierakowską? Po pierwsze – być może podoba mi się jako kobieta. Więc może jest to męska prowokacja? Po drugie – nie będę tu się wadził z jej kolegami partyjnymi. Oleksy, Miller, Szmajdziński na przykład, doskonale wiedzą, o czym mówię. I na pewno w duchu przyznają mi rację. Ale oni są pragmatycznymi, cynicznymi i jakoś tam skutecznymi politykami. Dla nich to co innego wiedzieć i czuć, a co innego wygrywać wybory i rządzić.

Z roziskrzonych wystąpień pani Izabelli wnoszę, że tego podziału nie zna jej rozpalona do czerwoności dusza. Gdy przemawia w czasie różnych konferencji prasowych swojej partii, plotąc rozkoszne bzdury oczywiście, jej towarzysze mają na twarzy z trudem skrywany wyraz zażenowania. Te spuszczone oczęta, ten młynek kciukami, ta zabawa z długopisem. He, he,

jestem dobrym aktorem i mnie się nie oszuka! Nic to, Pani Izabello. Mam pewną inteligentną osobę w rodzinie, która dalej uważa, że Katyń nam sprawili Niemcy. Na zakutą ideologię, jak na dogmat religijny, czy dewocję nie ma rady. Tylko, że ta bliska mi osoba, ma już prawie 80 lat, ot co!

Nikita Michalkow, jeszcze raz. Praga

8 kwietnia lecę do Pragi. Dalszy ciąg zdjęć do *Cyrulika syberyjskiego*. Dlaczego Praga? Studio Barandow jest słynne z profesjonalizmu od wielu lat. W tej chwili cena usług zawodowych, jak i hoteli jest w Pradze bardzo konkurencyjna wobec wszystkiego, co istnieje w Europie. Kręcą tu też wielkie produkcje amerykańskie.

Już w pierwszych dniach wpadam na Liama Nessonę, pamiętnego Schindlera, który kręci tu amerykańską wersję *Nędzników*. Gra rolę Jeana Valjeana, o której mógł marzyć Depardieu, ale Gerard nie mówi biegle po angielsku. Teraz dużo wody w Sekwanie upłynie, zanim Francuzi zabiorą się do ekranizacji swojego przeciwieństwa, literackiego arcydzieła.

My kręcimy w sąsiedniej hali. Wszystkie „interiory”, tzw. wnętrza. Wspaniałe dekoracje. Między innym ogromna sala balowa, stylowy teatr i masę innych. Wykonane niezwykle fachowo w najmniejszych detalach. Imponują mi ci Czesi już od lat. Kręciłem tu parę filmów, jeszcze zachodnioniemieckich, *Róża Luksemburg*, *Walka Tygrysów o hokeistów*. System ich jeszcze bardziej dławił niż nas, ale w pracy byli niezrównani. Od najlepszych chyba w Europie statystów po tłumaczy, ubeków na pewno zresztą.

Sam Hitler, ze wszystkich Słowian najbardziej obawiał się właśnie naszych południowych sąsiadów, ze względu na ich pracowitość i wytrwałość. A jakie poczucie humoru, tryskające z literatury i w normalnych politycznie okresach z kina. I znowu, kto dostaje Oscara rok temu za najlepszy film zagraniczny? – Czesi. Za film *Kola*. A najtrudniejsza gra zespołowa – hokej? Kto w czołówce? Ten maleńki kraj. Najtrudniejszy sport indywidualny – tenis: Lendl, Navratilowa i ogromne rezerwy. Kraj ten wybiera sobie na prezydenta Vaclava Havla i jest z niego tyle lat dumny.

Tak, pobłażliwy, jeśli nie lekceważący, stosunek do Czechów wyrażany przez wielu Polaków, wystawia nam fatalne świadectwo. Zajęcie Zaolzia po agresji hitlerowskiej w 38. było jedną z obrzydliwszych kart naszej historii i chyba historii Europy. To nawet nie była brutalna agresja, jakich wiele, to było prawdziwe gównno.

Wojna przyczepowa

Kręcimy sobie, kręcimy. W wolną niedzielę łazimy trochę po Pradze. To miasto podane teraz w oprawie normalnego rynku i swobody, żyje takim rytmem, że aż tętni. Stare centrum z mostem Karola to może najpiękniejsze fragmenty miejskiej Europy. I najbardziej zatłoczone. Co najmniej jak krakowski rynek w sezonie. Na planie wyraźnie wyczuwam konflikt między Julią Ormond a Richardem Harrisem. Pytam swoją charakteryzatorkę, co się stało. One *zawsze* wszystko wiedzą. Okazuje się, że to wojna przyczepowa jeszcze z Moskwy. Harris wściekł się, że asystent Julii próbował podpatrzeć, jak wyposażona jest jego przyczepa. Krewki Irlandczyk opieprzył go z góry na dół i ze szlaczkiem. A że Ormond zgłaszała jakieś reklamacje w produkcji, dostało się i jej. Trochę mi żal młodej aktorki, zwłaszcza że widzę, jak ostentacyjnie traktuje ją Richard. Nie pojawia się na planie, kiedy trzeba wypowiedzieć kwestie zza kamery. Robię to ja i w zastępstwie Harrisa sam Nikita. Gdy są na planie razem, Irlandczyk traktuje prywatnie partnerkę jak powietrze.

Ponieważ polubiliśmy się, pytam go, czy nie mógłby wykazać trochę wyrozumiałości dla młodej gwiazdy. Otwiera się i gwałtownie streszcza mi to, co już wiem – konflikt z Moskwy.

– Ale potem – mówi – chciałem dobrze. Powiedziałem jej po projekcji, że jest świetna, *camera loves you*. Była nawet zadowolona. A następnego dnia nie odpowiedziała mi na *good morning*. *Fuck her!* – kończy mój starszy kolega. No, trudno.

Julia rzeczywiście nie sprawia wrażenia osoby łatwej i spontanicznej. Za ściganie się w czołówce Hollywoodu, płaci się różnymi pierdolcami. Granie gwiazdy to ciężka harówka. Zwłaszcza, gdy się czuje niepewność. Straszny zawód.

Belgia, Holandia, Niemcy – w pigulce

W połowie kwietnia przyjeżdża moja impresario Krysia, z Kostią Czicziszwilim, gruzińsko–polskim reżyserem telewizyjnym, i ekipą. Mają nakręcić wywiad z Nikitą i co się da z planu, dla polskich programów. Załatwiam im to, choć muszę się trochę pilnować, żeby panna Ormond nie czuła się zagrożona w swoich punktach kontraktu, cholera wie, jeszcze jakich. Jakoś się to udaje. Gramy z Harrisem bardzo długie, skomplikowane ujęcie, w obecności, również polskiej, kamery. Richard bez problemu udziela sympatycznego wywiadu.

Następnego dnia gram jeszcze jakąś scenę. Ekipa Polskiej Telewizji wraca do kraju, a mnie Kryśka wiezie w trasę. Według kontraktu miałem już być po praskich zdjęciach i obiecaliśmy moje koncerty właśnie w Brukseli, Delft i Hamburgu. Ponieważ wszystko z Nikitą się przesunęło, zostało mi cztery dni na trzy kraje i powrót z Hamburga do Pragi. Niech to szlag!

Kryśka prowadzi patrola. Ja śpię. Przyjeżdżamy. Wychodzę na scenę, prawie *zawsze* w ostatniej chwili. Wykonuję mieszankę poetycką i rodzaj *one mań show*, jemy kolację, i rano dalej. Normalnie byłoby bardzo przyjemnie. Ale z Hamburga musimy gnać przez całe Niemcy. Powinniśmy zdążyć przed wieczorem do Pragi.

Zaczyna się scena balu, również z moją obecnością. Niby nieduży problem, 800–900 kilometrów najlepszymi autostradami Europy.

No tak, ale Niemcy od paru lat oszaleli. Nie wiem, może jest to sztuczne rozwiązywanie problemu bezrobocia po zjednoczeniu. Wszędzie na *Autobahnach* roboty drogowe. Przez Niemcy nie można normalnie przejechać. Na odcinku Hannover–Berlin stajemy w tak gigantycznym korku, że chcę wyć, tłuc szyby, rzucać wokół granaty. Wyrzucają nas w jakiś objazd z autostrady. Zwiedzamy pola, lasy i miasteczka niemieckie, posuwając się z szybkością 10 km na godzinę, lub wręcz stojąc. Odcinek 60 km w ciągu pięciu godzin.

Starczyło mi na długi czas. Mam dość niemieckich autostrad! Ale oni mają to na co dzień i wszędzie, jak sami spokojnie i rzeczowo mówią. Nic ich to nie dziwi. Wręcz przeciwnie. Ja straciłem jedno płatne ujęcie, bo nie zdążyłem do Pragi, oni muszą coś tracić codziennie. I nic. Nie zauważyłem, żeby to było tematem ich *zajtungów*. W takiej Francji nie do pomyślenia. Rząd musiałby się podać do dymisji. Co kraj to obyczaj.

Francuzi natomiast, to znaczy koprodukcja Nikity, próbowali ze mną, i pewnie nie tylko ze mną, ile mogą się spóźnić z wypłacaniem należnych mi rat umowy. Zorientowałem się, że pracuję, pracuję, a nic mi na konto nie wpływa, a to oni mieli przekazywać ze swoich banków naszej trójce, to znaczy: Julii, Harrisowi i mnie. Nie cierpię tego, ale Krystyna, po przywiezieniu mnie do Pragi musiała posunąć się niemal do szantażu, że zabiera mnie do Warszawy. Wyjechała, gdy dostała wreszcie taksowe potwierdzenie przelewu należnych mi od dawna pieniędzy. Stary, cwaniacki zwyczaj. Obracać jak najdłużej pieniędzmi na swoim koncie. Dokładnie jak Telewizja Polska. To z kolei u Niemców nie do pomyślenia.

Po powrocie stwierdziłem, że Richard ma prawą rękę w lekkim gipsie. Co się stało? Ano poszedł ten nie pijący już silnych alkoholi Irlandczyk do Irish Pubu, stawiał całej ekipie Guinnessa, sam wypił podobno morze. Dalej nic nie pamięta. Musiał się poślizgnąć w łazience

i upaść. Towarzyszył mu za stołem jeszcze nasz operator Pasza Liebieszew, chłop jak słoń. Też niewiele pamięta. Wmówiłem obydwóm, że musieli brać się na rękę i Richardowi *trzasła*. Wersja ta się obu bardzo spodobała, zwłaszcza Harrisowi.

– No, jak to – mówi – jak stara pierdoła wywracać się w łazience? Na rękę to przynajmniej rycersko.

Paszy, jeszcze parę dni wcześniej na zdjęciach nie było. Pytam asystentów, co się stało?

– Pojechał do Moskwy. Na rocznicę śmierci syna. Rok temu zginął.

– Wypadek? – pytam.

– Nie, mafia go zastrzeliła. Pod samym domem.

Dwadzieścia parę lat. Jezus, Maria!

W scenie balu mało miałem gry. Przypatrywałem się więc. Zobaczycie Państwo na ekranie, jakie to śmieszne i porywające. Ile pomysłów, jaki rozmach w realizacji. Najpierw nikt się nie może ruszyć, bo sala wywoskowana, że ślisko jak na lodzie. A potem kadeci startują do walca bo...

No, zobaczycie dlaczego.

Zostało mi kilka dni u Nikity. Nikt nie wie nawet kiedy. Mam już jakieś obowiązki w Polsce. Z Catherine Deneuve prowadzimy koncert 10 maja w Teatrze Wielkim. Finał konkursu „Teraz Polska”. Mam być gościem honorowym wskrzeszonego Wyścigu Pokoju, którego dyrektorem jest mój przyjaciel, Ryszard Szurkowski. Zobaczę walkę kolarzy z bliska, z samochodu Ryśka. Potem próby do *Księdza Marka* w reżyserii Nazara dla Teatru Telewizji. Klasyka z Nazarem to zawsze propozycja nie do odrzucenia.

Praga

Przy całej mojej przyjaźni do Nikity Michalkowa i podziwu dla jego talentu nie mogę nie zauważać ewidentnych nonsensów. Nie może on nic sobie nie robić z galopujących opóźnień, ciekących jak z dziurawego worka pieniądze, i łamanych planów zawodowych i osobistych pracujących dla niego ludzi. I to nie tylko gwiazd. To poczucie własnej nadzwyczajności i bezkarności musi się kiedyś zemścić. W Hollywood, mimo skręconych najlepszych scen, odebrano by mu chyba batutę dyrygencką. Nawet jego ogromny budżet nie jest kosmicznie rozciągliwy. Dysponowanie talentami, energią i zapalem ludzi też ma swoje granice. Wieloletnie doświadczenie mnie nauczyło, że dyscyplina ograniczeń czasowych i finansowych wyzwala ogromną koncentrację i dynamikę, która doprowadza do wspaniałych efektów. Wiele filmów Nikity jest tego przykładem. Dzisiaj odnoszę wrażenie, że stracił tę świadomość. Zachowuje się trochę jak dziecko, które dostało na własność salon gier elektronicznych. To za długo trwa. *Zaczynam się nudzić*. Oglądam w hotelu telewizję. Skaczę po kanałach. *Zawsze* zatrzymuję się dłużej na *talk show* Jay'a Leno. Nie zawsze nadążam za szybkością jego angielsko-amerykańskiego. Nie zawsze znam bohaterów, czyli jego gości. *Zawsze* jest to nieodparcie wciągające. Osobowość Leno, jego dynamika, przygotowanie i niesłychana sympatia do każdego z gości jest nie do podrobienia w kanałach europejskich. Polskie „tok szoły” wychodzą najbladziej. Minęła epoka kulturalnych, dobrze przygotowanych choć dość powolnych pań. Liderką, ba, „gwiazdą” tego typu spotkań na żywo stała się „pani prokurator w mini”. Konsekwentnie do bólu realizowana recepta na sukces, brzmiała:

I. Nie lubimy naszego gościa – traktujemy go co najwyżej pobłażliwie.

II. Konieczny rybi wzrok – cokolwiek by gość powiedział, nie dziwi nas to, nie bawi, nie wzrusza. Widzom mamy udowodnić tylko to, że gość nie był wart być gościem.

III. Nie męczymy się, słuchając i próbując zrozumieć gościa. Nic nas nie zmusi do wywiązania się z obowiązku elastycznej i spontanicznej rozmowy, w której moglibyśmy się zagubić. Nasze pytania mamy przygotowane zawczasu, a im mniej mają one wspólnego z aktualną sytuacją na ekranie i osobowością gościa – tym lepiej. Jesteśmy bardziej zagadkowe.

Uwagi ogólne: – dla kamerzystów; plan ogólny – profil – ładnie pokazane nogi założone jedna na drugą, wychylające się z mini,

zbliżenie: – śliczna blond grzywka – *en face*.

Dla dźwiękowców:

nie wyłączać nam mikrofonu, może od czasu do czasu zrobimy wieloznaczne „uhmmm”.

Rezultat przeszedł oczekiwania. Niesolidarność męska:

– No, ale go załatwiła. Ja bym się nie dał. Solidarność wojujących feministek:

- A do czego oni nam są potrzebni, poza reprodukcją.

Mój komentarz: odmówiłem udziału w tym widowisku, bo z łatwością zrobiłbym z „gospodyni” marmoladę, w imieniu zażenowanej satysfakcji mężczyzn i ku ogromnej radości „feministek”. Przepraszam – nie chciałem. Stawiałem sobie zawsze ambitne i trudne zadania.

Panie Mariuszu, (to do Mariusza Waltera) życząc Panu sukcesu z Telewizją WISŁA, proszę, żeby wyciągnął Pan wnioski z sukcesów takiego np. Jay'a Leno. Pan już wie przecież, o czym piszę.

Czarna seria

Znowu w Polsce. Wyskok z Zuzią na Mazury, w okolice Łańska. Stare wraca. Dawny ośrodek rządowy jak dawniej za „żółtymi firankami”, czyli drutami i wartami. A przecież musi w 80% stać pusty i utrzymujemy go my – podatnicy. Widać, że koalicja się zasiedziała. Nic to. Czynne są inne ośrodki. Oglądamy film Pawła Łozińskiego *Kratka*. Dostał nagrodę za debiut w Gdyni. Ale poza tym było niewiele o nim. Film rewelacyjny. Wracając do naszych krytyków, czytałem wywiad z jednym z komendantów policji – Michałem Obrębskim. Ostatnie pytanie do niego brzmiało:

– Czy nie jest pan niepoprawnym optymistą? Odpowiedział świetnie:

– Gdybym nim nie był, zostałbym krytykiem filmowym.

Jest piękna pogoda. Jeździmy na rowerach. Cudownie i smutno.

Umarł Roland Topór w Paryżu. Pamiętam go i jego śmiech. Przeważnie z nocnego klubu „Castel” przy rue de Princesse.

Umarł Jasiek Zylber, przyjaciel od lat, prawa ręka Andrzeja Konica w jego słynnym studiu przed laty. Kierownik muzyczny tego studia. A potem kilkadziesiąt lat kontaktów, przyjaźni, wspólnych imprez, które tak cudownie organizował w swoim dworku koło Jabłonnej. Taki praktyczny, mądry, wszystko wiedział, każdemu umiał poradzić. Nie poradził sobie tylko z własną chorobą.

Jeszcze parę dni wolnych. Jedziemy przez Kazimierz do Krakowa. Z kasety Magda śpiewa nam piosenki Agnieszki. A jedziemy na pogrzeb Piotra Skrzyneckiego. Będzie jutro. Dziś pochowaliśmy panią Miklaszewską, żonę Gwidona, a matkę Maryny, Agaty i Andrzeja. Nie za dużo tego tej zimnej, pięknej wiosny?

Za Kazimierzem ciepło, przytulnie. Weronika prawie wszystkie meble z Ikei wymieniła na piękne, stare, z antykwariatu. Za psie pieniądze. Naprawdę pasują do starej, stylowej chałupy. Ma ona nieprawdopodobny zmysł do tych *rzeczy*. No, ale prosiła, żebym o niej nie pisał....

Następnego dnia prowadzę zieloną corsę Zuzi. Kierunek Puławy, Radom, na Kraków.

Kazimierz, gdzie w czasie długiego weekendu nie było wolnego metra na rynku, teraz kompletnie pusty. Zmienił się profil turystów. Kiedyś przyjeżdżali tu artyści i tzw. lepsze towarzystwo, wynajmowali SARP lub kwatery prywatne na parę tygodni. I zawsze „coś” był i „coś” się działo. Teraz ta grupa ludzi albo jeździ za granicę, albo ma swoje weekendowe domy. Kazimierz zapełnia się w soboty i niedziele. Oczywiście wycieczkami i przypadkowym, anonimowym tłumem. Dość męczące i mało ciekawe. Na szczęście mieszkam na dzikim uboczu. W normalne dni tygodnia, poza latem, zupełnie pusto.

Jak wygrać kuchenkę mikrofalową i donieść na sąsiada?

Słuchamy w opłu radia, w nissanie go nie ma. Za często mnie szlag trafia, gdy słucham wiadomości. O właśnie, teraz też. Nawet nie o polityce.

Radosny lektor animuje jakąś zgadywanke telefoniczną. Słuchacze mają dzwonić i odpowiadać. Radio ma nagrody od sponsorów, więc musi je ktoś wygrać. Wciągamy się. Pytania na poziomie ogólnomass–mediowym, „Familiada” współczynnikiem inteligencji średniego Polaka.

– Pani Jolu – tajemniczo zawiesza głos lektor, bo dodzwoniła się jakaś „dzidzibudka”. – *Fantazego* napisał: Mickiewicz, Krasiński czy Słowacki?

– „Ojej” – wyraźnie spieszyło się dziewczątko, bo wymarzona kuchenka mikrofalowa okazuje się niełatwą zdobyczą – będą strzelać, no to, a niech tam, Mickiewicz!

– No widzi pani – nieomal ucieszył się lektor – prawie dobrze. W końcu ta sama epoka, zaliczymy pani chyba pół punktu. Ale musi pani za to odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie. „Litwo, Ojczyzno moja...”, napisał: działacz partii nacjonalistycznej Litwy, Adam Mickiewicz czy Czesław Miłosz?

– Czesław Miłosz – radośnie wykrzykuje słuchaczka. Lektor wie, że dalej może być tylko gorzej. Mikrofalówka może zostać jak głupia w radio. Więc szybko pointuje:

– Oczywiście, że mógł i Miłosz coś takiego napisać. Kuchenka jest pani, pani Jolu.

Szukamy innej stacji. Co chwila na różnych częstotliwościach wskakuje nam „Radio Maryja”, jak ten rzep. Nie trzeba nawet wsłuchiwać się w treść. Poznać można po dwóch słowach słodko obłudnego tonu lektorów i gości. Również po krystalicznej jakości dźwięku. Raptem inna stacja. Wywiad z jakimś urzędnikiem od finansów, podatków itd. Podatków, wiadomo, jak śmierci, uniknąć się nie da. Ale niechże one będą w miarę sprawiedliwe, mobilizujące do pracy, a nie oszustw. I przejryste.

W Ministerstwie Finansów natomiast, nie tylko przy zmianie szefa resortu, ale wręcz dyrektorów, następują takie zmiany, że aby za nimi nadążyć trzeba wyłącznie tym się zajmować lub mieć sztab księgowych. To paranoja.

Wsluchuję się w wywiad i włos mi się jeży, mimo że brzmi jak kabaret jakiś. Otóż, za poprzedniego szefa, Grzegorza Kołodko, wprowadzony został i usankcjonowany, szeroki system donosów finansowych. Były wicepremier zakładał, prawdopodobnie słusznie, zsowietyzowanie naszego społeczeństwa i liczył, że wzorem dzielnego Pawki Morozowa doniesie syn tego narodu na własnego ojca. W skrzyżowaniu z odwiecznym polskim piekłem czy miasteczkiem, gdzie ksiądz proboszcz zazdrości aptekarzowej lekkiego porodu, metoda Ministerstwa Finansów jest prosta jak drut, a jak marksizm – naukowa.

– Proszę pana – pyta dziennikarz radiowy urzędnika od finansów. – Czy w świetle tych poufnych informacji – [cudowny eufemizm] – jeszcze coś pana dziwi?

– Nie – słyszę obleśny uśmiech urzędasza. – Nie, nic mnie już nie zdziwi po tym, jak czytam, co ojciec może wypisać na syna, syn na ojca, małżonkowie na siebie wzajemnie. Sąsiad na sąsiada, teściowa na zięcia.

– A zięć na teściową – zainteresował się dziennikarz.

– No, nie. Teściowe mają przeważnie tylko renty. O czym **tu** donosić?
Pierwszy raz wymuskał się ten czasownik.

– A czy nie uważa pan, że może to trochę niemoralnie? – zdaje mi się, że nieśmiało usiłował zbadać redaktor.

– Wie pan, nasz urząd nie jest stróżem moralności jako takiej, lecz uczciwości w zeznaniach o dochodach. I w związku z tym, taka aktywność społeczna poszerza znacznie naszą informację ekonomiczną!!! – trzy wykrzykniki moje.

Cytowałem z pamięci, ale chyba było jeszcze śmieszniej i groźniej.

Z wściekłości wcisnąłem gaz do dechy i zacząłem jechać tak szybko, że Zuzia poprosiła, żebym wyłączył radio. Polski system podatkowy, jeszcze raz stwierdzam, jest taki, że wymusza – czasami świadomie, a przeważnie nieświadomie – omijanie go. Ministerstwo i urzędy doskonale o tym wiedzą.

Wie oczywiście o tym rząd i parlament. Tylko zamiast coś z tym profesjonalnie zrobić, uprościć zasady, zapewnić ich stabilność, a przez to możliwość jakiegokolwiek planowania na kilka lat w przód, władze pobudzają w społeczeństwie najniższe instynkty i radują się skutecznością jak dyrekcja więzień raportami celowych kapusiów. Tfu! Tymi metodami zdemoralizować można nawet Szwajcara.

Żegnaj Piotrze

Kraków zatkany. Boję się jechać w okolice rynku. Parkuję przy „Cracovii”. Bierzymy taksówkę i jak najbliżej Mariackiego. Tu przed otwartym ołtarzem Wita Stwosza, 200 metrów od „Piwnicy pod Baranami”, dawna stolica Polski żegna swego Honorowego Obywatela.

Przeciskamy się boczną nawą. O siedzących miejscach prawie nie ma mowy. Jednak ludzie Piwnicy i dyrektor Piotr Ferster zadbali o nas. Siadamy. Widzę w stallach Andrzeja Wajdę, Krystynę Zachwatowicz, Michała Zabłockiego, aktorów Teatru Starego. Piwniczenie przy ołtarzu wokół trumny. Z tyłu, za nami tłum.

Wchodzą księża: proboszcz Kościoła Mariackiego, ksiądz prałat Bronisław Fidelus, ksiądz Mieczysław Maliński, ksiądz profesor Józef Tischner. Z chóru śpiewa słowik Preisnera, Elżbieta Towarnicka. Piwnica w Kościele! *A to miało tylko trwać pięć lat, nie więcej. I Przychodzimy, odchodzimy* – cicho śpiewają wspólnie za mną i obok nie znani mi ludzie. Młodzi i starsi ode mnie. W Kościele w tłoku jest parę omdleń. Ksiądz Maliński w homilii wspomina Piotra bardzo osobiście i emocjonalnie, dla nas nawet za, choć niektórym się podobało. Ogromna liczba osób przystępuje do komunii. Księża wchodzą w tłum z sakramentem. *Idźcie w pokój, ofiara spełniona.*

I próbujemy uformować się w rodzaj konduktu, który odprowadzi Piotra na cmentarz Rakowicki. Do Alei Zasłużonych. Trumna na pojeździe ciągniona przez karę konie. Rodzina Piwnicy i rodzaj VIP-ów, prezydent Krakowa, premier Suchocka, Wajdowie próbują być blisko powozu. Zagarniają nas, ale potem się wszystko miesza i płynie rzeka ludzka ulicami Krakowa. Płyne bardzo wartko. Nic dziwnego – prowadzi ją przed końmi autentyczny góral, ksiądz profesor Józef Tischner. Konie idą bardzo wyciągniętego stępa, bo inaczej by to trwało dwie godziny. Na wysokości dworca jak syreny zaczynają płakać klaksony dziesiątek samochodów. To krakowscy taksówkarze żegnają Go. Ludzie w oknach i na balkonach. Od pogrzebu Zbyszka Cybulskiego nie pamiętam niczego podobnego.

Na cmentarzu niewielki placik, świeżo wykopana mogiła, sąsiaduje tuż, tuż z grobem mojej Jowity, Basi Kwiatkowskiej-Lass. My jesteśmy bardzo blisko. Tysiące ludzi, spokojnie, trochę dalej. Ogromna dyscyplina. Nic wspólnego z dzikim parciem tłumów w Katowicach, gdzie omal nie wepchnięto do grobu rodziny Cybulskiego. Żegna Piotra jeszcze prezydent miasta. Ustami Jana Nowickiego, nieobecny, chory Jerzy Turowicz. W imieniu Piwniczian – Grzegorz Turnau. I wreszcie ksiądz Tischner, który najpiękniej umie połączyć prostotę z metafizyką, a uśmiech z bólem.

Trumnę spuszcza do grobu. Brat Piotra wrzuca w ostatniej chwili jego kapelusz z piórkiem. Po wieńcach składamy kwiaty i wycofujemy się. W niezwykłym porządku do mogiły zbliżają się tysiące ludzi. Niosą swoje kwiatki i łzy.

Tak żegnaliśmy hulakę i czarodzieja, clowna i kreatora, najdelikatniejszego z delikatnych, najśmielszego ze śmiałych, w którym poezja i dobroć odnajdywała najbardziej naturalne schronienie. Jego wyzwolony i niczym nie skrepowany styl życia i myślenia budził zawsze zazdrość wszystkich, nawet księdza Tischnera, do czego się na cmentarzu przyznał.

Kiedyś zabrakło nam z Zuzią ówczesnych dwóch tysięcy złotych do rachunku hotelowego. Zagadaliśmy Piotra na rynku, czy nie mógłby nam pożyczyć.

– A wiecie, mogłem. – Jeszcze tydzień temu, jeszcze tydzień temu miałem takie pieniądze – odpowiedział Piotr tak radośnie, że komuś przyszło do głowy podejrzewać go o jakąkolwiek gotówkę.

Parę lat temu już żegnał się z nami, ze swoim teatrem. W Teatrze Słowackiego, gdzie przyznawano mu tytuł Honorowego Obywatela. Był ogromnie długi program artystyczny, cała Piwnica i jej goście. Piotr życzył sobie, abym przeczytał, ubrany tak jak on w pelerynę, jego przesłanie, testament właściwie.

Wyprzedaż teatru

Dyrektor teatru w sławnym mieście N. ma zaszczyt donieść, że po długich trudach i pracach ma zamiar odpocząć i w tym celu chce sprzedać pyszne swe zamki, ogrody wygodne i obronne twierdze, piękny i cienisty las, kilka łąk usianych kwiatami i znaczną liczbę rozkosznych domów wiejskich w czarujących okolicach. Przedane także będą przez publiczną licytację wyborne sprzęty jego pałaców i inna ruchomość, a mianowicie: morze z dwunastu wielkich wałów złożone, z których dziesiąty na nieszczęście cokolwiek jest uszkodzony, półtora tuzina obłoków dobrze zachowanych, nadto jedna chmura przeszyta piorunem, śnieg doskonałej białości, z najlepszego pocztowego papieru. Prócz tego dwa rodzaje śniegu cokolwiek ciemniejszego, z papieru ordynaryjnego. Trzy butelki błyskawicy. Słońce zachodzące, cokolwiek przetarte, księżyc, cokolwiek stary. Wóz tryumfalny złożony, prawie nowy, dwoma smokami zaprzężony. Płaszcz purpurowy, dla Semiramidy zrobiony, a który służył później Agamemnonowi, Menelausowi i innym bohaterom. Cały ubiór dla widma, to jest: koszula okrwawiona, poszarpany płaszcz z dwoma łatami czerwonymi, wystawującymi rany śmiertelne. Pióro zrobione z helmu Dziewicy Orleańskiej, oraz tylko raz używane. Chustka do kieszeni Otella i kilka par wąsów baszów wschodnich. Wóz Kleopatry. Flaszeczka z winnym spirytusem przydatna do wprowadzania duchów. Róż do użytku aktorów i aktorek. Trzy urwiska skał dobrze wypchane włosiem końskim i dwa darniowe stołki z drzewa sosnowego. Wielki stos ze wszech stron podpalony i kilka lat już palący się. Pięć lokci łańcuchów z blachy wydających brzęk straszny i łatwo przerażający. Zupełna kolekcja masek, drzwi zapadających, drabin z powrozów, stołów sędziowskich z długimi kobiercami. Głowa lwa, która dotąd jeszcze ryczeć potrafi. Tron, na którego stopniach zakrzepło trochę krwi. Małe, zielone puzderko, w którym znaleźć można odrobinę laudanum...

A potem parę lat później, jeszcze raz siadłem na konia, jako księżę Poniatowski sprzed lat – na 40-lecie Piwnicy. I zawsze był potem bal. Miałem smutne szczęście stawić się na ten bal u Piotra, ostatni.

Piwnica raz jeszcze

Byli wszyscy. Był alkohol. Były śpiewy. Grali muzycy Piwnicy, Konieczny, Preisner. Pojawił się Skald, Andrzej Zieliński. Śpiewał. Ale czuliśmy, że to już koniec, że ta piękna, gruba księga jest zamknięta. Nie trzeźwił nas i nie budził radosny dzwonek Piotra, więc nic na siłę. Zgadza się z tymi, co myślą, że ta forma jest skończona. Pojawili się raptem, jak spod ziemi, Dudzińscy, prosto z Manhattanu. Andrzej ma promocję swojej nowej książki, jajcarskich afiszy do filmu z komentarzami elity polskich gryzipiórków, między innymi Zuzi, ho, ho! A Zuzia mi się nawet bardzo czarująco zalała i następnego dnia miała kaca. Aha! Tłumaczyła potem, że Wajda jej wyjaśnił, iż stypa polega na tym, że robi się właśnie to, co lubił zmarły.

Koniec wieku, muzeum i Mrożek

Tak przez rozum, bo już nie bardzo nam się chciało, postanowiliśmy jeszcze zaliczyć, tuż przed odjazdem, słynną wystawę „Koniec Wieków”: Malczewski, Gierymski, Wyspański, Wyczółkowski itd.

W Warszawie podobno kolejka do Narodowego dojechała aż do ronda de Gaulle'a. Tu kolejki prawie nie ma, ale i tak tłumy, szkolne wycieczki. Dla mnie oglądanie skończone, bo co chwila ktoś z młodzieży nagabuje mnie o autograf. Gdy udzielię jednego, rzuci się cała reszta. Bez kokieterii więc się dość brutalnie opędzam. Ale kosztuje mnie to tyle, że o intymnej przyjemności z kontaktu ze sztuką mowy nie ma. Zdaję sobie sprawę, że może już niedługo będę tęsknie wspominał takie udreki, gdy resztki sławy młodości miną. Ale na razie chcę uciekać. Łapię Zuzię za rękę i pędzę do wyjścia.

Pod późnym Wyspiańskim, Widoki na *Kopiec Kościuszki z okna pracowni*, wpadamy na Sławka Mrożka. Ostatni raz widzieliśmy się około 10 lat temu w Paryżu, gdzie w „Siódemce” był moim sąsiadem i kupowaliśmy bagietki w jednym sklepie. Niewiele się zmienił. Ja nie bardzo zdziwiony, bo wiem że Sławek w Krakowie. On pyta zaś, cholera wie, czy ironicznie, czy zdziwiony:

– Jak to – nie w Nowym Jorku?

– A po cholere mi tam – mówię. – Nawet Warszawa dla mnie za duża. Najlepiej mi na wsi, pod Kazimierzem.

– O, o – mówi Sławek – ja też się nie mogę już do miast przyzwyczaić. Na wsi to wiadomo, jak baba idzie, to przynajmniej wiesz i widać gdzie. Jak chłop wyjdzie na ulicę i się podrapie, to wiadomo, co będzie dalej robił lub nie robił. A tu w mieście taki chaos, już w szkole uciekałem do muzeum, żeby znaleźć trochę spokoju.

– Cholera – przerywam. – To ty w tym tłumie wycieczek szukasz spokoju i izolacji?

I znowu ktoś mnie szarpie o podpis na bilecie tramwajowym.

– No, ja mam lepiej – słodko uśmiechnął się Sławek. Rzeczywiście po 10 latach znowu mnie widzi w stresie.

Zuzanna Łapicka–Olbrychska

WIECZÓR JAK Z MROŻKA

Nasz pobyt w Paryżu, na początku lat 80., kiedy to z powodu stanu wojennego w Polsce postanowiliśmy zamieszkać w tym pięknym mieście, do dziś wspominam niechętnie. Paryż jest fantastycznym miastem na parę dni, a zwłaszcza nocy. Ale kiedy zjawiłam się tam nagle z roczną córeczką i jedną walizką, miasto wydało mi się wrogie. Rozumiem jednak, że z zewnątrz nasze życie mogło wyglądać jak bajka. Mieszkanko w „Siódemce”, koło Pól Marsowych i Wieży Eiffla, na dole supermarket, w którym o każdej porze dnia i nocy mogłam dostać to, o czym rodzinie w kraju się tylko śniło. I właśnie w tym supermarkecie często spotykałam Sławomira Mrożka. Mieszkał samotnie nie opodal i wpadał tu zwykle po kawę czy jakieś owoce. Ja z moim obładowanym wózkiem, na którym siedziała mała Weronika z lizakiem w ręku, musiałam wyglądać jak symbol udanego życia rodzinnego, optymizmu, afirmacji życia – słowem tego wszystkiego, czego mi właśnie brakowało. Nieraz w kolejce do kasy próbowałam nawiązywać rozmowę z panem Sławkiem. Z niewielkim powodzeniem. Kiedyś skomentował tylko mój wyjątkowo obładowany wózek:

– No, jakaś pyszna kolacyjka się szykuje.

Zapraszam – powiedziałam natychmiast.

Zaproszenie przyjął z rezerwą, obawiając się pewnie tego wieczoru w rodzinnej atmosferze, z Danielem, który będzie opowiadał o swoich kolejnych sukcesach, oprowadzał po salonach nowego mieszkania czy też pokazywał, jakie osiągnięcia ma jego nowe superauto.

Umówiliśmy się na siódmą. Na godzinę przed przyjściem naszego gościa Weronika dostała wysokiej gorączki i wyła niemilosiernie. Ściągnęłam jakąś *baby-sitter*, typu „SOS”, żeby się nią zajęła w czasie, kiedy my będziemy bawić naszego znakomitego gościa rozmową przy stole. Podając dziecku lekarstwa, gorączkowo obmyślałam w głowie co ciekawsze tematy konwersacji, które nie znudziłyby naszego, co tu dużo mówić – wybrednego intelektualnie gościa. Mrozek pojawił się punktualnie – zasapany (czwarte piętro bez windy), rozejrzał się po niewielkim mieszkanku, w którym nie dało się zamienić słowa, bo dziecko cały czas płakało. Daniel, ratując sytuację, wymyślił jakąś superrestaurację, w której był ostatnio z Polańskim. Problem w tym, że chodzić należy tam po 22.00, bo dopiero wtedy artyści schodzą się tam po spektaklach.

– No to chodźmy najpierw do kina. Na Polach Elizejskich grają wspaniały film – ratowałam dalej sytuację.

Mrozek pokornie godził się na wszystkie propozycje. Wyszliśmy z mieszkania, zostawiając obcą, ponurą Marokankę z naszym chorym dzieckiem. Na dole okazało się, że używany samochód, jaki właśnie nabyliśmy, nie zapalił. Daniel, na razie jeszcze niczym nie zrażony, uznał, że Pola są tak blisko, że dużo lepiej iść tam pieszo. Mrozek dalej się nie odzywał, ale na jego twarzy pojawił się lekki uśmieszek. Ruszyliśmy – lunął deszcz. Przez most Alma sunęliśmy pod wiatr. Kompletnie mokrzy dobrnęliśmy do kina. Na miejscu

okazało się, że w ostatniej chwili zmienili seans i grają jakąś komedię, do tego francuską. Daniel zaczął na mnie warczeć, że kupuję gazety, które źle podają repertuar kin. Mrozek uśmiechał się coraz szerzej. Wtedy Daniel podjął decyzję, żeby od razu pójść do tej restauracji.

– W końcu nie musimy czekać, aż przyjdzie tam jakaś Adjani czy inny Depardieu. Co prawda płaci się tam właśnie za to, bo jedzenie marne, ale nie będziemy przecież tak stać na deszczu.

Zaznaczył, że nie każdego wpuszczają, ale on ma specjalną kartę i w dodatku trzymają tam dla niego butelkę whisky z jego nazwiskiem. Ruszyliśmy, tym razem na szczęście z wiatrem, w dół Pól Elizejskich. Przed wejściem do tego klubu–restauracji stał cieć, któremu nazwisko Daniela nic nie mówiło. Widząc rozbawiony wzrok Mrożka, Daniel zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie w poszukiwaniu słynnej karty członkowskiej. Co pewien czas kłął, że na pewno wrzuciłam mu do pralki koszulę z kartą w kieszonce.

– Ona, drogi Sławku, ma obsesję prania, w kółko wrzuca do pralki moje kompletnie czyste koszule!

Mrozek śmiał się już całkiem szeroko. Daniel próbował jeszcze dzwonić do środka, powołując się na butelkę whisky, ale okazało się, że dawno ją już wypił w towarzystwie jakiejś polskiej delegacji. Wtedy cicho odezwał się pan Sławomir:

– Tu obok jest drugstore, tam dają świetne frytki.

W drugstorze panował dziki tłok. Po pół godzinie dali nam stolik pod jakimś wieszakiem obwieszonym parasolami, z których kapała woda. Przynieśli frytki, tataro i piwo. Nie odzywaliśmy się z Danielem ani słowem, bojąc się spojrzeć w stronę Mrożka. I wtedy stał się cud... Sławomir Mrozek przemówił. Przemówił to mało powiedziane – zaczęła się długa, fascynująca opowieść. Mrozek był uroczy, zabawny, próbował za wszelką cenę nas rozweselić. Nie zważając na Daniela, który w widoczny sposób przeżywał swoją klęskę, bawił nas opowieściami do późnej nocy. Grubo po północy wyszliśmy na Pola Elizejskie. Deszcz przestał padać, podeszliśmy do taksówki.

– Ja się przejdę, taki piękny wieczór – powiedział uśmiechnięty pan Sławek i sprężystym krokiem oddalił się w stronę Łuku Triumfalnego...

10 maja 1997

Tekst definitywny tych wspomnień obiecałem dostarczyć wydawcy najdalej 13 maja, rano. Dobra data. Lubię trzynastki. *Anioły wokół głowy też* dokładnie tego dnia, przed laty podpisałem.

Dziś, po południu czeka mnie miłe spotkanie z Catherine Deneuve. Wieczorem w obecności prezydenta Rzeczypospolitej prowadzimy koncert w Teatrze Wielkim. Koncert ten wieńczy finał konkursu „Teraz Polska”. *Zwycięzcy* ostatniego konkursu otrzymują z naszych rąk dyplomy za wysoką jakość produktów i prawo komercyjnego używania tego, prestiżowego już, logo. No i bardzo dobrze. Sam byłem parę lat w Kapitulce, wiem, jak poziom naszej wytwórczości stale i stale rośnie. Wydaje mi się, że wszystko w naszym kraju rośnie i zmierza do normalności. Tylko nie elity – nieadekwatne słowo – polityczne. Ciarki mnie przechodzą, co się stanie, jeżeli naród w referendum odrzuci, może niedoskonałą, ale jednak rozsądną i wyważoną konstytucję.

Przed laty Lech Wałęsa, z wydatną pomocą egoistycznej, ślepej prawicy i, niestety, Kościoła – swoją polityką i facon *d'etre*, doprowadził do przejścia władzy przez lewicę. Zwycięstwo w wyborach parlamentarnych, a potem prezydenckich, doprowadziło do zachwiania równowagi politycznej na korzyść, jak to się mówi, byłej komuny. Ale, samiście, panowie, chcieli. Pycha i głupota przyćmiły resztki zdrowego rozsądku. Prawica straciła władzę i tej władzy apanaże, więc pieni się, rzuca i wyje. Gospodarka, jak widać, wielkich wstrząsów nie przeżyła. Polityka międzynarodowa lepiej lub gorzej, ale zmierza w słusznych kierunkach. Świat ciągle widzi w nas dość stabilny, rozwijający się kraj.

Obecne siły społeczno-polityczne ugrupowane wokół Krzaklewskiego, Olszewskiego, Wrzodaka, nie zapominając o otumaniającym wpływie „Radia Maryja”, zachowują się, jakby wyglądały z kieszeni politycznej sił zyczących nam jak najgorzej. Kto na destabilizację Polski i agresję walk politycznych w naszym kraju czeka najbardziej? Proszę się przyjrzeć okręgowi kaliningradzkiemu, wielkiemu blokowi wyborców Ziuganowa, Żyrynowskiego, Lukaszence wreszcie. Proszę się przyjrzeć i kopnąć w głowę! Siły, które doprowadzą do odrzucenia projektu konstytucji, porównać by można do niesławnej pamięci posła Władysława Sicińskiego, który w XVIII wieku jednym *nie pozwalam*, zniweczył wysiłek obozu patriotycznego.

Kościół od lat rozczarowywał coraz bardziej. Nie tylko działalnością „Radia Maryja”. Stanowisko biskupów na ostatniej konferencji świadczy o definitywnym oderwaniu się od rzeczywistości. Jeden sprawiedliwy ksiądz biskup Pieronek wiosny nie czyni. To za mało, okazało się.

Szacunek i poparcie w sondażach i w programach, takich jak „Gorąca Linia”, dla Mazowieckiego, Bartoszewskiego i właśnie księdza biskupa Pieronka, pozwala patrzeć trochę optymistyczniej. Ale demagogia w naszym kraju za często wygrywała. Ledwośmy się uratowali od Tymińskiego, z którym przegrał najwłaściwszy ówczesny kandydat na prezydenta – Mazowiecki właśnie, już musimy się strzec awanturnictwa „Solidarności” Krzaklewskiego i prowincjonalizmu politycznego Kościoła. Boję się o wynik referendum.

Rolnicy przez tyle lat nie zauważyli, że prezes ich partii, Waldemar Pawlak, robi politycznie wszystko, żeby wieś polska była jak najbardziej zacofana i łatwiej, w związku z tym, manipulowana.

Większość głosującego społeczeństwa może nie widzieć, że jeśli ktoś porównuje projekt konstytucji do nawałnicy bolszewickiej, posługuje się dokładnie demagogią i myśleniem bolszewickim. Potencjał u nas jest ogromny. Gorzej z głową. Kogo chcemy widzieć jako prawdziwego Polaka wśród idoli sportu na przykład? Czy Andrzeja Gołotę, czy Sobiesława Zasadę, którego wyczyn w ostatnim rajdzie Safari, jest dla mnie jednym z najbardziej porywających osiągnięć w historii polskiego sportu. Taki człowiek sprawdzi się w każdej dziedzinie.

Ostatni papieros z królową angielską

Muszę też ja pochwalić się moim skromnym, lecz dla mnie niezmiernie ważnym, bodajże najważniejszym wyczynem ostatnich lat. Rzuciłem palenie! Po prawie trzydziestu z małymi przerwami latach. Nie pisałem o tym wcześniej, żeby nie zapeszyć. Teraz już wiem, że na pewno. Jak zwykle w życiu gwiazdorka moment ten miał kabotyńsko–królewską oprawę.

Było to ni mniej, ni więcej, tylko na koktajlu w Teatrze Wielkim, po balecie, w obecności królowej Elżbiety II. Paliłem sobie, jak zwykle, papieroska, rozglądając się za rzadko porozstawianymi popielniczkami. Podchodzi do mnie profesor Jerzy Woy–Wojciechowski. Patrzy na mnie smutno, prawie z pogardą. I mówi:

– Nic ci nie powiem. Mówiłem Romkowi Wilhelmiemu, Andrzejowi Wojciechowskiemu, Kieślowskiemu, więc już nie chcę zapeszać.

I poszedł. Obok mnie została jego żona i pół w przestrzeń, pół do mnie dodała:

– Że też każdy jest gotów to świństwo rzucić, tylko że już na łożu śmierci.

Mocne, nie? Nie wiem, czy te wypowiedzi mnie aż tak przestraszyły. Chęć rzucenia papierosów tkwiła we mnie silnie. Nie chciałem czekać do pierwszego zawału lub do czegoś jeszcze gorszego.

Wracając do domu, wiedziałem, że sprawię dwie radości, sobie – dobrego fizycznego samopoczucia, a domownikom, zwłaszcza Weronice – radość mieszkania w pachnącym domu, a nie w wędzarni. A jeszcze jaka duma z siły własnego charakteru, ho, ho! Po 14 miesiącach mogłem powiedzieć, że się opłacało, zwłaszcza dla domowników. Mimo że niestety już Tour de France nie wygram, poprawiłem osiągi na przykład w jeździe na rowerze. Poranki są o wiele miłsze bez tytoniowego kaca. Jedzenie inaczej smakuje i pachnie, więc dowaliło mi parę kilo. *Summa summarum* wiem przynajmniej, że umrę trochę zdrowszy.

A spotkanie z królową miało miejsce, a jakże. Prezydent Kwaśniewski przedstawił mnie:

– One of the best Polish actors.

– O – grzecznie ucieszyła się Elżbieta II.– A co pan teraz gra?

– Nic – odpowiedziałem – zgodnie z prawdą, nie zdając sobie sprawy, że taka odpowiedź w kurtuazyjnej rozmowie nie jest nawet zabawną *pointą*. *Zuzia* pospieszyła na ratunek.

– *Your Majesty*, Daniel już bardzo dużo zagrał – Hamleta, Otella, Makbeta.

– *Hard work* – uśmiechnęła się królowa, bo teraz już łatwo znalazła zakończenie króciutkiej, konwencjonalnej rozmowy.

A mnie już do palenia wracać nie wypada. Ostatniego wypaliłem na bankiecie z królową. Efektowniej nie można. Cha, cha!

Za rękę z Catherine Deneuve

Zanim weszliśmy na scenę w Teatrze Wielkim był tzw. spontaniczny, prywatny spacer po Starym Mieście. Zabrałem Katarzynę Wielką z Pałacu Namiestnikowskiego, gdzie była na kawce u naszej prezydentowej. To znaczy nie ja zabrałem, tylko ją – luksusowy jaguar, a mnie – coś jeszcze większego i w asyście paru samochodów BOR-owików, zajechaliśmy pod Barbakan. Tam oczekiwało na nas, głównie na nią, ze trzydziestu fotografów i z pięć kamer telewizyjnych. Catherine prawie zaczęła się awanturować. Ile było w tym kokieterii, ile profesjonalnego grania gwiazdy, która musi być zawsze z czegoś niezadowolona, ile żalu za straconym intymnym ze mną spacerem, Bóg raczy wiedzieć. Wygrało w końcu jej zawodowstwo.

Widząc, że i tak będzie na zdjęciach, wołała nie wyglądać na żołą i zaczęła się uśmiechać. Mówię do niej:

– Catherine, skoro ty i ja jesteśmy tutaj, to dziś dla kinomanów warszawska Starówka jest ważniejsza od Croisette w Cannes.

No, tu zaczęła się śmiać, nawet szczerze. Coś tam z obowiązku objaśniałem jej o morzu gruzów i odbudowie totalnej tych kamienic. Potem szliśmy Jezuicką, więc pokazałem jej komisariat, gdzie zamordowano Przemyska i krótko wprowadziłem w historię. Odniosłem wrażenie, że towarzyszący nam ludzie z Fundacji nie byli tym zachwyceni. A może się myłę.

Na Placu Zamkowym Deneuve wyraziła życzenie zobaczenia miejsc, gdzie było Getto. Samochody nas zawiozły – już bez fotografów. Zatrzymaliśmy się przed pomnikiem Bohaterów Getta. Jeśli szukała dowodów na polskie zaniedbanie, to nie znalazła tym razem potwierdzenia. Przy pomniku było wiele kwiatów, niektóre całkiem świeże. Po rynku Starego Miasta zaszokowała ją obrzydliwa socjalistyczna architektura tej części Warszawy.

Co by tu jeszcze naplotkować? Do próby w teatrze, łagodnie mówiąc, gwiazda się nie przyłożyła. Ani reżyser Barbara Borys-Damięcka, ani ja nie wiedzieliśmy w sumie nie tylko, jak powie, ale i co powie. A pewne rzeczy, przy całej miłości do swobodnej improwizacji, należy jednak precyzyjnie wiedzieć. Ale, jak Państwo widzieli, Deneuve braku zawodowstwa nie wykazała. Kompletnym amatorstwem wykazali się natomiast ci, co zorganizowali ceremonię wręczenia dyplomów tuż przed koncertem, w Salach Redutowych. Właściwie poobrażano wszystkich, prezydenta z małżonką, Catherine, mnie, laureatów i tych, co na to patrzyli, bo musieli się wstydić.

W skrócie. Stawiłem się tam na tyle wcześniej, żeby nie kazać Deneuve czekać na siebie. Ona pojawiła się z zapasem 10 minut. Dobrze. Żeby odetchnąć od oszalałych fotografów damskich pisemek, ukryliśmy się w miłym pokoiku, gotowi na precyzyjne wyjście tuż przed parą prezydencką. Wezwano nas, gdy oni stali już przed mikrofonem, czekając na nas. Skandal. Jak może prezydent oczekiwać na prowadzących koncert aktorów! Aktorów obrażono zresztą też. Bo nikt już nie miał głowy nas zapowiedzieć i przedstawić. Wobec tego pierwsze oficjalne wystąpienie francuskiej, bardzo drogo opłaconej, gwiazdy odbyło się, że tak powiem, niepostrzeżenie. Nawet nie dano obecnym szansy na przywitanie jej brawami. Ze wstydu aż się spociłem.

A propos „niepostrzeżenie”. Pewien reżyser wystawiał sztukę, gdzie epizod grała legendarna Helena Gruszecka. Na próbie zwraca się do niej:

– Pani Helu, a teraz niech pani przejdzie w głębi sceny z lewa w prawo, tak niepostrzeżenie.

–Niepostrzeżenie, panie reżyserze?–basem, bo tak mówiła, zdziwiła się Gruszecka. – Niepostrzeżenie, to panu Malinowski żonę łomoce.

Smutna ceremonia. A mogło bez wysiłku być pięknie. Niestety, to też „teraz Polska” właśnie. Koncert, jak koncert. Nie będę opisywał. Wszyscy oglądali. Potem próba nieudanego kompletnie bankietu. Skąd daliśmy z Catherine nogę na prywatną, w sześć osób, kolację. Do „Casy”, hiszpańskiej restauracji Magdy Gessler, która poprzedniego wieczoru gościła Deneuve u siebie, u „Fukiera”. Gwiazda zamówiła *carpazzio* i pieczone jagnię. Piliśmy bardzo dobre wino hiszpańskie rocznik '85. Była rozluźniona, bardzo naturalna i dowcipna, więc przypadły sobie do gustu z Zuzią – zawodową rozśmieszaczką.

Zuzanna Łapicka–Olbrychska

KILKA ANEGDOT Z TEGO WIECZORU

Daniel słynie z przekręcania nazwisk. Zwłaszcza cudzoziemskich. Zapraszają go znajomi Francuzi na kolację.

– Nie mogę, mówi Daniel – idę do lonesco.

– O, o, z podziwem reaguja Francuzi, a co będziesz tam robił?

– A, jest projekcja jakiegoś mojego filmu.

– U lonesco? – Słusznie nie mogą się nadziwić nasi przyjaciele. Daniel był zaproszony po prostu do Unesco.

Chciał kiedyś zrobić przyjemność Annie Girardot i zapewniał, że jest bardzo popularna w Polsce.

– Każdy w moim kraju wie, kto to jest Giraudoux.

Bardzo go pilnowałam, gdy w Brukseli miał na festiwalu zapowiedzieć Jeanne Moreau. Z łatwością mogliśmy usłyszeć ze sceny:

– Przed Państwem Jean Marais!

Dowiedzieliśmy się przy stole, że na jubileuszowy festiwal w Cannes nie zostały zaproszone dwie żywe legendy kina francuskiego, Belmondo i Delon. Myślałem, że tego typu małość przynależy środowiskom artystycznym bardzo małych krajów, z których największym jest Polska. Dwa dni później obejrzałem na francuskim kanale ichnie Moliery, czyli teatralne Cezary. Jednak to co innego. U nas nie do pomyślenia. Gala i organizacja nadzwyczajna. Dramaturgia takż. Ogląda się z zapartym tchem, mimo że połowy laureatów nie znam. Ludzie teatru, aktorzy, reżyserzy, dramaturdzy, scenografowie itd. itp., niezwykle się wzajemnie szanują i podziwiają lub sprawiają takie wrażenie, co dla widza na jedno wychodzi. I widz francuski od razu swój teatr i jego twórców podziwia i kocha. Daleka do tego u nas droga, ot co!

Nie ma tego złego, co by na dobre nie „weszło”

Mógłbym tak długo jeszcze, na szczęście dla mnie i dla Was 13 maja to ostateczny termin postawienia kończącej te zapisy kropki. Nie chce mi się za bardzo silić na jakieś podsumowania. Wydaje mi się, że prawdziwy upływ czasu, moja w nim obecność jest na tyle autentyczna, że może to być ciekawe bez żadnych sztucznych syntez. To mnie zresztą, jak pisałem we wstępie, najbardziej wciąga, interesuje w podobnym gatunku lektur.

Co jeszcze z ciekawostek? Podobno rusza produkcja *Ogniem i mieczem*. Mówię podobno, bo Hoffman mnie oficjalnie nie powiadomił. A z prasy dowiedziałem się, że na pewno mam już grać Jeremiego Wiśniowieckiego. Jerzy moją opinię generalną na ten temat zna dobrze. Bohaterami głównymi, uważam, mają być bardzo młodzi ludzie w tym wieku, w jakim ja na przykład grałem Azję i Kmicica. A wtedy Jeremi nie może mieć więcej jak 40 lat. Nie tylko dlatego, że taka jest prawda historyczna i literacka. Dziesięć, no może pięć lat temu, już się odmładzając sztucznie, może bym zaryzykował; na pewno nie dzisiaj do tej roli. Grałem parokrotnie ludzi starszych od siebie, nigdy młodszych. To drugie jest bez sensu. Cieszę się dla Jurka, że znalazł pieniądze. Życzę mu żeby znalazł również najlepszą z możliwych obsadę i sprawił nam po raz trzeci wielką radość.

Nie chce mi się podsumowywać życia politycznego. Na bieżąco odsyłam chętnych raz jeszcze do felietonów Tyma we „Wprost”.

Warczałem w tych zapiskach i w lewo, i w prawo, bo w każdej formacji ze świeczką by szukać tzw. polityków, którzy nadażają za coraz mądrzejszym i dynamiczniejszym narodem. Mimo naszych rozlicznych narodowych wad.

Mówiąc o wadach. Na pewno wśród rozlicznych moich własnych jest również i próżność. Czy ulega ona czasami tzw. szlachetnej dumie? Nie wiem. Wiem, że kolejny dowód niechęci kolejnych władz Polski już mnie tylko rozbawia. Gdy umarł Zbyszek Cybulski w wieku 39 lat, stwierdziliśmy, że nie ma on, najwspanialszy ambasador polskiej kultury, nawet Kawalerii, ważnego polskiego odznaczenia *Polonia Restituta*. Takie odznaczenia miały wtedy czasami zasłużone garderobiane. Ponieważ było to również odznaczenie „chlebowe”, więc wystąpiliśmy do władz o przyznanie go Zbyszkowi pośmiertnie. Wdowa mogła mieć jakąś skromną rentę.

Mam 52 lata. Żadnego polskiego ważnego odznaczenia nie dostałem. Świetnie to rozumiałem. Najpierw może byłem zbyt młody, chociaż sportowcy dostawali jeszcze młodszy. Potem na władzę totalitarną – zbyt krnąbrny. Potem były ważniejsze sprawy. Zresztą prezydent Wałęsa miał gdzieś ludzi kultury, którzy go w dużym stopniu do władzy wynieśli. Poza tym jeszcze aktywnie byłem w obozie Mazowieckiego. Do dziś żałuję, że nie wygrał. Bylibyśmy o wiele dalej. A Lechu takich *rzeczy nie* zapomina. Bardzo byłem wdzięczny losowi, bo odmawiać już by nie wypadało, a dać się dekorować na przykład ministrowi Wachowskiemu, br.

Przyszły nowe demokratycznie wybrane władze. Nie powiem, posypały się odznaczenia dla ludzi kultury i to bez klucza politycznego, trzeba przyznać. Ale jakiś klucz teraz musi być, bo znowu się nie załapałem, a okazji było parę. Na przykład moje szumnie obchodzone 50–

lecie. Już chciałem bez komentowania, żeby tak zostało, po cichu. A tu dowiaduję się, że prezydent w Paryżu dekoruje moich kolegów, Pszoniaka i Seweryna. Bardzo słusznie, najwyższy czas. Mój czas, uważam, minął. Nie *będę* nazywał tego pobłaźliwie, zagapieniem się najwyższych władz. Na pewno nie nadstawię wzruszonych piersi po moich wybitnych kolegach, lecz młodszych ode mnie w dokonaniach, tak za granicami, jak i w teatrze i kinie polskim. Ja zaczynałem jeszcze w latach 60. Nie ma w tym, co mówię ani oburzenia, ani obrazy. Znam dobrze polityków. To też ludzie i przeważnie bardzo mali. Zbyt często zapominają, że rządzą w imieniu całego narodu, a nie „widzimi się”, własnych partii. Więc, choć niedopieczczenie mnie tutaj jest naprawdę drobiazgiem – przytoczę anegdotkę. Mój ulubiony bohater w trylogii Dumasa hrabia de la Fere, czyli Athos w *Muszkietierowie w dwadzieścia lat później* powiedział swemu synowi, po dekoracji wysokim odznaczeniem przez króla Anglii:

– Dla Athosa to za dużo, dla hrabiego de la Fere za mało. Bezcelnie powtórzę za nim każdemu, kto by miał pomysł dekorowania mnie teraz w Polsce. Dla aktora Daniela Olbrychskiego to za dużo i obejdzcie się. Dla Oficera 1985 i Komandora 1990 – najwyższego francuskiego odznaczenia za dokonania w kulturze – to za mało i z za dużym opóźnieniem, ot co! Zobowiązuję moich bliskich, by nie dopuścili do kpiny odznaczania mnie pośmiertnie. Przyjemność opowiadania tej anegdotki jest znacznie większa niż późne radowanie się dekoracją.

Trzeba kończyć

Chciałbym, żebyście Państwo przebrnąwszy przez te zapiski, bazgroły aktora, którego rękopis ledwo odczytywała maszynistka, odnieśli pewne wrażenie. Sukces i pieniądze to w życiu nie najważniejsze. Chociaż, jak powiedział Picasso:

Nie lubię myśleć o pieniądzach, w związku z tym powinienem mieć ich bardzo dużo. *Lub, jak mówię ja:*

Nie cierpię myśleć o polityce, a więc muszę mieć do tego mądrych polityków.

To wszystko banały. Ale i fundamentalne prawdy, które starzenie się tylko potwierdza.

Wydaje mi się, że do poczucia szczęścia bądź przynajmniej sensu istnienia na ziemi, potrzebne jest ściganie czegośkolwiek. Czasami rytmem geparda, czasami mrówki. Tylko ścigając, ma się szansę, czasami, na dogonienie czegoś. Mickiewicz, chyba, napisał, że w życiu koniecznie trzeba coś ścigać – miłość, ideę, a nawet choćby i zająca. Skaldowie do słów Agnieszki śpiewają:

„Nie o to chodzi by złowić króliczka, ale by gonić go”.

Ja ścigałem masę rzeczy i spraw, z wyjątkiem zająca. *Pas de pitie pour les chasseurs. (Nie ma litości dla myśliwych).* Lelouch *Kobieta i mężczyzna*. Coś nawet czasem doganiałem. Czy starzeniem się jest fakt, że nie bardzo chce mi się ścigać spektakularnie.

Czy to zmęczenie, czy samozadowolenie, spokojna egzystencja, naprawdę nie wiem. Ze zdziwieniem stwierdzam, że bardziej mnie uspokaja powiedzenie sobie do środka, że czegoś nie wiem, niż kiedyś wykrzyczenie: *Wiem na pewno!* Może to początek spierniczenia, a może stan, jaki osiągają wyznawcy, na przykład, ćwiczeń jogi. Młodości na pewno jogi nie zalecam, lecz właśnie *Odę* Mickiewicza. Sobie – więcej zdrowego trybu życia oraz resztek własnej przekory i złości. Bo inaczej zanudzę i siebie, i swoich bliskich, do których i Was, Czytelnicy, którzy dobrnęliście do końca tej książeczki, również zaliczam.

Wszystkim, którzy kupili i doczytali tę książkę do końca serdecznie dziękuję.

Daniel Olbrychski

Warszawa 13 maja 1997

Postscriptum Ku pokrzepieniu serc

Od razu melduję. Krzepiłem w dwóch częściach „Trylogii”. Uważam, że starczy. Może wyszło z tych zapisów, że bardzo już jest źle w naszym kraju. Otóż sędzę, że odwrotnie. Sam fakt, że mogę napisać i ktoś mi to wyda, że to i tamto mi się nie podoba, uważam za sukces, którego nie wierzyłem, że doczekam. Drodzy moi, z prawa i lewa, i środka, Czytelnicy. Na całym świecie jest głupio, jeśli jeszcze nie głupiej. Gdzieś tam, udowadniając swoje racje, ktoś kogoś zabija. Nawet wierząc w tego samego Boga. Inność liturgii może się nie podobać aż do argumentu kilkuset rozstrzelanych. U nas nie jest tak źle, choć bandytyzmu zwykłego coraz więcej i coś z tym naprawdę trzeba zrobić. Trup ideologiczny jeszcze nie pada gęsto. Jaka miła była ta Jałta. Jak dobrze, że Polska jest tak geometrycznie słuszna i wolna prawie od problemów mniejszości. Jak dobrze, że Soso nie chciał u nas konfliktów. Cha, cha, cha! Soso nas znał dobrze. Nie trzeba u nas żadnych mniejszości, żebyśmy się kłócili. *Zawsze*, na własną prośbę znajdziemy Żyda, nacjonalistę, masona czy pederastę. Ale ciągle należy mieć nadzieję i wierzyć we wrażliwość i mądrość własną i naszych bliźnich.

Raduje mnie niezwykle popularność felietonów Stanisława Tyma i ostrość stańczykowego piórka Mleczki. A równocześnie wiem, że młodzież rozumie, gdy mówię do niej Norwida:

Ze wszystkich rzeczy świata tego zostaną tylko dwie, dwie tylko – Poezja i Dobroć. I więcej nic.